REPORTAŻ

Peter Fröberg Idling

Uśmiech Pol Pota

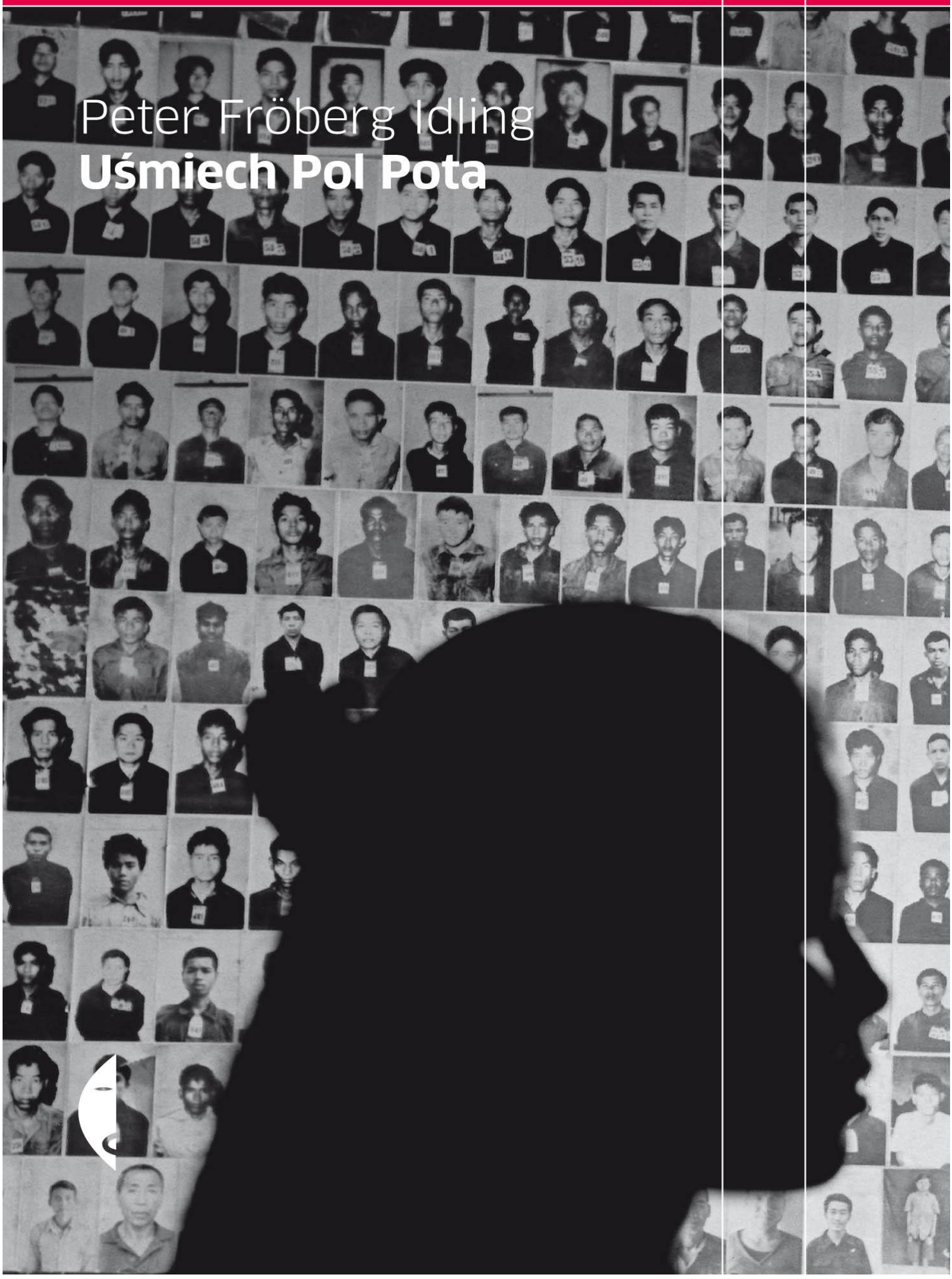

Seria REPORTAŻ
Przełożył Mariusz Kalinowski
Wołowiec 2010
Tytuł oryginału szwedzkiego POL POTS LEENDE: OM EN SVENSK RESA GENOM RÓDA KHMERERNAS KAMBODJA
Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2010

Peter Fröberg Idling *urodził się w 1972 roku. Pracował jako dziennikarz, a następnie radca prawny dla organizacji humanitarnej w Kambodży. Tam zrodził się pomysł jego pierwszej książki - Uśmiechu Pol Pota - która ukazała się w 2006 roku. Rok później Idling jako jedyny pisarz został nominowany do nagrody dziennika "Dagens Nyheter" za osiągnięcia w dziedzinie kultury. Regularnie publikuje w najważniejszych szwedzkich gazetach: "Dagens Nyheter", "Tidningen Vi", "Upsala Nya Tidning". Obecnie pracuje nad swoją pierwszą powieścią.*

Peter Fröberg Idling

Uśmiech Pol Pota

Droga przez krajobraz. Nie da się jechać siedemdziesiąt na godzinę, nie znając wcześniej tych zakrętów, wysadzin mrozowych, kolein. Droga nie różni się tak bardzo od tych kambodżańskich. Prastara ścieżka, poszerzana przez stulecia. Pokryta asfaltem w naszych czasach. Nawierzchnia już zniszczona, popękana. Wzrok specjalistów od inżynierii społecznej jest skierowany gdzie indziej. Mój samochód wyprodukowano w 1971. Czerwony lakier miejscami wypłowiał, w górnym lewym rogu pękniętej przedniej szyby wyryty napis “Made in West Germany".

Tamtego roku USA wykonały 61000 nalotów bombowych na Kambodżę. Pol Pot wtedy jeszcze nazywał się Saloth Sar, a mnie nie było na świecie. To ma być pierwsza rozmowa. Wczesne lato, słońce stoi nisko nad świerkami. Gdy tylko drzewa ustępują, rozpościerają się jasnozielone pola z głazami narzutowymi. Tu ludzie orzą ziemię od tysiąca lat. Przychodzi mi na myśl, że to właściwa droga, bo ma więcej wspólnego ze swoimi siostrami w Kambodży niż E4. Że to właściwe auto, bo zaczęło swoją służbę, zanim na mapie wyrysowano Demokratyczną Kampuczę. To wszystko. Bramka jest zielona. Po obu stronach bujny żywopłot z kwitnącego bzu.

Czy tego się spodziewałem? Nie miałem przecież żadnych oczekiwań. Ale chyba jednak nie tego. Nie czerwonego domku tonącego w bzach, przy takiej drodze.

2.

Przejście 475 metrów dzielących bramę Angkor Wat od jego centralnej świątyni zajmuje niecałe pięć minut. Wybudowane w XIII wieku wieże symbolizują pięć świętych gór Indii. Ocean wyobraża tu potężna fosa. A dookoła, na przestrzeni wielu mil kwadratowych, rozsiane są stawy, duże jak jeziora, wykopane ręcznie. Pośród nich stoją setki wielkich świątyń. Nigdzie na świecie nie ma czegoś podobnego. Szacuje się, że kiedy budowano Angkor Wat, w mieście mieszkało koło miliona ludzi. Oznacza to największą metropolię tamtej doby. Większą niż Pekin i większą niż Paryż. Sylwetka Angkor Wat zdobiła wszystkie narodowe flagi Kambodży. Powiela się ją, widzianą pod światło, w świetle poranka i wieczoru, w foto albumach i na widokówkach. Z całego świata ściągają turyści, żeby ją zobaczyć. I niewątpliwie jej uroda zapiera dech w piersiach. Rzadziej mówi się o tym, jak tę świątynię wzniesiono. Jakim cudem tak wiele wspaniałych budowli mogło powstać w tak krótkim czasie przy użyciu tak prymitywnych środków. Zdaniem history-

ków niezbędny był do tego system niewolniczy. Jeden olbrzymi obóz pracy.

Żonglować cyframi jest łatwo: wysokość, szerokość i czas. Ale ile ludzkich istnień kosztowały te cuda architektury? Ile trzeba czasu, żeby zapomnieć o ucisku i terrorze i widzieć same monumenty? Można przedstawić to po prostu, w wersji obiegowej.

Wojna w Wietnamie zdestabilizowała sąsiednią neutralną Kambodżę. W 1970 zamach stanu generała Lon Nola pozbawił władzy głowę państwa, księcia Sihanouka. Następnie rozpętała się wojna domowa między reżimem Lon Nola, wspieranym przez USA, i komunistyczną partyzantką, tak zwanymi Czerwonymi Khmerami. Gdy USA W 1975 wycofały się z Wietnamu Południowego, upadł także rząd Kambodży. Władzę objęli Czerwoni Khmerzy i pod przywództwem nieznanego wcześniej Pol Pota rozpoczęli niezwykle radykalną społeczną przebudowę. Kraj przechrzczono na Demokratyczną Kampuczę, a ludność miast deportowano na wieś, do obozów pracy przymusowej. Zlikwidowano własność prywatną, religię i pieniądze. Celem była inspirowana myślą Mao wiejska utopia. Z czasem okazało się, że Pol Pot to w istocie Saloth Sar, wykształcony w Paryżu były nauczyciel. W ciągu następnych trzech i pół roku, wskutek głodu i nędzy, chorób i egzekucji, zmarło co najmniej 1,7 miliona ludzi, jedna piąta narodu. W grudniu 1978 Demokratyczną Kampuczę zajęły wojska wietnamskie. Obalono Pol Pota i utworzono rząd lojalny wobec Wietnamu. Czerwoni Khmerzy znowu podjęli wojnę partyzancką z baz pod tajską granicą. Złożyli broń ostatecznie po śmierci Pol Pota, w 1998. Pierwsze demokratyczne wybory w Kambodży, zorganizowane przez ONZ, odbyły się w 1993. Tak wygląda Historia.

Pol Pot gdzieś z dżungli, znikąd. Szereg z czaszek. Proste i niepojęte. To moje pierwsze wspomnienie. Wnętrze dziecięcego wózka. Dorośli idący na zewnątrz, wszyscy w jedną stronę. Niebo jest chyba szare, ale może to sobie teraz dorabiam. Krzyczymy, oni idą, a ja niedługo mam skończyć trzy lata. Pamiętam, że mnie śmieszy, że krzyczymy kiss. Choć niezupełnie, bo krzyczymy “Kissinger". Kissinger! Kissinger! Mor! Der! Ca! Kissinger! Kissinger! Mor! Der! Ca! Jesteśmy w Sztokholmie, jest 17 kwietnia 1975. Hasło brzmi: “USA wynocha, dla nas to radocha". Phnom Penh zostało zdobyte i tutaj wszystko się zaczyna. Choć przecież jasne, że nie tu, nie w tym miejscu. Niby dlaczego mia-

łoby zacząć się w Sztokholmie? Zaczyna się w małej bibliotece ze szwedzkimi książkami w Phnom Penh. Szwedzka organizacja pomocy humanitarnej i praktykant. Gdzieś z zachodniego wybrzeża, może z Góteborga. Przynajmniej taką melodię mają jego słowa, kiedy mówi, że ich chyba, kurwa, pojebało.

Pokazuje cienką książeczkę z czarno-białym zdjęciem. Ich chyba, kurwa, pojebało, mówi, a książeczka sklejona jest pożółkłą taśmą. Tytuł "*Kampuchea mellan tvd krig"* [*Kampucza między dwiema wojnami*], wydana wiosną 1979. To bardzo entuzjastyczny reportaż z podróży po Demokratycznej Kampuczy Pol Pota. Autorzy są podani alfabetycznie. Może tylko zgodnie z tradycją, a może to hierarchia do przyjęcia dla ludzi, którzy odrzucają wszelkie hierarchie. Bo biorąc rzecz nieformalnie, porządek jest jednak inny. Pielęgniarz psychiatryczny, studentka, dziennikarka i światowej sławy pisarz. Trzy osoby koło trzydziestki, ten ostatni po pięćdziesiątce. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Jedna z kobiet jest zamężna z Kambodżaninem, którego spotkała kilka lat wcześniej we Francji. To ona zna najlepiej młodych, skrajnie lewicowych intelektualistów z Kambodży. Jej mąż jest rewolucjonistą, początkowo reprezentował kraj na placówce dyplomatycznej w Berlinie Wschodnim.

Kiedy ta czwórka Szwedów podróżuje przez Demokratyczną Kampuczę, on przypuszczalnie już nie żyje, zgładzony przez rewolucję, za którą walczył. Ona o tym nie wie, pozostali Szwedzi też nie. Sądzą, że jest zbyt zajęty, żeby się z nimi zobaczyć, zbyt zaabsorbowany swoim rewolucyjnym obowiązkiem.

Ale cała sprawa nie zaczyna się, oczywiście, w tamtej bibliotece, od tamtego oburzonego praktykanta z Góteborga. Nie od sfatygowanej książki z nazwiskami w porządku alfabetycznym. Zaczyna się gdzie indziej. O ile w ogóle da się powiedzieć, że się zaczyna. Jedno wiąże się z drugim. Powraca albo pozornie powraca. Cyrkuluje. Możemy chyba powiedzieć, że zaczyna się wraz z końcem tej historii? Możemy chyba powiedzieć, że zaczyna się z początkiem? Lub że zaczyna się ponownie, czemu nie? Albo, po prostu, że toczy się dalej?

[Jak migotanie białe]

Pewien strzał sześćdziesiąt lat temu.

Jeden z kolegów Saloth Sara z podstawówki pamięta ten strzał do dziś. Mecz piłki nożnej przy szkole w Kompong Cham. Strzał z przewrotki. Wciąż istnieje, chociaż tak wiele innych rzeczy zniknęło. Podobno był niezłym piłkarzem, Saloth Sar. Jeszcze nie Pol Pot, dużo wcześniej.

Tylko Saloth Sar. Miał dryg do piłki, ale też słabość do francuskiej poezji romantycznej. Paula Verlaine'a. Wiktora Hugo. I lubił grać na skrzypcach. To mu szło gorzej, mówią ci, co pamiętają. Możemy sobie wyobrazić ciężką, brązową, skórzaną piłkę. Może jakieś dośrodkowanie. Jak on, odwrócony plecami do bramki, skacze, nożycuje nogami, leżąc niemal poziomo w powietrzu. Trafia piłkę i mocno posyła ją w bramkę. Kto stał na bramce? Nikt już nie pamięta. Może Lon Non, młodszy brat późniejszego puczysty Lon Nola i najbliższy przyjaciel Saloth Sara?

Albo może Khieu Samphan, który później został prezydentem Demokratycznej Kampuczy? Syn sędziego był przecież kujonem, do tego parę lat młodszy. Chyba niewiele byłoby z niego pożytku, gdyby grał w polu? Ten strzał z przewrotki ludzie pamiętają, tam, na boisku, w stolicy prowincji. Trzydzieści lat później Saloth Sar miał zatwierdzić wyrok śmierci na Lon Nona. Jeśli nie wcześniej, to właśnie wtedy grali w przeciwnych drużynach. Czy zanim wydał zgodę na egzekucję, pomyślał trochę o czasach, gdy byli nierozłączni? Kiedy kopali piłkę albo kąpali się razem w Mekongu? Czy rewolucyjne seanse samokrytyki całkiem wykorzeniły jego sentymenty? Strzał z przewrotki, bramka. Czarujący Saloth Sar. Uśmiechnięty. Jak chyba każdy strzelec bramki.

6.

Na okładce tej posklejanej taśmą książki jest czarno-białe zdjęcie. Ludzie niosący ziemię na wysokim brzegu rzeki. Plecione kosze, niektórzy w czarnych ubraniach. Dwoje młodych, umieszczonych w centrum kadru, z lekkim uśmiechem spotyka spojrzenie patrzącego. Z tyłu okładki widzimy szwedzką delegację, ustawioną przed Angkor Wat. Jest sierpień, pochmurnie i ciepło. Są w koszulach z krótkimi rękawami i sandałach. Ich ubrania wyglądają nader skromnie. Czy to świadomy wybór? Po prawej stronie stoi Hedda Ekerwald. Uśmiecha się słabo, trochę tak jakby fotograf zwlekał niepotrzebnie, a jej uśmiech powoli wygasał. Dalej Gunnar Bergström, przewodniczący, poważny, z rękami założonymi na piersi, w kupionej w Chinach maoistowskiej czapce z daszkiem. Potem Marita Wikander, uśmiechnięta, z przeciwdeszczową

kurtką w rękach. W końcu, po lewej stronie, Jan Myrdal, chyba w czarnych półbutach. On też wygląda wesoło, wystrojony prawie jak chłopiec, z plecakiem i okazałym zegarkiem na ręce. Trawa, w której stoją, jest niska, szerokolistna. Pięćdziesiąt metrów dalej potężne wieże Angkor Wat. Samotna palma cukrowa wyciąga swoją pierzastą koronę ku szaremu niebu. Rośnie przy schodach przed jednym z wejść w świątynnym murze. Pochyla się lekko w prawo. Jeżeli jeszcze tam stoi, można by łatwo znaleźć miejsce, w którym zrobiono zdjęcie. Jeżeli miejsce jest to samo, czy widać dziś to, co oni wtedy widzieli?

7.

Dnia 15 maja 1975, niecały miesiąc po zajęciu Phnom Penh przez Czerwonych Khmerów, Per Olov Enquist pisze w “Expressen":
“Przez długie lata zachodni imperializm gwałcił azjatycki kraj, pozbawił życia prawie milion ludzi, zamienił piękne kambodżańskie miasto, centrum dawnej kultury, w getto, w dom publiczny. Ale lud powstał, oswobodził się, wyrzucił intruzów, uznał, że jego piękne miasto musi odzyskać twarz. Wtedy dom opróżniono i wzięto się do sprzątania. Zaczęto szorować podłogi i ściany, aby ludzie nie żyli tu w poniżeniu, tylko w spokoju i godnie. A na Zachodzie leją się krokodyle łzy. Dom publiczny jest opróżniony, trwa sprzątanie. Jedynie alfonsi mogą nad tym ubolewać. Jednak to nam pokazuje, że walka nie jest historycznym monumentem, martwym pomnikiem; ona trwa". Walka, która toczy się dalej. Zapamiętajmy to.

8.

ŁOPATA TO TWOJE PIÓRO, POLE RYŻOWE TO TWÓJ PAPIER!

9.

Za każdym razem kiedy słucham tej radiodepeszy z 18 kwietnia 1975, jest tak samo. Rzeczowy głos dziennikarza agencji TT, nienaganna dykcja, bezczas w eterze. Puszczam to jeszcze raz. “Cisza wokół stolicy Kambodży, Phnom Penh, jest teraz praktycznie totalna. Nie działają żadne środki komunikacji. Radio Frontu Narodowego podało dziś tylko, że zdobyto drugie co do wielkości miasto Kambodży, Battambang, oraz osiem mniejszych miast". To tak jakby się stało nad granicą i patrzyło na pola ryżowe i palmy. Sklepiony nad tym wszystkim błękit nieba. Cisza w krajobrazie. Nieobecność ruchu. Tam, za hory-

zontem, przekręcił się klucz i powoli, z mozołem, mechanizm poszedł w ruch.

10.

To kraina wody. Mój samolot nie leci nad ziemią, leci nad morzem. Myślę sobie, jak tu, cholera, można wylądować. Wąskie drogi, wysadzane drzewami, tną brunatne fale. Jest wrzesień i pora deszczowa dobiega już końca. Wygląda to tak, jakby Mekong rozlał się na cały kraj. Prawie tak samo wyglądało to 12 sierpnia 1978, kiedy chiński boeing 747 po pięciu godzinach lotu zbliżał się do Phnom Penh. Tylko trochę mniej wody. W samolocie siedziała szwedzka delegacja oraz ubrany urlopowo jakiś zespół pieśni i tańca z Rumunii. Pękła pokrywa chmur i troje z czworga Szwedów na pokładzie ujrzało po raz pierwszy kraj, któremu poświęcili parę ostatnich lat swojego życia. Pola ryżowe, słońce i brunatna woda.

W dzienniku podróży Hedda Ekerwald pisze, że łzy stanęły jej w oczach, bo krajobraz był cały usiany lejami po bombach. Zmikrofilmowane strony gazet przelatują jedna za drugą, wyświetlane na białym ekranie przede mną. Projektory stoją jeden za drugim w mrocznej sali w podziemiach Biblioteki Królewskiej w Sztokholmie. Większość jest zajęta i terkocze, gdy naukowcy przewijają taśmy wte i wewte. Każdy siedzi przed swoim prostokątem światłą, pogrążony w pokrytych niepamięcią newsach i fotografiach. 15 kwietnia 1975. Przewijam dalej. Strony śmigają szybko. 16 kwietnia 1975. Jadę dalej. Zdjęcia, ogłoszenia. Piłkarz Ralf Edström rozbił sobie wargę, Olof Palme nazywa Czechosłowaków marionetkami dyktatury.

17 kwietnia 1975. Na czołówkach dzienników “Aftonbladet" i “Expressen" ta sama wiadomość: “Phnom Penh zdobyte". Wysłannicy obu gazet relacjonują bezpośrednio stamtąd. Na ulicach sceny radości. Partyzanci i żołnierze rządowi padają sobie w ramiona. Broń umilkła. Obaj są świadkami, jak trupio blady premier Sirik Matak próbuje schronić się w siedzibie Czerwonego Krzyża. Jak musi zawrócić spod bramy. Dalszy ciąg reportaży w środku gazet. Dzienniki poranne nie zdążyły z tym newsem. Trafia na pierwsze strony następnego dnia. Jako przywódcy rewolucji przedstawiani są książę Sihanouk i Khieu Samphan. Khieu Samphan to jeszcze jeden z serii pięknych jak z obrazka inteligentów-rewolucjonistów. Trochę jakby kambodżański Che Guevara.

Tak różny od zachodnich sympatyków lewicy, a mimo to taki podobny. Żyjący w zgodzie z ideą, której służy. Na fotografiach uśmiecha się do kamery, w tle za nim dżungla, baza partyzantów, która przez prawie dziesięć lat była mu domem. Nigdzie nie widać prawdziwego wodza. Przy wyliczaniu kluczowych postaci przewrotu nie pada jego nazwisko. Pol Pot, nieznany poza kręgiem ścisłego kierownictwa, woli na razie pozostawać w cieniu.

W ciągu następnych dni doniesienia stają się coraz bardziej skąpe. Demokratyczną Kampuczę zamknięto. Wszelka łączność została zerwana. Wedle pogłosek, dementowanych przez przedstawicieli nowego rządu, opróżnia się miasta. Komentatorzy prasowi są zdezorientowani. Jak to należy rozumieć? Analizy są bardzo niepewne. Ale w całym regionie dzieje się tak dużo. Wojna w Wietnamie wchodzi ostatecznie w końcową fazę. To wypełnia szpalty. A już za parę dni Frakcja Czerwonej Armii (RAF) uwięzi zakładników w Ambasadzie Niemiec Zachodnich w Sztokholmie. Światowa rewolucja zagości nagle w środku szwedzkiej wiosny. Przekręcam gałkę projektora. Strony lecą jedna za drugą w szybkim tempie. To inne czasy. Jaki przewrót w kraju Trzeciego Świata mógłby dziś trafić na nagłówki porannych gazet? Jaka wojna, w której nie są bezpośrednio zaangażowane USA czy UE, mogłaby zająć czołówki popołudniówek? Gazety są komercyjne, i wtedy, i teraz. Piszą o tym, co się sprzedaje, o czym większość ludzi chce czytać. Mówi się czasem, że ówczesne zainteresowanie małymi, biednymi krajami gdzieś spoza linii horyzontu wynikało w istocie z egoizmu.

W 1975 trwała zimna wojna. Każdy drobny lokalny konflikt mógł, przy udziale wielkich mocarstw, przerodzić się w globalną wojnę atomową. Dlatego było ważne, żeby wiedzieć, co dzieje się w Angoli, Kambodży i na Kubie. Możliwe też, że ludzi w tamtych czasach po prostu bardziej obchodzili inni ludzie, nawet ci spoza zachodniego świata. Tak czy owak, wielkość tytułów w nagłówkach mówi coś o Towarzystwie Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej. Wprawdzie to tylko mały odłam ruchu solidarności z FNL, ale konflikt w Kambodży to nie była sprawa angażująca garstkę zapaleńców. Znajdowała się w centrum uwagi. Toteż podróż delegacji z Janem Myrdalem na czele mogła, rzecz jasna, liczyć na medialny odzew. Podróż do kraju, który zasklepił się sam w sobie. Do krainy marzeń. Do rzeźni.

12.

Reporter “Aftonbladet", Sven-Oskar Rühmen, znalazł się w Phnom Penh 17 kwietnia 1975. Dzień później opisywał wkroczenie Czerwonych Khmerów: “Dla przybysza ze Szwecji był to wspaniały widok. Nigdy wcześniej w życiu nie przeżyłem tak pięknej sceny. Byłem szczęśliwy, czułem ulgę i poruszony tym, co widzę, nie potrafiłem powstrzymać łez".

To ostatni telegram wysłany z Phnom Penh, zanim zamilkły wszystkie telefony, radiostacje i dalekopisy.

13. MNIEJSZOŚĆ MUSI USTĄPIĆ WIĘKSZOŚCI!

14.

[Jak migotanie białe]

“Czuliśmy się jak małpy, prosto z dżungli".

Mey Mann był w 1949 w tej samej grupie dwudziestu jeden stypendystów co Saloth Sar. Podróżowali razem: Phnom Penh - Sajgon. Później Sajgon - Paryż. Właśnie spotkanie z Sajgonem sprawiło, że poczuł się jak małpa. To było całkiem inne miasto niż Phnom Penh. Centrum handlowe całego regionu. Wielki port przeładunkowy Francuzów. Phnom Penh natomiast było znane ze spokoju. Szerokie, cieniste bulwary, prawie żadnego ruchu. Rzeki Tonie Sap i Mekong zlewają się przy nabrzeżu, wielkie i leniwe. Jakby to one nadawały tempo. Sajgon to było całkiem co innego. A później: “ss Jamaique" do Europy. Zardzewiały statek pasażerski, skonfiskowany francuskiej armii. Cztery tygodnie w czwartej klasie. Morze, nieznane wybrzeża. Przygoda, o jakiej tych dwudziestu jeden młodych mężczyzn nawet nie śmiało marzyć. Saloth Sar przy relingu. Wiatr, słońce i rozkołysane morze, które większość jego kolegów trzyma w mdlącym uścisku choroby morskiej. On ma dwadzieścia cztery lata i należy teraz do bardzo uprzywilejowanej grupy. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wykształcenie za granicą zdobyło nie więcej niż dwustu pięćdziesięciu Kambodżan. O czym teraz myśli, kiedy opuszcza znany sobie świat, by odkryć ten, o którym tylko czytał? Bali się zimna w Europie, opowiada dużo później Mey Mann. Ale przecież chyba nie o tym głównie rozmyślali? Jak się ułożą ich studia? Gdzie będą mieszkać? Czy może to tylko detale tej przygody? Są z nimi na statku francuscy żołnierze wracający z wojny w Wietnamie.

Saloth Sar zaprzyjaźnia się z nimi. Każdego wieczoru dają mu ze swojego wojskowego przydziału dzban czerwonego wina, którym on dzieli się z resztą studentów. Zajmuje się też wyżywieniem swoich towarzyszy. Kambodżańscy studenci uważają, że francuski prowiant na statku nie nadaje się do jedzenia. Gdy zawijają do Dżibuti, korzystają z okazji, żeby kupić przyprawy i cytryny. Wszystko, co rozpoznają. Saloth Sar zostaje kucharzem grupy. Niespodziewany talent.

Wino i jedzenie. To mu musiało odpowiadać. Ma opinię człowieka, który lubi używać życia. Bon vivanta. W Phnom Penh pozostawia swoją dziewczynę, dziewiętnastoletnią Soeung Son Mały. Tę, którą inni mężczyźni nazywają “królową piękności". Ci, którzy dyskutują o walce wyzwoleńczej Kambodży. Saloth Sar nie dyskutuje. Naciąga Francuzów na wino i oddaje się marzeniom o mademoiselle Soeung.

15.

Na półce w domu moich rodziców natrafiam na znajomą książkę. Przednia część gdzieś się zapodziała, ale był tam tytuł: Książka do historii. To najwyraźniej norma, że ta książka się rozpada. Wydrukowano ją w pewnej starej stodole, w 1970, w nowo powstałym wtedy wydawnictwie Ordfront. Klej, którego użyto, poprzedniej zimy zamarzł, więc książki wyszły dość nietrwałe. Książka do historii to pierwszy większy sukces komercyjny oficyny i pamiętam, że jako dziecko często ją czytałem. Składa się na nią w sporej części rysunkowy obraz historii. Zamiast o królach i wojnach książka mówi o tym, jak żyło się zwykłym ludziom od epoki lodowej do dzisiaj. Czy właściwie do wtedy.

Ostatni rozdzialik jest poświęcony kolonializmowi i rewolucjom z lat sześćdziesiątych. Przez dwie sąsiednie strony przebiega transparent. Na nim widnieje napis: “Korea Kuba Wietnam Chiny Albania". Pod nim sielski obrazek: ludzie pracujący razem na polach. Czytam: “Cały lud uczestniczył w wyzwalaniu swego kraju. Teraz chodziło o to, aby biurokraci, partyjni bonzowie czy technicy nie wydarli władzy z rąk ludu! Ażeby urzędnikom i pracownikom umysłowym nie wydawało się, że są kimś lepszym od zwykłych robotników, co roku powinni zakosztować pracy w fabryce lub na roli. Drzwi uniwersytetów i innych szkół wyższych są otwarte dla robotników i chłopów. Chłopów nie zmusza się, by migrowali do wielkich miast przemysłowych, tak jak w Związku Radzieckim. Odwrotnie, buduje się fabryki w małych miasteczkach i

wsiach, gdzie ludzie już mieszkają".

16.

JEŚLI CHCESZ ZNISZCZYĆ WROGA, MUSISZ GO ZNISZCZYĆ W SOBIE SAMYM!

17.

Czworo Szwedów odwiedza Kambodżę w momencie, gdy przez granicę nie przepuszcza się prawie nikogo. Kraj, w którym efektywna piekielna machina pracuje bez chwili wytchnienia i gdzie każdego dnia umiera ponad tysiąc dzieci, kobiet i mężczyzn. Jeśli pozostać w świecie statystyki, to gdy samolot ze Szwedami schodził do lądowania w Phnom Penh, w kraju zmarło już 1 milion 330 tysięcy ludzi. Nazwiska zmarłych mogłyby wypełnić prawie 13,5 tysiąca stron takich jak ta albo 34 książki takich rozmiarów jak ta. A jeszcze 3 700 niezapisanych stron czekało na żyjących, którzy wkrótce mieli umrzeć. To tani przykład. Poza tym się nie zgadza. Bo w 1978 zmarło więcej ludzi niż w poprzednich latach. Niewolnicza praca wyniszczała ciała, głód srożył się coraz bardziej, terror stawał się coraz bardziej kapryśny. Łatwo ugrzęznąć w liczbach. Bo jak to inaczej przedstawić? Nie sposób wyobrazić sobie tych wszystkich twarzy, wszystkich życiorysów.

Sześć katastrof tsunami, nie rozsianych po całej Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, tylko skoncentrowanych w jednym kraju wielkości połowy Szwecji? Olbrzymia fala, przewalająca się, rok za rokiem, przez wsie i pola ryżowe? Nie da się wszystkich ich pomieścić w jednym uczuciu, w jednej myśli. Sfatygowana książka z czterema nazwiskami w porządku alfabetycznym. Gunnar Bergström, Hedda Ekerwald, Jan Myrdal i Marita Wikander. Ci, którzy tam byli.

Jan Myrdal jest postacią powszechnie znaną w Szwecji już od lat pięćdziesiątych. Nadal czynny pisarz i drapieżny publicysta. Ale ci inni? Gdzie są teraz? Jak wspominają swoje duszne, gorące, sierpniowe tygodnie w Demokratycznej Kampuczy, dzisiaj, dwadzieścia pięć lat później? Jak oceniają to swoje entuzjastyczne świadectwo z podróży przez masowy mord?

18.

Islandzki noblista Halldór Laxness pisze w 1963, w książce “Skdldatimi” [Czas pieśni], o swoich dawnych podróżach do Związku Ra-

dzieckiego Józefa Stalina: “Wielu bało się także - a sam byłem jednym z nich - że jeśli zacznie się głośno mówić o niewątpliwej nędzy socjalizmu u Stalina - w samej »ojczyźnie proletariatu« - to zaszkodzi się postępom socjalizmu w ogóle. Mówiono sobie »kto wie, czy mały Eylof jeszcze nie wydobrzeje« i z tą nadzieją czekano niecierpliwie, tuszując tymczasem niedostatki".

Może to jest odpowiedź? Szwedzi widzieli, ale po powrocie woleli nic nie mówić, by nie zaszkodzić rewolucji, która z gruntu była dobra?

Albo może widzieli rzeczy i sytuacje, które dopiero teraz, z obecnej perspektywy, potrafią właściwie zinterpretować? Jedno albo drugie. Dziś muszą umieć na to odpowiedzieć. Teraz, kiedy czas teraźniejszy roku 1978 stał się prześwietloną historią. Trzy nazwiska, wystarczająco oryginalne, żeby dało się je wyśledzić. Na wyklejce można odnaleźć jeszcze kilka tropów. Gunnar Bergström, przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej, był w 1978 pielęgniarzem psychiatrycznym. Hedda Ekerwald, członkini zarządu, była studentką socjologii. Marita Wikander, ona też w zarządzie, była redaktorką. Zaczynam szukać. Okazuje się to łatwe. Odnajduję wkrótce konsultanta do spraw przestępczości nieletnich, adiunkta na socjologii oraz rzecznika prasowego pewnego muzeum.

19.

Gdy obok ich nazwisk mogłem już zapisać numery telefonów, miałem wrażenie, jakbym zbliżał się do odpowiedzi na moje pytanie: Jak można podróżować przez sam środek jednej z największych masowych zbrodni XX wieku i niczego nie widzieć? Czy usta mieli pełne życzliwych kłamstw, “tuszujących tymczasem niedostatki"? Czy dali się kompletnie wywieść w pole? Jedno albo drugie. Już wkrótce miało się okazać, że to nie całkiem takie proste. Myśl ześlizguje się bezwładnie w kontrafaktyczne spekulacje. Zbliża się lato 1950 i łatwo zadać sobie pytanie, czy wszystko mogło potoczyć się inaczej. Nie wiem, do czego to pytanie ma prowadzić. Żeby pomyśleć przez moment: że nie? Ale jest wiosna w Paryżu 1950. Semestr się prawie skończył i kambodżańscy studenci mogą wybierać między dwiema wakacyjnymi wycieczkami. Jedna jest do Szwajcarii, a druga do Jugosławii. Dla nich to jeszcze tylko nazwy na mapie. Różnica taka, że ta pierwsza oferta kosztuje, a druga jest darmowa. Czy Saloth Sar wolałby alpejskie wędrówki, nie wiemy. Bardzo możliwe. To by dość dobrze pasowało do

obrazu dwudziestopięcioletniego Saloth Sara. Ale on jest bez grosza. To rozstrzyga. Niech będzie Jugosławia. Pod Zagrzebiem buduje się nową, wielką autostradę. Braterstwa i jedności, jak się ją nazywa. Część robót budowlanych wykonuje brygada międzynarodowa. Młodzież z całej Europy pracuje razem przy odbudowie zniszczonego wojną kontynentu. To tam pojedzie Saloth Sar. Pracują przez trzy dni w tygodniu, a przez następne cztery zajmują się kulturą, sportem, tym i owym. Z jedzeniem jest krucho, a robota ciężka. Ale trwa lato, a oni są młodzi i dobrze się bawią.

Dużo później, kiedy Saloth Sar zostanie już Pol Potem, w wywiadzie dla jugosłowiańskich dziennikarzy, jednym z nielicznych, jakich w ogóle udzieli, wspomni o pracy w tej brygadzie z sentymentem. Naprawdę mu się podobało? Czy może to fałszywy trop, jak wiele innych z jego autobiograficznych danych? Ale może to prawda. Latem 1951 powróci tam, ale tym razem na wakacje pod namiotem z paroma przyjaciółmi.

Jakie wrażenie zrobiła ta brygada pracy na apolitycznym jeszcze Saloth Sarze? Jak odcisnęła się na nim heroiczność tej wizji, by ramię w ramię urzeczywistniać krainę przyszłości? Oszczędne racje żywnościowe i momentami ciężka praca, czy to coś mówi o warunkach w Demokratycznej Kampuczy dwadzieścia pięć lat później? Czy idea narodu pracującego zrodziła się tam? Czy są to tylko analogie, które widzę, bo chcę, żeby tam były?

21.

[Fragmenty tła]

Ze zgliszcz drugiej wojny światowej powstaje nowa Europa. Szybki rozwój ekonomiczny kładzie podwaliny pod nowoczesne społeczeństwo konsumpcyjne, USA to kraj prekursorski, z którego szwedzkie lata pięćdziesiąte czerpią wzory. To nowe czasy. Budżet domowy wystarcza na coraz więcej. Coraz więcej młodych zdaje maturę i idzie dalej, na uniwersytety. Wiejskie dzieci migrują do miast, gospodynie domowe podejmują pracę zarobkową. Rośnie państwo dobrobytu. To szybki ruch ku czemuś nowemu, czemuś lepszemu, nowocześniejszemu. Wojna światowa się skończyła i już nigdy więcej. Pacyfizm łączy ludzi ponad podziałami i plany szwedzkiej bomby atomowej zostają odrzucone.

Później, kiedy z ekranu każdego telewizora leje się przemoc w

Wietnamie, reakcja jest proporcjonalna. Być może oburzenie jest tym większe, że to amerykański wyzwoliciel zamienił się w imperialistycznego ciemiężyciela? Upadek jest o tyle głębszy. Szwedzki i europejski opór przeciw tej wojnie wiąże się z opcją lewicową. Ale w zastygłych pozycjach zimnej wojny Związek Radziecki nie jest oczywistą alternatywą. Na pierwszym planie stoi solidarność z krajami Trzeciego Świata i koloniami. Z ich walką o polityczną i gospodarczą niezawisłość.

Wojna w Wietnamie ogniskuje w sobie światowe konflikty. Tam jak na dłoni widać niesprawiedliwość i grę sprzecznych interesów. W maju 1968 kulminuje studencka rewolta w Paryżu. Na ulicach płoną samochody i dziesięć milionów francuskich robotników zaczyna strajk generalny. Wszędzie na świecie idą pochody demonstrantów, którzy żądają zmian. Ten bunt nie jest lokalny, ma cechy rewolty globalnej. W Szwecji powstaje mnóstwo stowarzyszeń popierających walkę Wietnamczyków; ruch FNL, nazwany tak od armii wyzwoleńczej Wietnamu Południowego. Prowadzone są zbiórki pieniędzy. W 1973 zebrano 8,3 miliona koron. Angażuje się w to przede wszystkim młodzież. Wystają przed domami towarowymi i sklepami monopolowymi, sprzedając biuletyn wietnamski i potrząsając skarbonkami. Ale nie tylko po to, by zbierać pieniądze. Chcą oddziaływać na opinię, więc usiłują wszczynać dyskusje polityczne z przechodniami. Chodzi o stworzenie jak najszerszego “frontu jedności", w którym polityka partyjna ustąpi wielkim celom. Stowarzyszenia skupione w ruchu FNL opierają się na pracy wolontariuszy. Ich ofiarność jest godna podziwu. Aktywiści pracują zazwyczaj przez trzy wieczory w tygodniu, nierzadko także w sobotnie popołudnia. Chodzą na kółka samokształceniowe, organizują zebrania i manifestacje. To poważna praca. Dobry aktywista jest uzbrojony ideologicznie, zdyscyplinowany i nie pije alkoholu. Wszystko wrze, polityka znów wzbudza namiętności. Wirują wałki powielaczy. Wydaje się, że władza wyszła ze zgnuśniałego parlamentu i gości teraz wśród tych, którzy gotowi są walczyć.

To, co się robi albo nie na szwedzkich ulicach, ma znaleźć oddźwięk w światowej polityce. Polityka dotyczy każdego, nie tylko dalekich dysponentów władzy. Uliczne manifestacje, które dawno już skostniały w socjaldemokratyczny rytuał, przechodzą w zamieszki, kiedy na ich drodze staje policja. Ale nie tylko młodzież chce końca tej wojny. Z inicjatywy wszystkich pięciu partii parlamentarnych startuje

akcja zbierania podpisów pod apelem do prezydenta USA, Richarda Nixona, o zakończenie bombardowania Wietnamu. W ciągu miesiąca apel podpisuje 2,7 miliona Szwedów. Ta żarliwość udziela się zaangażowanym. Liczą oni “na własne siły" i wielu z nich głęboko przeżywa tragedię Wietnamczyków, którzy widzą swoje miasta obracane w gruzy przez bomby i swoje rodziny płonące pod napalmem. Ta wojna jest tak cyniczna i głęboko niemoralna, że nie można przyglądać się jej w milczeniu, USA roztrwoniły cały kapitał zaufania. Należy działać.

22.

NAWET SAMOTNIE MOŻESZ DOKONAĆ REWOLUCJI!

23.

Te lata walki. Te wszystkie długie wieczory na zebraniach i kursach samokształceniowych. Wszystkie metry bieżące czytanej literatury, która na sto sposobów potwierdzała to, o co walczono. Godziny wystane przed lokalnym sklepem spożywczym. Dyskusje. Poznane prawdy, objawione zależności. I wniosek. Wojna USA jest sprzeczna z prawem międzynarodowym. To próba utrzymania zniewolonego narodu w okowach. Ale spójrzmy na kraj druzgotany bombami! Tam rozkręca się działa na kawałki i transportuje przez dżunglę rowerami. Walczy się do upadłego. Nie ustępuje ani na krok. Przeciwnie: odwojowuje się kraj, cal za calem, kilometr za kilometrem. Już prędzej śmierć niż klęska i niewola.

Amerykanie zostaną zmuszeni do zaakceptowania podstawowego prawa: nie da się wygrać wojny, kiedy się ma przeciwko sobie cały naród.

Nie da się wygrać wojny narodowej. A ponieważ naród walczy ramię w ramię, kobiety i mężczyźni, chłopi i dyrektorzy, to nowe będzie budowane wspólnie. Znajdzie się miejsce dla wszystkich. Całkiem inaczej, niż to wyglądało na Zachodzie. To w krajach Trzeciego Świata narodzi się nowoczesne społeczeństwo przyszłości. Sprawiedliwsze. Bardziej godziwe. Bardziej prawe.

24.

To prawie jak film z piekła. Nie, żeby składał się z piekielnych scen, chodzi o to, że są to ruchome obrazki ze świata po drugiej stronie. Obrazki z kraju, którego prawie nie ma na zdjęciach, nie wspominając

już o filmach. Z kraju istniejącego głównie jako tekst. Jako wspomnienia. Jako przeświadczenia. Film pokazano w TVI 1 kwietnia 1979. Zaczyna się od wypowiedzi Jana Myrdala, który mówi: *"These are notes from a journey in Democratic Kampuchea during the Monsoons. These notes are biased".*

Jan Myrdal zwraca się nie tylko do szwedzkich telewidzów. Przemawia do międzynarodowej publiczności, świadomy unikatowości filmu z Demokratycznej Kampuczy. Jakość nagrania jest kiepska, kamera terkocze w tle, a on stoi lekko niedoświetlony przed sylwetką Angkor Wat. Film to jeden z owoców podróży tej delegacji. Poza nim jest płyta z kambodżańską rewolucyjną muzyką i książka, która zbiera kurz w małej szwedzkiej bibliotece w Phnom Penh. Kamera terkocząca w tle została pożyczona z działu produkcji filmowej szwedzkiej telewizji, SVT Drama. To nie jest dział, który zazwyczaj zajmuje się dokumentami. Jan Myrdal załatwił podobno kamerę i finansowanie przez nieformalne kontakty. To by wyjaśniało, dlaczego film montowano później ukradkiem, gdy tylko studio było wolne. Rezerwowanie montażowni spowodowałoby, że ktoś zacząłby stawiać pytania. Dlatego zmontowanie filmu trwało długo. Kiedy go pokazano, był już nieaktualny, ponieważ Wietnam obalił Pol Pota i praktycznie zniósł Demokratyczną Kampuczę. Ale to później.

Teraz kamera terkocze i Jan Myrdal mówi dalej po szwedzku: "Oczywiście, ten film opiera się na z góry powziętych sądach. Nie tylko lubię Kampuczę i żywię głęboki szacunek dla jej Kultury. Wojny chłopskie w historii naszych narodów uważam za wojny sprawiedliwe. Nasi przodkowie postąpili słusznie, gdy w 1433 spalili twierdzę Faxehus. Słuszne były powstania chłopskie w Europie i słusznie chwytają za broń chłopi w Azji. Uważam także za słuszne rewolucje. Słuszna była rewolucja amerykańska w roku 1776. Słuszna była rewolucja francuska w 1789. Lata 1830, 1848, 1871, 1905, 1917.1949, żeby wymienić tylko parę dat, to kamienie milowe naszej wspólnej historii. Ponadto uważam, że narodowa niepodległość to kwestia podstawowa". Nie tyle jednak słowa Jana Myrdala wprawiają w oszołomienie. To zdjęcia wysyłają słabą, lecz wyczuwalną wibrację przez mój obraz świata.

Tradycyjny obraz Demokratycznej Kampuczy to obóz koncentracyjny. Długie szeregi wychudzonych ludzi w czarnych ubraniach, niewolnicza praca. Gdy martwi padają z nóg, ich ciała, jako naturalny na-

wóz, użyźniają pola ryżowe. Oczywiście nie tego się spodziewam, gdy włączam wideo w małym pokoju w budynku szwedzkiej telewizji, w Sztokholmie, w blade marcowe przedpołudnie. Ale spodziewam się może, że będę mógł to zauważyć gdzieś w tle. Jakiś błysk w czyichś oczach, kiedy im się zdaje, że kamera patrzy gdzie indziej. Że z moim doświadczeniem z dzisiejszej Kambodży dostrzegę coś, czego Szwedzi nie potrafili odczytać. Ich delegacja była tam w trakcie czegoś, co określono jako jeden z największych aktów ludobójstwa w XX wieku. Dokładnie dokumentowała swoją podróż. Ten terror przecież musiał gdzieś być wyczuwalny. Ale nie widzę go. Widzę pogodnych, zdrowych ludzi. Wprawdzie niektórzy są w czarnych ubraniach, ale inni mają podobne stroje jak dzisiejsi kambodżańscy chłopi. Budują solidne domy, orzą pola. Kamera sunie po pękatych workach z nerkowcami, maniokiem i ryżem, przeznaczonych na eksport. Mnóstwo żywności w kraju, w którym ludność, wedle wszystkich świadectw historyków, wymiera z głodu.

Wszystkiemu towarzyszy autorytatywny głos Jana Myrdala. Obwieszcza on, że wieś, tak wcześniej zdewastowana, teraz się buduje, że każdy ciężko pracujący Kampuczanin dostaje trzydzieści kilo ryżu miesięcznie.

Pola ryżowe. Budowa zapory wodnej. Ludzie niosący ciężkie ładunki ziemi uśmiechają się, kiedy mijają kamerę. Potem zdjęcia ze stołówki. Góry ryżu na stołach. Członkowie kolektywu jedzą bez pośpiechu, nie łapczywie, jak jedliby wygłodzeni. Głos Myrdala: “Pośrodku każdej wsi jest duża wspólna stołówka. Służy ona także jako sala zebrań. Posiłki spożywa się wspólnie. Ten model życia jest jednocześnie i nowy, i stary. To nowe kolektywy, a zarazem stare, zakorzenione wiejskie tradycje".

I dalej: “Mieszkańcom miast, którzy wcześniej mieli wille ze służbą, to pożywienie pewnie wydaje się dosyć skromne. Ale kooperatywa gwarantuje jedzenie dla wszystkich". I jeszcze: “To ubogi kraj. Średnia wieku ludności jest niska. Połowa przypuszczalnie ma nie więcej niż siedemnaście lat. Pięćdziesiąt lat to już starość. Jednak ciężka praca i te pozornie najprostsze gwarancje, jakich udziela nowe społeczeństwo - dach nad głową, ubranie i wyżywienie - realizują marzenia ubogiego chłopa".

Życie jest jednakowe dla wszystkich: twarde, lecz sprawiedliwe.

Rewolucja to krok konieczny w rozpaczliwej sytuacji. By odbudować kraj. By stworzyć przyszły dobrobyt. Teraz ciężka praca, nagroda potem.

Później idę bulwarem Karlavagen. Światło słońca jest blade, ulice jeszcze brudne po zimie. Wiatr rozwleka wokoło brunatne zeszłoroczne liście.

Co to jest, to, co obejrzałem? Półgodzinny dokument pokazany w państwowej szwedzkiej telewizji, spełniający wszelkie niezbędne formalne kryteria. Fakty i statystyka potwierdzone przez obrazy i wywiady. I znana postać ze świata kultury, która mnie oprowadza, elokwentnie i przekonująco. W ciągu tych lat, które spędziłem w Kambodży, słyszałem niezliczone świadectwa o straszliwej nędzy w Demokratycznej Kampuczy. I mimo to, mimo tego wszystkiego, co mi opowiadano, sam łapię się na tym, że myślę, iż może jednak nie było aż tak źle. Że może chodzi tu o jakieś nieporozumienie.

Same znajome twarze. Przecież jest ich tak niewielu, że każdy zna, choćby z widzenia, pozostałych. Małe mieszkanie w centrum Paryża i jakieś pół tuzina kambodżańskich studentów pierwszej generacji. Jeszcze jeden klub dyskusyjny. Tym razem nie sztuka ani prawo. Za to polityka. Polityka w dosyć szerokim sensie. W ich ojczyźnie zaostrzyła się walka o niepodległość. Różne ugrupowania prowadzą walkę z Francuzami. Khmer Issarak, szeroki ruch, z kilkoma wyrazistymi liderami. Khmer Viet Minh, wietnamska komunistyczna partyzantka z udziałem Kambodżan. A co sądzić o młodym królu Sihanouku, który współdziała ze świeżo powołanym parlamentem zdominowanym przez patriotycznych demokratów? Czy jest francuską marionetką, czy ma własną polityczną wolę? Garnitury i ciasno zawiązane krawaty, zgodnie z szykiem lat pięćdziesiątych. Pod jedną ze ścian cokół z figurką Buddy w pozycji lotosu. To Paryż egzystencjalistów. Camusa i Sartre'a. Pesymizm lat czterdziestych i powojnia ustąpił miejsca wierze w jasną przyszłość. Partia francuskich komunistów jest najliczniejsza na Zachodzie - to coś w rodzaju mody. Dzisiejszy temat grupy dyskusyjnej: Czy walka o wyzwolenie Kambodży powinna być toczona zbrojnie? Proszę bardzo.

Popatrzcie na Wietnamczyków, jak dają popalić Francuzom! O Wietnamie mówi się teraz z szacunkiem, a o Kambodży tylko z uśmiechem pobłażania. No a Indie? I Birma! Wyzwoliły się bez użycia prze-

mocy, tak czy nie? Mieszkanie należy do Keng Vannsaka, niespełna dwudziestopięcioletniego kambodżańskiego studenta. On jest niejako intelektualną osią środowiska i niedawno ożenił się z Francuzką.

Keng i jego żona pomogli Sarowi znaleźć pokój do wynajęcia. To Keng Vannsak zaprosił go do udziału w klubie. Saloth Sar siedzi w milczeniu, słucha. Kiedyś, znacznie później, powie, że nie chciał pchać się na afisz. Zdradzać się z poglądami. Ale czy naprawdę miał co zdradzać? On, który nigdy wcześniej nie okazywał zainteresowania polityką? Przez następny rok będzie kupował książki u bukinistów nad Sekwaną. Już nie tylko francuską lirykę, ale też Marksa i Kropotkina. Nie wszystko zrozumie z tych lektur. Może nawet zrozumie dość niewiele. Wszak francuszczyzna to nie jego ojczysty język, a opasły tom Kropotkina, 749 stron, pochodzi z początku wieku. Lecz to nie jest takie istotne. Te książki odcisną na nim swoje piętno. Rewolucja stanie się w równym stopniu postawą i ideałem, co metodą. Z grupy dyskusyjnej wykluwa się wkrótce nowe, tajne stowarzyszenie. Jednym z inicjatorów jest dwudziestosześcioletni Ieng Sary, ten, który później będzie ministrem spraw zagranicznych Czerwonych Khmerów. Le Cercie Marxiste ma wyraźny profil komunistyczny. Dzieli się na komórki, po kilka osób w każdej. Każda komórka jest samodzielna i nic nie wie o pozostałych. Kiedy dokładnie Saloth Sar wstąpił do stowarzyszenia, nikt już nie pamięta. Pamięta się jednak, że jego komórką kierował student matematyki Ok Sakun. W jej skład wchodził także Hou Youn, doktorant na ekonomii, który później został jednym z czołowych intelektualistów Czerwonych Khmerów.

Oni już tam są, prawie wszyscy ci, którzy 17 kwietnia 1975 triumfalnie wkroczą do Phnom Penh. Naturalnym przywódcą wtedy, na początku walki, jest energiczny Ieng Sary. Ten, który zachęca swoich towarzyszy, żeby się brandzlowali, zamiast tracić czas na kobiety. Mają poświęcić go Walce.

26.

ZBUDOWAĆ SOCJALIZM MOŻNA TYLKO Z NARODEM SOCJALISTYCZNYM!

27.

Żywności nie ma zbyt wiele. Nas jest dosyć wielu. Lecz zamiast

tolerować sytuację, w której nieliczni mogą się obżerać, podczas gdy inni zasypiają głodni, my dzielimy się równo. Wszyscy dostają po równo. Nikt nie dostaje więcej od drugiego. To jest sprawiedliwe. Tak samo robimy z wodą. To jest sprawiedliwe. Dzielimy się po równo. Nikt nie ma więcej od drugiego, ale każdy ma coś. Wszystko należy do nas wszystkich, jak niebo, jak oceany. Nie możemy dopuścić, by niektórzy zawłaszczali coś kosztem innych. Wszystko należy do nas wszystkich, jak powietrze, jak owoce z drzew. To jest sprawiedliwe. Nazbyt długo nie potrafiliśmy szanować się nawzajem. Silni tuczyli się kosztem słabych. Dzieci bogaczy dziedziczyły po rodzicach pieniądze i władzę. Nędzarze dziedziczyli po rodzicach ich długi i nieświadomość. Wszystko należy do nas wszystkich, ale niektórzy przywłaszczyli sobie więcej, niż im przysługuje. Im więcej sobie przywłaszczyli, tym stali się potężniejsi. Jeżeli chcemy sprawiedliwości, bogaci muszą przestać przywłaszczać sobie więcej, niż im przysługuje. Jeżeli chcemy, żeby nikt nie szedł spać głodny, musimy dzielić żywność, której nie ma zbyt wiele, nie podług siły, lecz po równo. Silni muszą się cofnąć o krok. Słabi muszą zrobić krok naprzód. Wszystko należy do nas wszystkich.

To jest sprawiedliwe. Musimy spojrzeć ponad siebie, aby podzielić się z innymi. My, którzy coś mamy, musimy dostrzec tych, którzy nie mają niczego. My, którzy coś mamy, musimy stać się mądrzejsi. Nikt nie jest samotny. Musimy widzieć tych, którzy nie mają niczego. Musimy sprawić, aby kierowały nami szacunek i sprawiedliwość, a nie egoizm i prywatne żądze. Dopiero gdy będziemy dzielić się po równo, nikt już nie zaśnie głodny. Musimy wyzbyć się naszego egoizmu i zbudować społeczeństwo sprawiedliwe. Żywności nie ma zbyt wiele, ale nikt nie będzie już zasypiać głodny. Wszystko należy do nas wszystkich.

28.
NIE KOLANO, KTÓRE MOŻNA
SERCE, TOWARZYSZU, TO ZGINAĆ JAK SIE CHCE!

29.
[Historia, jeżeli chcecie]

Koh Santepep, Wyspa Pokoju, tak książę Sihanouk nazywał swoje małe kambodżańskie królestwo. Zieleniejąca wyspa w morzu wojny. Na wschodzie Wietnam walczył z Francuzami. Następnie z Amerykanami.

Na zachodzie Tajlandia coraz mniej stabilna. Na północy Laos wciągnięty w wietnamski wir. W Indonezji, w związku z wojskowym zamachem stanu, zabito setki tysięcy komunistów. Przez wszystkie konflikty przebiegała linia mroźnych okopów zimnej wojny. W powietrzu wisiała ostateczna groźba - że równowaga zostanie zachwiana na rzecz jednej ze stron, a ta druga przyciśnie atomowy guzik. Ale Kambodża to wyspa pokoju. W ciepłe wieczory nad Mekongiem nuklearna zima była hen, daleko.

Gdzieś tam za horyzontem spadały bomby, jak pomruk odległej burzy, ale tu boski książę czuwał nad swymi dziećmi. Chciał, aby tak go postrzegali i poddani, i cudzoziemcy. Książę Sihanouk zasiadł na tronie Kambodży z woli francuskich władców kolonialnych w 1941. Jeszcze jeden z potomków legendarnych królów Angkoru. Był wtedy rozmarzonym dziewiętnastolatkiem, entuzjastą kina. W swoich pamiętnikach wspomina, jak pierwszy raz spotkał małżonkę francuskiego gubernatora. Na jego widok zawołała: “Qu'il est mignon, ce petit!".

I tak to miało wyglądać. Miał być tym małym, słodkim królem, którego główną zaletą była łatwość, z jaką nim można manipulować. Trudno o większą pomyłkę Francuzów. Francuski generał de Langlade musiał później stwierdzić, że Sihanouk to wprawdzie szaleniec, ale genialny szaleniec. Po paru latach w roli bujającego w obłokach libertyna król postanowił odcisnąć swój ślad w historii Kambodży. Po drugiej wojnie światowej pozycja Francji w koloniach osłabła i we francuskich Indochinach wszystkie siły skupiały się na konflikcie w Wietnamie. Kambodżański ruch wyzwoleńczy był wewnętrznie skłócony, lecz rósł w siłę. Najlepiej zorganizowani byli komuniści. Na scenę wkroczył już nie taki słodki król. Można to nazwać kradzieżą. Kiedy nareszcie się zdawało, że ruch wyzwoleńczy zwycięża, Sihanouk zaczął niespodzianie swoją “królewską krucjatę". Objeżdżał kraj i obiecywał, że to on właśnie, a nikt inny, wywalczy dla Kambodży niepodległość. I to w ciągu roku.

W listopadzie 1953 Francuzi zostali zmuszeni do wycofania się z Kambodży. Kraj był znowu wolny. A Sihanouk całą zasługę przypisał sobie. To było pierwsze genialne posunięcie tego szaleńca. Walka o niepodległość miała poparcie w masach. To ona zapewniała rosnącą popularność także komunistom. Swoją krucjatą, podjętą za pięć dwunasta, Sihanouk zdobył podziw ludu, a jednocześnie podciął skrzydła ko-

munistom. Miało upłynąć prawie dwadzieścia lat, nim odzyskają liczącą się pozycję. Jednak królewskie pole manewru ograniczała konstytucja. To było solą w oku ambitnego władcy. Stąd jego kolejny genialny ruch - abdykacja. Ten powrót do tytułu książęcego dawał mu wolne ręce. Na tronie osadził swego ojca, człowieka bez ambicji politycznych. Sihanouk zadbał jednak o to, by jego samego tytułowano “księciem byłym królem", tak aby nikt nie wątpił w jego prawdziwy status. Nikt też nie wątpił. Książę w dalszym ciągu mieszkał w pałacu i zachował władzę nad wojskiem i policją. Pozostał półbogiem, do którego ośmielano się zbliżać wyłącznie na klęczkach. Sihanouk szybko okazał się mistrzem w sztuce dzielenia i rządzenia. Energiczny i charyzmatyczny książę umiał raz za razem wymanewrować polityczną opozycję. Tę samą taktykę stosował w polityce zagranicznej. Kambodża miała według niego zachować bezkompromisową neutralność. To się zgadzało z warunkami, na jakich Francja przyznała krajowi niepodległość, ale budziło kontrowersje w spolaryzowanym świecie zimnej wojny. Dało mu jednak szansę na prowadzenie rozgrywki między mocarstwami i szczucie ich przeciwko sobie. A on tę szansę wykorzystywał z zadziwiającym powodzeniem.

Było to ryzykowne balansowanie na wysoko rozpiętej linie. Elegancki Sihanouk uwodził jednak wszystkich wdziękiem, z jakim opierał się porywom wiatru. Zapominano, jak daleko jest do ziemi. Ten mały, błyskotliwy książę o cieniutkim głosie stał się symbolem Alternatywy. To były lata sześćdziesiąte i kolonializm rozpadał się w gruzy, a Trzeci Świat zdawał się wreszcie podnosić z kolan. Od połowy lat pięćdziesiątych Sihanouk z rozmachem inwestował w budowę szkół i dróg. W 1955 było w Kambodży pięć tysięcy gimnazjalistów. W 1968 było ich już ponad milion. W 1955 Kambodża miała ponad tysiąc kilometrów dróg przejezdnych dla aut. W 1968 miała ich dziesięć razy więcej. Budowano linie kolejowe, wielkie obiekty sportowe, modernizowano miasta na prowincji. Celem było państwo dobrobytu, w którym każdy chłop uprawiający ryż umie czytać i zna dwa języki. Książę założył partię Sangkum Reastr Niyum, Socjalistyczną Wspólnotę Ludu. Pod jej szerokim parasolem miały się spotykać i dyskutować wszystkie opcje polityczne. Chodziło o to, by zapobiec narodowemu rozłamowi. Ale zarazem krytyka samego parasola była zakazana. W ten sposób wszelka autentyczna opozycja polityczna została uniemożliwiona.

W 1955 Sihanouk miał trzydzieści trzy lata, był oświeconym autokratą - renesansowym księciem XX wieku. Rządził krajem w najmniejszych detalach z energią maniaka. Korzystał z każdej okazji, by podróżować po nim i przyjmować należne sobie hołdy. Nie wahał się też chwycić za łopatę, by symbolicznie pomóc przy jakiejś nowej mijanej budowie - tego samego oczekiwał zresztą od swoich urzędników i zagranicznych ambasadorów. Ale jednocześnie książę miał coraz większy kłopot z odróżnianiem Kambodży od własnej osoby. Wszelką krytykę pod adresem kraju brał do siebie. Jego polityka, zwłaszcza zagraniczna, stawała się przez to nieprzewidywalna. Mówi się czasem, że Sihanouk, w odróżnieniu od innych rządzących krajem wcześniej czy później, naprawdę kochał Kambodżan. Problem tylko w tym, że samego siebie kochał trochę bardziej.

Wyspa Pokoju. Prosperująca, niezależna i wykwintna. Perła Azji Południowo-Wschodniej, z Phnom Penh jako indochińskim Paryżem. Bulwary i elegancka, jasna architektura Vann Molyvanna, w duchu funkcjonalizmu Oscara Niemeyera. Sihanouk, pasjonat kultury, swoje kolosalne zasoby energii wykorzystywał do komponowania symfonii, reżyserowania filmów z armią w roli statystów i aranżowania wystawnych balów, które nie kończyły się przed wschodem słońca. Granica z wyniszczonym przez wojnę Wietnamem leżała niespełna sto kilometrów od jego stale jarzącej się światłami królewskiej rezydencji.

30.

Stoję nad brzegiem Mekongu, w miejscu, gdzie ta rzeka spotyka swoją siostrę, Tonie San, kilkadziesiąt kilometrów na południe od granicy z Laosem. Za mną leży mała faktoria na głuchej prowincji, Stung Treng. Miasteczko składa się z kilku uliczek i paru tysięcy mieszkańców. To jedna z tych sennych, zakurzonych dziur, które łatwo zapadają w serce, bardzo daleko od współczesnego świata. Czas jakby stanął tu pięćdziesiąt lat temu. Od nabrzeża biegną dwa bulwary, z szerokim pasmem trawy między nimi. Coś w rodzaju zapuszczonego parku. Całość jest monstrualna, zaplanowana dla stokroć większego miasta. Ale to mówi coś o duchu czasów. O nadziejach, jakie żywił Sihanouk i jego miejscy architekci. O ich niezachwianej pewności. To tego ducha ludzie teraz wspominają. Szesnaście lat Sihanouka u steru prawie nieograniczonej władzy pozostawiło właśnie ten blask mitu, na którym mu zależało.

Wyspa pokoju i dobrobytu w mrokach historii. Światło kontrastujące z czasem, który następuje potem.

31.
[Jak migotanie białe]

Może się spotykają w drzwiach. Saloth Sar, który był gotów jeszcze raz wejść na pokład “ss Jamaique" i wrócić do Phnom Penh. Son Sen, student nauk politycznych, który miał teraz przejąć zatęchłą norę Saloth Sara nad winiarnią przy rue Letellier. Parę metrów kwadratowych ze starym łóżkiem i samotnym krzesłem. Mieli później dzielić ze sobą o wiele gorsze warunki. Wojnę partyzancką, malarię, życie w ciągłej ucieczce przez dżunglę. Ale też lata u władzy. Son Sen jako minister obrony Pol Pota. Son Sen, wybrany potem jego następcą. Saloth Sar zawalił swoje studia. A może tylko znudziła go radioelektronika. Stypendium mu cofnięto i we Francji nie miał żadnej przyszłości. Niespełna czterdzieści pięć lat po tym spotkaniu w drzwiach Pol Pot wyda rozkaz, aby Son Sena wraz z całą jego rodziną stracono jako zdrajców. To morderstwo na jednym z jego najstarszych sojuszników będzie oznaczać także jego własny koniec.

Ale to jeszcze nie teraz. Teraz jest 1953, a oni to tylko dwaj młodzi, radykalni mężczyźni, obaj mają około dwudziestu pięciu lat, i Son Sen wyciąga rękę i odbiera klucze do pokoju. Życzy szczęśliwej podróży.

Hedda Ekerwald częstuje mnie szklanką ciepłego mleka i świeżo upieczonym chlebem z miodem. Siedzimy w jej kuchni, w tym czerwonym domku za zieloną bramką. To dawna chłopska zagroda. Wszędzie niskie powały, wysokie progi i krzywe kąty. Przy kuchennym stole siedzi także jej mąż i dwie córki. Starsza właśnie wróciła z treningu piłki nożnej. Parę dni wcześniej zdała maturę. Chwilę przedtem, zanim zasiedliśmy do stołu, byliśmy w Demokratycznej Kampuczy. Hedda Ekerwald ma większość zdjęć z tamtej podróży. Około czterystu kolorowych slajdów. Unikatowy dokument, z kraju właściwie nieopisanego. Bezwzględnie piękne, dobrze zakomponowane. Nie żadne zdjęcia turystyczne. Chciała, żebyśmy zaczęli w ten sposób. Obejrzeli te zdjęcia, trochę pogadali. Potem może przeszli do właściwego wywiadu.

Rzutnik stoi w sypialni. Okna są zasłonięte kocami, na łóżku rozłożyła kilka numerów gazety “Kampucza". Pudełko za pudełkiem wy-

pełnione slajdami. Jeszcze raz uderza mnie to podobieństwo. Kampucza wygląda jak Kambodża. Żadnych śladów piekła, które powinno się wyczuwać, gdzieś tam, tuż obok, zaraz za. Projektor stuka. Slajd odjeżdża na bok, chwila ciemności, potem znowu obraz. Uśmiechnięci ludzie przy grobli.

33.

ŻYJMY JAK JEDNA WIELKA NOWA RODZINA,
PODPORZĄDKOWUJĄC SIĘ POTRZEBOM KOLEKTYWU!

To już nie ten sam Saloth Sar powrócił do Kambodży w 1953. Teraz to człowiek światowy i członek Francuskiej Partii Komunistycznej.

Powrócił do innej Kambodży. Francuscy żołnierze i kambodżańscy partyzanci codziennie zabijali się nawzajem. Wprawdzie wojna toczyła się na małą skalę, lecz była bardzo odczuwalna. Oddziaływała na warunki życia w dużej części kraju. Saloth Sar pojechał do swojej rodzinnej wioski w pobliżu Kompong Thom. Powrót był szokiem. W wywiadzie udzielonym na krótko przed śmiercią wspominał: "Na końcowej stacji ktoś do mnie zawołał, jakiś mężczyzna z rykszą: »To wróciłeś!«. Kiedy mu się przyjrzałem, rozpoznałem jednego z moich stryjów. Zapytał mnie: »Podwieźć cię do domu?«. Byłem kompletnie zaskoczony. Kiedyś miał ziemię, woły, wszystko. Rozpłakałem się, widząc, na co mu przyszło. Pojechałem z nim, a potem przez jakiś miesiąc rozmawiałem z innymi krewnymi, którzy także wszystko stracili. Kambodżańska wieś podupadła. Po tym, jak żyłem w Europie, serce krajało mi się na ten widok".

35.

[Historia, jeżeli chcecie]

Ale Kambodża Sihanouka nie była oczywiście rajem. Szerzyły się nepotyzm i korupcja. Policja bezpieczeństwa nie przebierała w środkach, a Sihanouk coraz trudniej znosił poglądy odmienne od własnych. Jego królestwo nazywano demokracją, lecz były to raczej kulisy dla coraz bardziej naciąganej politycznej farsy. Sihanouk cieszył się niezmierną popularnością, lecz nie pozwalał sobie na żadne ryzyko. Przeprowadzane przez niego wybory trudno określić jako wolne i sprawiedliwe. To on, na przykład, sam wyznaczał kandydatów, wśród których naród miał wybierać. Wprawdzie bywały to osoby o różnej politycznej

proweniencji, dla zachowania równowagi będącej jego dewizą, jednak zgromadzenie narodowe nigdy nie stało się realną przeciwwagą dla niego samego.

Rozdrożem okazały się pierwsze wybory w 1955. Podczas kampanii wyborczej nasiliły się policyjne represje wobec opozycji. Wielu polityków aresztowano, kilku zamordowano. W dniu wyborów przy urnach stali agenci bezpieki i sprawdzali, czy ludzie głosują "prawomyślnie".

To, że Sihanouk zebrał niemal wszystkie głosy, nie było zatem zaskoczeniem. W kilku okręgach, gdzie mimo wszystko przegrał, urny wyborcze spalono, a zwycięskiego kandydata znaleziono potem martwego.

Sihanouk jednak świętował swoje miażdżące zwycięstwo. W praktyce odpowiadał odtąd jedynie przed samym sobą. Tak pisze w swoich pamiętnikach Souvenirs doux et amers: "To prawda, że byłem władcą autorytarnym, czy może, mówiąc bardziej precyzyjnie: mieszanką indonezyjskiego Sukarno z egipskim Naserem. Ale nigdy nie zniżyłem się do poziomu Idi Amina z Ugandy czy Maciasa Nguemy z Gwinei Równikowej, nie wspominając nawet o jakimkolwiek podobieństwie do arcymistrza okrucieństwa Pol Pota z tak zwanej Demokratycznej Kampuczy. Lecz z drugiej strony nie byłem też bynajmniej żadnym marionetkowym, słabym królewiątkiem, jak mnie przedstawia część francuskiej prasy na prawicy, która widzi we mnie jakiegoś murzyńskiego kacyka o żółtej karnacji". Ciągnie dalej ze swoistą skromną bezpośredniością, którą ujmował tak wielu w swoim otoczeniu:
"Jestem po prostu człowiekiem mającym swoje dobre i złe strony. Nie jestem wcale wzorem cnót - nie bardziej niż moi bliźni; stworzony, jak się mówi w Księdze Rodzaju, na obraz i podobieństwo Boże, obraz obarczony grzechem pierworodnym". Podejrzliwość, jaka udziela się chyba wszystkim jedynowładcom, w przypadku Sihanouka znajdowała konkretną pożywkę. Udało mu się udaremnić kilka prób przewrotu sterowanych z Wietnamu Południowego i Tajlandii. On sam był całkowicie przekonany, że w istocie to CIA pociąga za sznurki.

W 1959 dostarczono do pałacu dwie skrzynie z prezentami. Jako nadawca figurował pewien biznesmen z kontaktami w Wietnamie Południowym i USA. Skrzynię adresowaną do matki Sihanouka otworzył ochmistrz królewskiego dworu. Zawierała silny ładunek wybuchowy,

który spustoszył całą komnatę i zabił trzy osoby. Zamach podważył ostatecznie resztki zaufania, jakie Sihanouk żywił do USA, Wietnamu Południowego i Tajlandii. Kilka lat później zamordowano Johna F. Kennedy'ego. Nieco wcześniej zabity został inny antagonista Sihanouka, prezydent Wietnamu Południowego Ngo Dinh Diem. Kiedy niedługo potem zmarł także przywódca Tajlandii, marszałek Sarit, zadowolony Sihanouk stwierdził w przemówieniu radiowym, że “ta trójka spotka się teraz w piekle".

Rok 1955 to czas wielkich nadziei. Kambodża jest wreszcie niepodległa, wojna zakończona. Po raz pierwszy mają być przeprowadzone wolne i demokratyczne wybory. To musiało wisieć w powietrzu. Nowa era.

Mentor Saloth Sara, Keng Vannsak, ten, który w Paryżu załatwił przyjacielowi dach nad głową, jest z powrotem w Phnom Penh. Mimo swojego radykalizmu Keng Vannsak przystąpił do demokratów, największej partii politycznej. Walka ma toczyć się w ramach systemu parlamentarnego. Keng Vannsak ma opinię młodego gniewnego. Jest trochę zbyt radykalny, lecz wierchuszka partii chce jego lewackim profilem przyciągnąć wyborców. U jego boku widuje się często Saloth Sara. Mają w zwyczaju razem jeść śniadanie w wytwornym domu Vannsaka przy Boulevard Monivong. Białe i różowe bugenwille, w miseczkach zupa z makaronem i podrobami. Świeże przyprawy, które można łamać i wrzucać do zupy. Limonki w ćwiartkach. Zmrożona herbata jaśminowa w wysokich szklankach. A może tak przesiąkli francuskimi zwyczajami, że woleli kawę i croissanty? Według Keng Vannsaka to on mówił, a Saloth Sar słuchał. Saloth Sar był wprawdzie miłym towarzyszem, lecz przecież niczym więcej jak niedoszłym radioelektrykiem. Byle kim. Nie żadnym tuzem intelektu. Ale miły.

Czego Keng Vannsak nie wiedział, to że Saloth Sar miał do spełnienia pewną misję. Niewielka, tajna kambodżańska partia komunistyczna wytypowała go do infiltracji demokratów. Keng Vannsak był nieświadomym narzędziem. Drzwiami. Może miał rację z tym tuzem intelektu. A może nie. Saloth Sar nigdy się nie wyróżniał intelektualną brawurą. Ale jak było z jego zdolnością perswazji, o której tak wielu później zaświadczało? Z tym zaraźliwym uśmiechem i charyzmą, jaką roztaczał w kameralnym gronie? Kto kim manipulował tak naprawdę przy śniadaniowym stole? Saloth Sar od pewnego czasu prowadził po-

dwójne życie. Z jednej strony, jako komunistyczny konspirator wynajmujący nędzną norę w jednej z najuboższych dzielnic miasta. Z drugiej, bogaty i szykowny młody człowiek w wytwornym czarnym citroenie, mający znajomości tak w kręgach dworskich, jak i w politycznym establishmencie. On i jego dziewczyna Soeung Son Mały byli jeszcze parą. Czekali już prawie sześć lat, żeby się pobrać, i nadchodzące wybory do parlamentu miały być rozstrzygające. Gdyby demokraci odnieśli zwycięstwo, jak się powszechnie spodziewano, Saloth Sar mógłby się postarać o jakiś przyzwoity etat blisko centrum władzy. Tylko pod tym warunkiem rodzina Soeung Son Mały zgodziłaby się na to małżeństwo.

Pytanie nasuwa się wręcz samo: co by się stało, gdyby książę Sihanouk nie przeszachrował tych wyborów? Gdyby nie użył siły i całego swego politycznego talentu do wykończenia demokratów? Może parlamentaryzm przyjąłby się w Kambodży i komuniści zamiast walki zbrojnej podjęliby walkę polityczną? Może Soeung Son Mały wyszłaby za Saloth Sara? Ale skończyło się inaczej, więc została kochanką wicepremiera Sam Sary'ego. Prawicowo-konserwatywnego łobuza, który z wielką brutalnością prześladował lewicową opozycję. Jednoczesny krach demokracji i miłości. Narzeczona, która rzuca się w ramiona wroga. Można tylko snuć domysły, jakie to miało znaczenie dla Saloth Sara osobiście. Minął czas wielkich nadziei. Teraz zostały tylko dwie możliwości: albo wybić sobie z głowy politykę, albo ją kontynuować innymi środkami.

WYRZECZ SIE CAŁEGO SWEGO MIENIA I ODŻEGNAJ SIE OD OJCA, MATKI, CAŁEJ TWOJEJ RODZINY!

38.
[Historia, jeżeli chcecie]

Sam Sihanouk nazywał siebie lewicowcem. Za granicą najlepiej dogadywał się z krajami o socjalistycznej orientacji. Za to wewnętrznej lewicowej opozycji nie potrafił ścierpieć. Wielu czołowych lewicowych intelektualistów skazano na ciężkie roboty. Kilku zamordowano. Z początkiem lat sześćdziesiątych coraz więcej z nich schodziło do podziemia. Przywódcy Czerwonych Khmerów jeden za drugim znikali z jawnego życia. W którymś z wywiadów Sihanouk powiedział, że w czasie, kiedy był u władzy, z jego rozkazu zamordowano półtora tysiąca komunistów.

Jednak w drugiej połowie lat sześćdziesiątych książę zaczął tracić swój zmysł polityczny. Wyniszczająca wojna w Wietnamie coraz bardziej utrudniała mu polityczne lawirowanie. Wiele energii poświęcał natomiast na reżyserowanie filmu, z sobą samym i najbliższymi w rolach głównych. W 1965 Kambodża zerwała całkowicie z USA, które w odpowiedzi wycofały swoją znaczącą pomoc wojskową. Tym samym w budżecie państwa powstała wielka dziura. Rok później Sihanouk udzielił cichej zgody na tranzyt broni przez Kambodżę do Wietnamu Północnego, z portu w Sihanoukville na Szlak Ho Chi Minha. O ile ta pierwsza decyzja wynikała z żywionej od dawna awersji Sihanouka do Stanów Zjednoczonych, o tyle druga była podyktowana raczej wymogami “realpolitik". Sihanouk sądził po prostu, że Wietnamczycy wygrają tę wojnę, i nie chciał ich do siebie zrażać. Wir wojny po drugiej stronie granicy stopniowo nadwerężał gospodarkę Kambodży. Armia kompensowała sobie wstrzymaną pomoc USA przemytem broni i ryżu do Wietnamu Północnego. Zwłaszcza ubytek ryżu dawał się we znaki państwu kambodżańskiemu. Spora część dochodu z podatków pochodziła bowiem z eksportu ryżu, który spadł drastycznie na skutek przemytu.

W swojej ostatniej próbie reform Sihanouk upaństwowił handel ryżem. Cały ryż miał być sprzedawany, po stałej cenie, nabywcom państwowym. Wzbudziło to powszechne niezadowolenie, gdyż ustaloną cenę uznano za zbyt niską. W 1968, w zachodniej Kambodży, wybuchły na tym tle zamieszki. Stłumienie buntu Sihanouk zlecił generałowi Lon Nolowi. Ten wykonał rozkaz z wielkim okrucieństwem. Ciężarówki z odrąbanymi głowami wysłano do Phnom Penh jako odstraszający przykład. Talent Sihanouka do politycznych akrobacji niewiele mógł pomóc, ponieważ sytuacja była zbyt trudna do opanowania. Lawirowanie w polityce wewnętrznej stało się niemożliwe, odkąd lewicową opozycję zepchnięto do podziemia. Pogrążony w apatii Sihanouk stopniowo oddał władzę w ręce prawicowo-konserwatywnego rządu. W 1968 generał Lon Nol otrzymuje nominację na premiera. Tym samym władza cywilna i wojskowa skoncentrowana zostaje poza kontrolą Sihanouka.

39.

[Historia, jeżeli chcecie]

Sihanouk mawiał o Lon Nolu “ten czarny". Lon Nol pochodził ze wsi i miał ciemną, spaloną słońcem skórę. Ludzie z miasta, przeciwnie, starannie chronili swoją bladą cerę. Generał był głęboko religijnym obskurantem, wierzącym w gusła i czary. Poza tym był zagorzałym na-

cjonalistą. Okazał się też dość niewydarzonym wojskowym strategiem i całkowicie dyletanckim politykiem. Innymi słowy postacią, której nikt w eleganckich kręgach skupionych wokół Sihanouka nie traktował zbyt serio. Ale wystarczała jego niezłomna lojalność wobec księcia. Jego gwiazda wschodziła powoli, lecz nieubłaganie. Polityczne etykiety niełatwo podlegają eksportowi i często zdarza się, że wprowadzają więcej zamętu niż jasności. Jednak biorąc pod uwagę stałą mantrę Lon Nola o "oczyszczeniu rasy, kultury i religii", niewiele chyba ryzykujemy, nazywając go klasycznym faszystą. W marcu 1970 Sihanouk oznajmił, że wybiera się do uzdrowiska we Francji na kurację odchudzającą. Minie pięć lat, zanim ponownie zobaczy swoją stolicę. Pod nieobecność Sihanouka zgromadzenie narodowe i senat przeprowadziły tajne głosowanie nad wotum zaufania. Głównym powodem było pośrednie wsparcie księcia dla Wietnamu Północnego. Sihanouk przepadł w głosowaniu i pozbawiono go wszelkiej władzy. Zamach stanu był faktem. Kilka miesięcy później wydano na księcia, in absentia, wyrok śmierci i proklamowano republikę.

Na czele kraju stanęli nieznany za granicą Lon Nol i kuzyn Sihanouka, książę Sirik Matak. USA natychmiast uznały nowy rząd. Dla Sihanouka był to dowód, że za przewrotem stała CIA. Żadnej bezpośredniej amerykańskiej ingerencji nie dało się udowodnić. Ale CIA wiedziała o planach zamachu i nie uznała za stosowne ostrzec Sihanouka. Amerykanie uważali, że już najwyższy czas odesłać krnąbrnego księcia na emeryturę.

Lon Nol i Sirik Matak cieszyli się początkowo poparciem ludności miast. Miała ona powyżej uszu megalomanii i kaprysów Sihanouka oraz nieznośnego kultu jego osoby. Poza tym Sirik Matak, znany przyjaciel Ameryki, obiecywał wprowadzić rozumianą w tym duchu demokrację.

Wieś zareagowała inaczej. Sihanouk był tam królem-bogiem. Pytano: "Kto teraz da nam deszcz, gdy w kraju nie ma naszego króla?". W wielu miejscach doszło do spontanicznych demonstracji. Lon Nol rozkazał armii uśmierzyć protesty seriami z karabinów maszynowych.

40.

[Amerykański rysunek satyryczny, z marca 1970]

KISSINGER (do Nixona): "O Lon Nolu wiemy tylko tyle, że pisany od tyłu też się nazywa Lon Nol".

41.

"Chop!". Hedda Ekerwald odwraca się w moją stronę w bladym świetle projektora. Wyczekujący uśmiech wśród ostrych cieni twarzy.

"Chyba tak się mówi?". Przytakuję. Tak, to znaczy stop po khmersku. Stop albo stój. "Tak mówiliśmy do szofera, kiedy chcieliśmy porozmawiać z kimś, kogo zobaczyliśmy po drodze". Ma niesłychaną pamięć. Pamięta jeszcze imiona ludzi i nazwy miejsc z tamtej podróży sprzed prawie trzydziestu lat. I niektóre słowa. Na białym ekranie przed nami: ludzie w czarnych ubraniach. Zaciekawione spojrzenia. Pola ryżowe, których neonowa zieleń z biegiem lat trochę wyblakła.

42.

[Historia, jeżeli chcecie]

Natychmiast po zamachu Lon Nol rozkazał armii przepędzić z Kambodży wietnamskich komunistów. Sam pokierował planowaniem akcji. Skutki miały wkrótce okazać się katastrofalne. W ciągu kilku miesięcy atak zamienił się w defensywę. W krótkim czasie połowa Kambodży znalazła się pod okupacją wietnamskich komunistów. W ich szeregach byli Czerwoni Khmerzy. Rządowej armii brakowało wszystkiego poza młodymi mężczyznami. Dzień po dniu dowożono ich na front zarekwirowanymi cywilnymi pojazdami. Wesoło machali zza burt ciężarówek, z których nikomu nie chciało się nawet zmazać napisów Pepsi albo Coca-Cola. Rządowi żołnierze mieli na nogach klapki i nosili dziwaczne mundury, poskładane ze starych ciuchów kupowanych na tandecie. Ich broń pochodziła z początku XX wieku, a mieli walczyć z zaprawionymi w wojnie, najlepszymi oddziałami Azji Południowo-Wschodniej. To było jak powtórka wojennego entuzjazmu z początków pierwszej wojny światowej w Europie. Całe pokolenie mężczyzn jechało ze śpiewem na ustach ku swojej zagładzie.

W kwietniu 1970, w miesiąc po przejęciu władzy, do południowo-wschodniej Kambodży wtargnęły nieoczekiwanie wojska amerykańskie i południowowietnamskie. Militarnym celem była likwidacja baz północnowietnamskich. Żaden z agresorów nie pokwapił się nawet, aby uprzedzić swoich sojuszników w Phnom Penh. Lon Nol był tak samo zaskoczony jak wszyscy. Atak utrzymano w tajemnicy nie tylko przed nim. Według konstytucji USA wyłącznie Kongres ma prawo wypowiedzieć wojnę. Prezydent Nixon zdawał sobie sprawę, że parlament

nie da mu zgody na wkroczenie do Kambodży. W tej sytuacji po prostu go zignorował. Prezydent podkreślał, że nie chodzi o inwazję. Raczej o “wypad" lub “wtargnięcie". “Naszym celem nie jest rozszerzenie wojny na Kambodżę, lecz zakończenie jej w Wietnamie", powiedział w mowie wygłoszonej wtedy w telewizji.

Kambodżanie zapamiętali tę inwazję jako szczególnie gwałtowną i okrutną. Zwłaszcza żołnierze Wietnamu Południowego nie oszczędzali ludności cywilnej. Amerykańscy wojskowi przedstawiali atak jako wielki sukces. Komunistyczne bazy i infrastruktura zostały zniszczone. Agresorzy nie napotkali praktycznie większego oporu. Partyzanci natomiast pośpiesznie wycofali się w głąb terytorium Kambodży.

Lon Nol, mimo że do inwazji doszło bez jego zgody, nie stracił zaufania do USA. Generał nie wierzył amerykańskim zapewnieniom, że okupacja ma być tylko czasowa. Amerykanie przyszli, według niego, żeby zostać. Mieli być gwarantami jego władzy. Jednak świat postrzegany od strony amerykańskiej przedstawiał się całkiem inaczej. Z Kambodżą nie wiązały ich żadne interesy, chodziło im tylko o godny odwrót z Wietnamu. Celem rozszerzenia konfliktu było spowolnienie wietnamskiej ofensywy.

43.

[Jak migotanie białe]

Co roiło się w głowie Saloth Sara, kiedy poprosił ją, żeby padła do stóp jego ojca? Przecież to było małżeństwo dwojga rewolucjonistów, zawarte w dniu aż nadto symbolicznym - 14 lipca 1956. W rocznicę upadku Bastylii i początku rewolucji francuskiej. Ona, Khieu Ponnary, była od niego pięć lat starsza. Jedna z pierwszych cór Kambodży, które zrobiły maturę. Ona też studiowała w Paryżu i nauczała teraz w prestiżowej szkole Lycee Sisowath, o czym on, ze swoimi miernymi wynikami studiów, mógł tylko pomarzyć. Poza tym była ważnym ogniwem sieci kontaktowej łączącej wietnamskich komunistów z rodzącym się rewolucyjnym ruchem kambodżańskim. Kobietą jak najbardziej niezależną i nowoczesną.

A teraz miała robić z siebie widowisko, czołgając się przed jego ojcem. Bardzo konserwatywny akcent w bardzo tradycyjnym kambodżańskim obrzędzie weselnym. Byli dość osobliwą parą. Po części z ra-

cji tej różnicy wieku, a po części z powodu wrażenia, jakie sprawiali. Saloth Sar w swoim szykownym czarnym aucie. Uśmiechnięty i elegancki bałamut i kpiarz. Ona, sztywna i pełna rezerwy, z ospowatą cerą. “Ta stara panna", mówiły o niej za plecami jej uczennice. Ale była inteligentna i lojalna wobec rewolucji. Poza tym: jej siostra Khieu Tirith wyszła już za mąż za Ieng Sary'ego, nieformalnego przywódcę radykalnych paryskich studentów. Ta czwórka była teraz ze sobą związana - kilkugłowy ośrodek władzy, z którym należy się liczyć. Khieu Ponnary miała później zostać wybrana do komitetu centralnego partii komunistycznej, a jej młodsza siostra została ministrem spraw socjalnych Demokratycznej Kampuczy.

44.
WY, MŁODZI, JESTEŚCIE SYNAMI I CÓRKAMI ORGANIZACJI! O WSZYSTKIM DONOŚCIE NAM, WASZYM RODZICOM!

[Poniedziałek, 14 sierpnia 1978]

Hedda Ekerwald zapisuje w dzienniku podróży: “W Kompong Cham wyszliśmy sami na miasto. Ono też jest ewakuowane, jak wszystkie miasta wyzwolone w kwietniu 1975. Tu wprowadziło się z powrotem pięć tysięcy osób. W lokalach dawnych sklepów dookoła rynku siedziały kobiety i szyły ubrania. Można to robić równie dobrze w mieście, jak i na wsi, więc postanowiono robić to w mieście, żeby tam stworzyć miejsca pracy. Ludzie przenoszą się do miast wraz z powstawaniem miejsc pracy. Wyszło do nas kilka nastolatek, które pracowały w dawnej hali targowej przy pakowaniu kukurydzy. Porozmawiały z nami o tym, ile mamy lat, jak się nazywamy, że przyjechaliśmy ze Szwecji po drugiej stronie kuli ziemskiej, o partii komunistycznej (Pak Kommunist Kampuchea) i o imperializmie USA. Sporo da się wyrazić za pomocą gestów i pojedynczych słów".

Zdjęcia z tego dnia. Młode kobiety w czarnych ubraniach, z chłopskimi chustami w drobną kratkę na głowach albo na ramionach. Siedzą wśród ziaren kukurydzy suszących się przy dawnej stacji autobusowej. Pod zadaszeniem zbudowanym, by chronić przed słońcem oczekujących pasażerów. Kobiety zmieniają pozycję ze zdjęcia na zdjęcie, odwracają się ku sobie. Jakaś rozmowa? Na jednej fotografii któraś z nich akurat powiedziała coś śmiesznego. Te przy niej śmieją się, resz-

ta się uśmiecha. W tle widać chińskie sklepy i francuskie budynki kolonialne. Pozamykane okiennice, w drzwiach pospuszczane żelazne żaluzje. Prawie bezludnie.

Do Kompong Cham przyjeżdżam z początkiem pory suchej, nie tak jak Szwedzi, w środku pory deszczowej. Miasto należy do najpiękniejszych w Kambodży. Dawna metropolia, teraz spowolniona, z obdrapanymi domami z pierwszej połowy ubiegłego wieku. Pod nabrzeżami płynie szeroka i potężna rzeka Mekong. Tego dnia coś dziwnego dzieje się ze światłem. Coś, co sprawia, że woda mieni się odcieniami brudnego brązu i fioletu, aby potem, przez kilka mgnień, jarzyć się złotem. Stoję przez chwilę, zafascynowany. Lecz słońce zaraz robi się za mocne. Idę dalej, ku starej stacji autobusowej. Dzisiaj już ledwie da się ją rozpoznać. Tam, gdzie w maju 1978 kobiety suszyły kukurydzę, teraz jest pełno straganów, posklecanych z byle kawałków desek i brezentu.

Przeciskam się między handlarzem zegarkami a kramem z rozwałkowanymi, suszonymi kałamarnicami. Nieco dalej jest coś, co kiedyś było okienkiem kasy biletowej. Na krześle, stojącym na zewnątrz, śpi policjant. Duża hala targowa jest pełna tego, co zwykle. Żywe kaczki, moskitiery, części zamienne do motorowerów, owoce, sprzęt kuchenny, stosy mięsa obsiadłe przez muchy, chińskie słodycze, pogrzebowe konfetti, łykające łapczywie powietrze wąsate sumy w obtłuczonych baliach. Zapach, ten niezwykle złożony zapach. Zawsze ten sam. Cierpki, ale zarazem mdlący od gnijących warzyw, surowego mięsa i zdychających ryb. Wychodzę i siadam na jednym z niebieskich plastikowych krzeseł przed stoiskiem z kawą. Zamawiam mrożoną kawę ze słodkim mlekiem. Słońce przypieka poza smugą cienia i ludzie robią sobie sjestę. Popękana wysepka dla pieszych wskazuje na to, że kiedyś kursowały tu autobusy. Za czasów księcia Sihanouka. Kiedy infrastruktura była priorytetem i asfaltowano drogi, zamieniając je w numerowane drogi krajowe. Kawa, słodka i lodowata, przez rurkę. Po drugiej stronie niewielkiego rynku stoją te same domy, co na zdjęciach Szwedów. Liszajowate i obskurne, tak jak wtedy. Lecz okiennice są otwarte, żaluzje podniesione.

46.

[Historia, jeżeli chcecie]

Lon Nol był, ogólnie rzecz biorąc, niewiarygodnym premierem.

Najchętniej nie ruszałby się z domu. Do telefonu prawie się nie zbliżał, nie obchodziły go gazety, radio, telewizja - żadne wiadomości. Jedyni ludzie, którzy mieli do niego stały dostęp, to ci mnisi, o których się mówiło, że potrafią przepowiadać przyszłość. Jego obraz świata opierał się w dużej mierze na ich wizjach. Rządził krajem wiedziony “nieziemskim natchnieniem". Magia i kambodżański buddyzm stanowiły zwycięski oręż w walce z wietnamskimi ateistami. Z biegiem lat ta walka stała się zwyczajną wojną domową. Początkowo Czerwoni Khmerzy byli całkiem podporządkowani Północnym Wietnamczykom. Ale w miarę jak ich liczebność rosła, coraz bardziej się usamodzielniali. Strona rządowa ponosiła klęskę za klęską. Powoli, lecz nieubłaganie spychana do defensywy. Lon Nol okazał się równie niezdolny do prowadzenia wojny, jak do zreformowania aparatu państwowego. Inflacja szalała, a korupcja rozpanoszyła się o wiele bardziej niż za czasów Sihanouka. Generałowie potrafili nawet sprzedawać broń Czerwonym Khmerom. Ponieważ pomoc wojskowa USA zależała od liczebności rządowej armii, robiono zaciąg “martwych dusz". Im więcej nazwisk, tym więcej funduszy.

W 1973 według szacunków, 20-40 procent składu armii było fikcją. To pociągało za sobą absurdalne konsekwencje. Generałowie mający stawić czoło partyzanckiej ofensywie czasem zmuszeni byli przyznawać, że ich wojsko istnieje tylko na papierze. Jednocześnie miasta zaczęły pękać w szwach, ponieważ ludzie uciekali ze spustoszonych wojną wsi. Phnom Penh, które w odróżnieniu od pozostałych indochińskich stolic nie miało dotychczas slumsów, stopniowo coraz bardziej podupadało. Państwo zdawało się bliskie totalnego krachu, zarówno moralnego, jak ideowego i gospodarczego. Wykształcona elita Phnom Penh uświadomiła sobie z czasem, że USA bynajmniej nie chcą bronić Kambodży za wszelką cenę. Przeciwnie, gorzka prawda wyglądała tak, że ten mały kraj wydany był na pastwę swego odwiecznego wroga, o wiele silniejszego Wietnamu. Wielu Kambodżan z wyższym wykształceniem wybrało wtedy emigrację. Lon Nol stawał się coraz bardziej osamotniony w swojej willi. Poza tym, odkąd w 1971 przeszedł udar mózgu, mógł pracować tylko krótkimi zrywami.

To w tym kontekście trzeba widzieć Czerwonych Khmerów. Na tle korupcji i degrengolady. Byli symbolem czegoś radykalnie innego. Wydawali się przyzwoici i reprezentowali coś nowoczesnego, jakiś

śpiew przyszłości. Wprawdzie dogmatyczni, ale kambodżańska republika Lon Nola też niezbyt sprzyjała swobodnej wymianie myśli. Ramię w ramię z czerwonymi żołnierzami stał książę Sihanouk. Król-bóg, który potrafił chronić Kambodżę przed wojną. Który co prawda umiał być nieznośnie megalomański, ale wyzwolił kraj od Francuzów i podniósł stopę życiową większości społeczeństwa. W 1970 Kambodża stanęła na rozdrożu i wybrała Lon Nola. Kilka lat później ta opcja była już nie do przyjęcia.

Czerwoni Khmerzy zdawali się wielu obietnicą drugiej szansy.

47.

Kilka fotografii pokoju, z którego Lon Nol dowodził wojną z Czerwonymi Khmerami. Na całej ścianie mapa centralnej Kambodży. Szpilki oznaczające wrogie oddziały skupione w ciasnym kręgu wokół Phnom Penh. Koło mapy, nad wyłącznikami lamp, umieszczona tabliczka po francusku. Skierowana do generałów Lon Nola: JEŻELI JESTEŚCIE ZMĘCZENI, POMYŚLCIE O TYCH, KTÓRZY SA BARDZIEJ ZMĘCZENI OD WAS (NA FRONCIE).

48.

[Jak migotanie białe]

Belfer od francuskiego, Saloth Sar, ze swoją ukochaną poezją. Ubrany skromnie, zawsze w białej, wyprasowanej koszuli z krótkimi rękawami, w granatowych spodniach. Ważący słowa z namysłem i dbający o swoich uczniów. Lubiany przez wszystkich. Kiedy z przymrużonymi oczami szuka słów. Tak jeden z uczniów wspominał później swoje pierwsze spotkanie z Saloth Sarem: “Czułem, że mógłby zostać moim przyjacielem, takim na całe życie".

49.

[Jak migotanie białe]

Schodzą się pojedynczo albo małymi grupkami. Wystawione czujki mają na oku okolicę. Zbliżają się dyskretnie do domu koło stacji kolejowej, którego nie opuszczą przez dwie doby. Właścicielem domu jest Ok Sakun, kiedyś paryski student, teraz urzędnik na kolei. Tu się odbędzie pierwszy całkiem niezależny zjazd kambodżańskiej partii komunistycznej, bez reprezentantów Wietnamu. Jest rok 1960 i dla kambodżańskich rewolucjonistów oznacza to decydujące posunięcie. To także zmiana warty w kierownictwie partii. Władza przejdzie z rąk we-

teranów, którzy wspólnie z Wietnamczykami walczyli przeciwko Francuzom, w ręce młodych i bardziej intelektualnie nastawionych paryskich studentów.

Dwudziestu jeden delegatów zjechało się z całego kraju. Wszystko to ludzie, którzy egzystują już w swoistym teatrze cieni. Większość ma wprawdzie solidne posady, ale ciemne wieczory spędza na tajnych zebraniach. Partia jest mała, organizacja słaba, lecz robota wre niestrudzenie. Prawie cała przyszła kadra kierownicza Czerwonych Khmerów. Większość po trzydziestce. Już nie tacy młodzi. Ale energia jest niewyczerpana, ambicje te same, a doświadczenie większe. Oto ludzie przyszłości. Dyskusjom nie ma końca. Słońce wschodzi i zachodzi poza leżącą nisko warstwą chmur. Gwałtowne ulewy chwilami wzmagają się tak, że rozmowa staje się niemożliwa. Jest gorąco, w małym pokoju, w którym tłoczą się prawie dwa tuziny mężczyzn, powietrze robi się duszne i ciężkie. Zjazd podejmuje dwie uchwały o decydującym znaczeniu. Od tej pory partia ustala swoją strategię samodzielnie. Wybiera także samodzielnie swojego przywódcę. Są to wyraźne sygnały pod adresem wietnamskich komunistów. Dotychczas wietnamskie wsparcie okupowane było brakiem niezależności. Teraz Kambodżanie przechodzą na swoje.

Na stanowisko pierwszego sekretarza zostaje wybrany Tou Samouth, czterdziestopięcioletni były mnich i jeden z założycieli ruchu. Mają do niego zaufanie i weterani, i studenci. Jego zastępcą zostaje Nuon Chea, który piętnaście lat później będzie wicepremierem Demokratycznej Kampuczy. Dwa lata po spotkaniu koło stacji kolejowej tajna policja aresztuje Tou Samoutha. Poddaje go torturom i skrycie morduje. Ciało zostaje pogrzebane na wysypisku śmieci w Phnom Penh. Śmierć Tou Samoutha to dla partii komunistycznej bolesny cios. Sieć żmudnie budowanych od kilku lat podziemnych struktur legła w gruzach. Naprawa szkód zajmie dużo czasu. Jego następcą nie zostaje, jak być powinno, Nuon Chea. Jest podejrzany o defraudację mienia. Te oskarżenia wpędzają go w depresję i skrajną apatię. Na jego miejsce wchodzi zatem trzecia osoba z listy: Saloth Sar. Kilka tygodni później policja bezpieczeństwa publikuje nazwiska trzydziestu czterech lewicowców. Niektórzy są powszechnie znani, na przykład Khieu Samphan. Inni to osoby, o których prawie nikt nie słyszał, tacy jak Saloth Sar, Ieng Sary i Ok Sakun. Można to uznać za listę skazańców. Książę Sihanouk rozkazuje wszystkim z listy, aby stawili się w biurze premiera. Co ich tam czeka?

Tortury? Więzienie? Egzekucja? Ale odmówić spełnienia rozkazu to skazać się samemu na banicję. Trzydziestu dwóch z nich stawia się na wezwanie. Dostają ostrą reprymendę i muszą podpisać lojalkę. Mówi się w niej, że tylko książę Sihanouk, nikt inny, jest w stanie przewodzić krajowi.

To wszystko, potem mogą iść. Jednym z tych dwóch, którzy się nie stawili, jest Saloth Sar. Tak się zaczyna jego życie poza nawiasem społeczeństwa. Ukrywa się przez trzy tygodnie. Gdy sprawa nieco przycicha, udaje się na wschód. Wietnamscy komuniści udzielają mu gościny w jednej ze swoich przygranicznych baz.

Marzec 1963.

Ciepło. Ponad trzydzieści stopni w cieniu. Jakieś miejsce. Pokój? Restauracja? Róg ulicy? Nie, przypuszczalnie pokój, w jednym z tak zwanych pewnych domów. Prawdopodobnie jakieś prywatne lokum, gdzieś na obrzeżach Phnom Penh. To nieistotne. Dwie osoby. A może więcej. Ile? To też nieważne. Dwie osoby. A więc: IENG SARY (pseudonim VAN), lat 39, lider falangi paryskich studentów w partii komunistycznej. Jeden z tak zwanych intelektualistów. Apodyktyczny, elokwentny. I: NUON CHEA {alias LONG RITH), lat 40, zastępca pierwszego sekretarza partii, studia prawnicze w Bangkoku. Jeden z weteranów. Dogmatyczny i bez wdzięku.
IENG SARY: Jeszcze za wcześnie na to, żeby opuszczać Phnom Penh. Ciągle istnieją możliwości walki politycznej, na drodze legalnej.
NUON CHEA: Ci, którzy byli na liście bezpieki, muszą zejść do podziemia. To nie podlega dyskusji. Ryzykujecie wsypaniem nas wszystkich.
IENG SARY: Uważam, że to za wcześnie.
NUON CHEA: Jakiś czas w lesie dobrze wam zrobi, towarzyszu. Pomoże wam w każdym razie pozbyć się waszych burżujskich, paryskich narowów. Umocni w was proletariackiego ducha.

Towarzystwo Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej powstało 17 kwietnia 1977, w drugą rocznicę rewolucji Czerwonych Khmerów. Tym samym utworzona pół roku wcześniej Grupa Robocza na rzecz Kampuczy osiągnęła swój cel. Przedtem pomoc walczącej Kambodży koordynował ruch solidarności z FNL. Spotkanie założycielskie odbyło się w Gimnazjum dla Dorosłych Aso w Sztokholmie. Zebranie prowadziła

Hedda Ekerwald i spośród obecnych pięćdziesięciu osób dwadzieścia dwie wybrano do zarządu. Przewodniczącym Towarzystwa został Gunnar Bergström.

Potem, już po południu, odbyło się większe spotkanie, na którym przemawiał Jan Myrdal. Około dwustu osób wysłuchało, jak aktorzy z wolnej grupy teatralnej Fria Pro, wspólnie z orkiestrą dętą uppsalskiej sekcji klubu Folket i Bild, zagrali i odśpiewali hymn Demokratycznej Kampuczy: “O, ojczyzno, gdy twoje równiny spłynęły krwią naszego ofiarnego ludu, / ta krew zrodziła płomień nienawiści i przyszło nam stanąć do walki, / nieustępliwej walki z wrogiem. Pod sztandarami rewolucji doszliśmy do naszego 17 kwietnia. / Niech żyje po wsze czasy nasza wolność, nasz 17 kwietnia". Pierwszy numer “Kampuczy", gazetki Towarzystwa, ukazał się tuż przed jego zawiązaniem. W redakcyjnym wstępniaku można było przeczytać:

“W ciągu niewielu lat zmienił się tu cały krajobraz. Od Ratanakiri na północy po Svay Rieng na południu kopie się rowy i kanały. Woda poddana jest kontroli, aby umożliwić produkcję ryżu na wielką skalę, a tam, gdzie kiedyś rosły krzaki, teraz uprawia się banany albo kukurydzę. Kampucza pozostanie samowystarczalna w produkcji żywności. Żaden deszcz, nawałnica ani obce mocarstwo nie będzie w stanie sterować Kampuczą. Jednak obraz sytuacji w Kampuczy, przedstawiany nam tu, na Zachodzie, wygląda całkiem inaczej. W mass mediach można znaleźć wiele tendencyjnych doniesień, spekulacji, pomówień i sfałszowanych fotografii. Z tej właśnie przyczyny i z powodu braku obiektywnych informacji gazeta, którą trzymasz w ręku, jest nieodzowna. Narody Szwecji i Kampuczy mają wspólne interesy. Kampucza potrzebuje od nas wsparcia, my z kolei możemy wiele się nauczyć od tego kraju walczącego o niepodległość. Sam fakt, że mały kraj, ufając we własne siły, potrafi budować swoją przyszłość, jest zagrożeniem dla imperializmu i źródłem inspiracji dla narodów całego świata". Na następnej rozkładówce widnieje zdjęcie pracujących chłopów. Podpis brzmi: “Z plantacji kauczuku w Kampuczy". Fotografia przedstawia uprawę papai.

52.

Miasto, którego nie było, znów jest. Leży tam, gdzie leżało, u zbiegu dróg, gdzie albo skręca się w lewo, na Kompong Thom, albo jedzie się prosto, na Kompong Cham. Hedda Ekerwald zapisuje w dzien-

niku podróży dnia 14 sierpnia 1978: “Jedziemy samochodem do Kompong Cham. Po drodze zatrzymujemy się przy jakimś placu budowy, na przystani promowej nad rzeką Ton le Sap i w Skuon, zbombardowanym mieście, gdzie nie został kamień na kamieniu".

W numerze “Kampuczy", gazetki Towarzystwa Przyjaźni, poświęconym wyprawie szwedzkiej delegacji, znajduję zdjęcie ze Skuon. Widać na nim stosy potrzaskanego betonu, głębiej, w tle, kilka drzew. Z gruzów wystają poskręcane pręty zbrojeniowe. Ale kiedy podjeżdżam do rozwidlenia dróg, miasto tam jednak jest. Najpierw solidne drewniane domy na słupach, przeglądające się w sadzawkach pełnych rozchylonych kwiatów lotosu. Na kalenicach pięknie wyrzezane daty budowy. Większość pochodzi z lat dziewięćdziesiątych. Dalej budynki betonowe, dwu- albo trzykondygnacyjne. Skuon to miejsce krótkiego postoju przed dalszą podróżą. Gdy moja taksówka zatrzymuje się, przez opuszczone szyby przekupnie podtykają mi swoje towary. Torebki z nakrapianymi ptasimi jajeczkami, pędy bambusa ze słodzonym ryżem, rzeczne małże, pęczki rambutanów. I plecione misy z dużymi irytowanymi pająkami - tutejszą specjalnością. Jakaś dziewczynka próbuje skusić mnie żywym pająkiem na ramieniu. Stworzenie jest dwa razy większe od jej dłoni i dziewczynka wyciąga je z powrotem, raz po raz, gdy pająk wpełza jej w rękaw. Wysiadam na słoneczny żar. Robię mozolny obchód okolicy. Ale już nie ma żadnych śladów zniszczeń sprzed trzydziestu lat.

Skuon wygląda jak typowe kambodżańskie miasteczko, tyle że centrum wyznaczają tu rozstajne drogi. Stara, zapadła wysepka dla pieszych świadczy o bardziej przemyślanej infrastrukturze niż ta, która powstała w ostatnich latach. Na jednym krańcu wysepki stoi nieduży pomnik: dziewczyna i chłopiec. Trzymają w rękach ziemski glob i gołąbka pokoju. Na drugim krańcu posąg z tym samym motywem, ale tam chłopiec i dziewczyna ubrani są w tradycyjne chłopskie stroje i trzymają rolnicze narzędzia. Kolory są wyblakłe. Pośrodku, między tymi wietrzejącymi rzeźbami, wznosi się dumnie jaskrawoczerwony słup reklamowy Sokimexu, największej spółki naftowej Kambodży.

53.

[Jak migotanie białe]

Przez dwa i pół miesiąca Saloth Sar wędruje z obozu partyzantów

do Hanoi. Idzie przez dżunglę pełną malarycznych komarów, forsuje rzeki i łańcuchy gór. W Hanoi przyjmuje go między innymi Ho Chi Minh. Saloth Sar ma misję: chce, żeby Wietnamczycy z Północy poparli Kambodżan w walce zbrojnej przeciwko księciu Sihanoukowi. Odmówią mu. Jest rok 1965 i Amerykanie po raz pierwszy angażują w Wietnamie swoje wojska lądowe. Dla Wietnamczyków własna wojna jest ważniejsza od niecierpliwych Kambodżan. Aby przekonać Saloth Sara, jak wiele już zrobili dla bratniego narodu na zachodzie, otworzą przed nim partyjne archiwa. Ma się doczytać sam, że w ciągu długich lat nie szczędzili ofiar i wyrzeczeń. Ma to być dla niego lekcja pokory. Opowie później:

"Odkryłem, że od 1930 [...] do 1965 roku rewolucyjne partie ludu Kambodży i Laosu opisywane były przez wietnamskich komunistów jako przybudówki partii wietnamskiej [...]. Obie one realizowały wytyczne, linię polityczną oraz strategię partii wietnamskiej. Dopóki sam nie zapoznałem się z tymi dokumentami, wierzyłem i ufałem Wietnamczykom. Ale po tej lekturze przestałem im ufać. Zrozumiałem, że organizowali partie w naszych krajach tylko po to, żeby osiągnąć swój cel, to znaczy indochińską federację. Tworzyli zjednoczoną partię, żeby reprezentować jednolite, zintegrowane terytorium".

54.

[Historia, jeżeli chcecie]

Książę Sihanouk przebywał właśnie w Moskwie, kiedy go obalono w 1970. Niczym król z klasycznej tragedii przez ostatni rok sam mniej lub bardziej przygotował swój upadek. Gospodarka znajdowała się w stagnacji, inicjatywa polityczna w rękach prawicowej opozycji, a sam książę miotał się od manii do depresji. Zamach stanu przeżył jednak boleśnie. To małe królestwo traktował jako część samego siebie. Teraz jego ukochani poddani, jego "dzieci", zwrócili się przeciwko niemu. A przecież tyle dla nich zrobił. Przez pierwszą dobę rozważał możliwość szukania azylu we Francji. Francuzi powiedzieli mu, że proszę bardzo, ale wtedy musi wyrzec się polityki. W ich kraju musi być osobą prywatną, nie wolno mu publicznie wyrażać opinii o Kambodży. Jego sowieccy gospodarze też nie pałali zbytnim entuzjazmem. Pogrążony w apatii Sihanouk zgodził się zatem przyjąć zaproszenie do Pekinu.

Powitano go tam z nieoczekiwaną pompą, kontrastującą z chłodnym odzewem Francji i Związku Radzieckiego. Premier Czou

En-laj zachęcał go, aby natychmiast podjął walkę z puczystami. Mao Tse-tung zapewniał, że Chiny wcale nie życzą sobie komunistycznej Kambodży, lecz powrotu do status quo ante, dawnej neutralności. Zobojętnienie Sihanouka ustąpiło namiętnej żądzy zemsty. Oznajmił swoją gotowość. W Pekinie przebywał także Saloth Sar. Przed następnym rozdaniem Chińczycy chcieli mieć w ręku jak najwięcej kambodżańskich kart. Za pomocą nacisków skłonili Sihanouka, aby stanął na czele ruchu oporu złożonego głównie z komunistów. Saloth Sar z kolei został zmuszony uznać zwierzchność swego dawnego śmiertelnego wroga.

Doszedł do wniosku jednak, że książę, ze swoim nazwiskiem, zyska dla ich walki niezbędny respekt na arenie międzynarodowej. Sihanouk skonstatował lakonicznie, że komuniści "zjedzą mnie jak wisienkę. A potem wyplują pestkę". Czego innego mógł się spodziewać po tych, których jego bezpieka prześladowała przez dziesięciolecia? Którzy oprócz tego widzieli w nim klasowego wroga i relikt feudalizmu? Jednak żywił przy tym nadzieję, że będzie w stanie wymanewrować komunistów, skoro tylko wróci do Phnom Penh. W końcu przez bez mała dwadzieścia lat był najbardziej szczwanym politycznym lisem w Kambodży. Oficjalnymi przywódcami Czerwonych Khmerów byli teraz Khieu Samphan i inni socjaliści, których znał. Wcześniej potrafił sobie z nimi radzić. Pięć dni po zamachu Sihanouk zaprezentował Front Jedności Narodowej-Kampuczy, we francuskim skrócie FUNK. Ponad miesiąc później FUNK został uzupełniony o rząd na wychodźstwie, GRUNK. Na czele obu stał książę Sihanouk.

W przemówieniu radiowym zaapelował do rodaków, by przyłączali się do zbrojnej walki przeciwko rządowi Lon Nola. W praktyce był to apel o przyłączanie się do Czerwonych Khmerów, czego ci ostatni nie omieszkali wykorzystać w swojej rekrutacji. Wielu partyzantów sądziło więc, że walczą o monarchię, nie o komunizm. Owa decyzja, aby zawrzeć to wyraźnie nieświęte przymierze z Czerwonymi Khmerami, ciąży odtąd nad Sihanoukiem jak przekleństwo. Podarował im upragnioną legitymizację i został gwarantem umiarkowanej rewolucji. Jego krytycy upatrują w tej decyzji albo świadomej zdrady, albo niewybaczalnej naiwności. Ewentualnie niestrawnego melanżu jednego z drugim. Sihanouk przekonał się wkrótce, że Pekin to nie Phnom Penh. Tu reguły gry były inne. Trzy wielkie mocarstwa krążyły już bliżej jego królestwa i ich grawitacja rozdarła znany mu świat. Sihanouk musiał zadowolić się odczytywaniem proklamacji Czerwonych Khmerów i był

pozbawiony bezpośredniego wpływu i na politykę, i na wojnę. Po długich naleganiach z jego strony w 1973 pozwolono mu odwiedzić Angkor Wat, który znajdował się pod kontrolą Czerwonych Khmerów. Sam książę w narodowym sanktuarium. Ich wielkie propagandowe zwycięstwo.

Przeglądam stare fotografie. W odprasowanym chłopskim stroju Sihanouk pozuje wraz z tymi, którym kilka lat wcześniej groził śmiercią i których wypędził do dżungli. Stoją przed świątyniami, na tle wodospadów. Wszyscy się uśmiechają, trochę jakby z musu, do obiektywu. Kilka z osób wokół Sihanouka zostanie później zamordowanych przez człowieka, który na zdjęciach zdaje się świadomie trzymać na uboczu. Saloth Sar. Czeka z uśmiechem, w cieniu, aż nadejdzie jego moment. Tajny przywódca, który nie przyjął jeszcze imienia Pol Pot i nie wystąpił jawnie, w świetle rampy.

55.
POKÓJ TO KAPITULACJA!

56.

Nie zdążyłem się nawet przedstawić. “Czego pan chce?". Od paru dni usiłowałem dodzwonić się do Jana Myrdala. Za każdym razem odbierała Gun Kessle, jego towarzyszka życia, i grzecznie oznajmiała, że gdzieś pojechał, pracuje w ogrodzie albo jest zajęty. Ale tym razem to Jan Myrdal opryskliwie mi przerywa. Choć początkowo, gdy nawiązałem z nim kontakt mejlowy, był nastawiony pozytywnie. Snuł wizję czegoś w rodzaju wspólnego projektu, do którego chciał włączyć swoje dawne kontakty. W liście wymienia przede wszystkim szefa dyplomacji Czerwonych Khmerów, Ieng Sary'ego, i jego żonę Thi-rith, która była ministrem spraw socjalnych Demokratycznej Kampuczy. Ale także “japońskich przyjaciół", którzy często bywają w Phnom Penh. (Nie precyzuje, o kogo chodzi - jednak pewien szwedzki dziennikarz opowie później o swoim surrealistycznym spotkaniu w dawnej fortecy Czerwonych Khmerów gdzieś w dżungli. O jakimś Japończyku na wielkim motocyklu z dwiema młodymi kobietami jakby wziętymi prosto z tokijskiej dzielnicy mody. Szwedzki dziennikarz spędził cały dzień, czekając na próżno, by porozmawiać z Nuon Chea, byłym wicepremierem Czerwonych Khmerów. Japończycy natomiast zostali przyjęci od razu).

W następnym liście Jana Myrdala sytuacja jest już inna. Ieng

Sary już nie uważa, że przeprowadzenie zaplanowanych wywiadów jest możliwe, ONZ i rząd kambodżański znowu zaczęli dyskutować o trybunale do spraw zbrodni dawnych przywódców. Co do własnych wspomnień z wizyty w Demokratycznej Kampuczy, Jan Myrdal odsyła do tego, co wcześniej opublikował. To samo mówi przez telefon. "Widziałem to, co widziałem, i napisałem o tym". Udzielenie nowego wywiadu byłoby więc niewłaściwe, powiada, ponieważ nie był w tym kraju od czasu, kiedy Czerwoni Khmerzy złożyli broń. I nie ma nic nowego do dodania - niczego więcej się nie dowiem. Muszę przeczytać to, co już jest opublikowane. Sam Jan Myrdal stawiał sobie zawsze za punkt honoru sięganie do źródeł. Nie zadowalał się byle czym. Właśnie dlatego w latach pięćdziesiątych spędził rok na pustynnych bezdrożach Afganistanu. Dlatego przeprowadzał wywiady w Liu Ling, z których powstał pionierski w skali światowej Rapportfrdn kinesisk by [Raport z chińskiej wioski]. I to dlatego wrócił do północno-zachodniej Kambodży, gdy w 1979 zamieniła się w strefę wojny. Ale nie mówię tego do słuchawki. Wszak wiemy o tym obaj.

Jeżeli wszystko jest już napisane, to okej. Kończymy rozmowę, a ja idę do biblioteki. Zamawiam, co tylko bibliotekarz znajdzie z tego, co Jan Myrdal napisał o Demokratycznej Kampuczy. Jest tego wiele setek stron.

[Richard Nixon w prywatnej rozmowie ze swoim asystentem "Bobem" Haldemanem]:

"Kluczem jest groźba. Nazywam to the Mad Man Theory. E01... Chcę, żeby Wietnamczycy uwierzyli, że osiągnąłem taki punkt, w którym jestem gotów zrobić wszystko, żeby zakończyć tę wojnę. Powiedz im, w zaufaniu, że »na miłość boską, przecież wiecie, że Nixon ma obsesję na punkcie komunizmu. Jak się wścieknie, to nie będziemy w stanie go powstrzymać, a on trzyma palec na atomowym guziku« - zobaczysz, że za dwa dni Ho Chi Minh sam będzie w Paryżu dopraszał się o pokój!".

57.

[Historia, jeżeli chcecie]

Szefowi dyplomacji USA, Henry'emu Kissingerowi, terror nie był obcy. Jako piętnastolatek musiał uciekać ze swojego kraju, Niemiec. Co Adolf Hitler szykował dla Żydów, dawno nie było żadną tajemnicą. W

Stanach postawił na karierę akademicką. Ambitny i żądny sławy piął się do góry, ku centrum władzy politycznej. Po kryjomu asystował w kampanii wyborczej Richarda Nixona w 1968. Opłaciło się. Gdy Nixon został wybrany prezydentem, zrobił Henry'ego Kissingera swoim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Richard Nixon i Henry Kissinger na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stali się zgranym, nierozłącznym amerykańskim duetem. Dla wielu personifikacją imperializmu USA. Nixingerem. Przez cztery lata, które nastąpiły po tej rozmowie Nixona z Haldemanem, amerykańskie samoloty zrzuciły na Wietnam, Kambodżę i Laos 4,5 miliona ton bomb. Ani wcześniej, ani później w żadnej wojnie w historii ludzkości nie zrzucono tylu ładunków wybuchowych.

Na tym zdjęciu mam może rok. Stół jest zastawiony puszkami i szklankami z niedopitym piwem. Siedzę u mamy na kolanach. Z moich prawie bezzębnych ust dobywa się widocznie wrzask, bo mama krzywi się z udręką. Z lewej strony białe dzienne światło. Jakieś okno? Dym unosi się z papierosa w jej dłoni, drugą obejmuje mój dziecięcy brzuszek. Za nami, na korkowej tablicy, przytwierdzone są zdjęcia i plansze. Jedna z nich wzywa USA do zaprzestania terrorystycznych bombardowań. Inna przedstawia cztery identyczne symbole kobiety, z zaciśniętą pięścią w kółku z krzyżykiem. Jakaś flaga, której nie rozpoznaję, kieszonkowy zegarek i jakieś plecione rękodzieło przywodzące na myśl Amerykę Południową. Kulisa z roku 1973. Czyja to kuchnia, bo to chyba kuchnia? Czyje to mieszkanie? I co dziś wisi na tej ścianie, na miejscu tablicy?

61.

[Historia, jeżeli chcecie]

Bombardowanie Kambodży zaczęło się w marcu 1969. Naloty były bezprawne, ponieważ Kambodża jako neutralna w wojnie wietnamskiej nie brała udziału. Natomiast nitka tak zwanego Szlaku Ho Chi Minha przebiegała częściowo przez teren Kambodży. Po kambodżańskiej stronie granicy znajdowały się także północnowietnamskie bazy. Książę Sihanouk, który wtedy jeszcze stał na czele państwa, zdawał sobie sprawę z wietnamskich poczynań. Było to ciche ustępstwo na rzecz strony, która z tej wojny, jak był przekonany, miała wyjść zwycięsko. Nie miał zresztą wielkiego wyboru. Armia Kambodży była nieliczna i zacofana. Na przykład w Mondolkiri, jednej z pięciu prowincji, które przecinał Szlak Ho Chi Minha, stacjonowało zaledwie trzystu dwudzie-

stu żołnierzy.

Pierwszy nalot bombowy miał na celu zniszczenie tego, co USA uważały za południową kwaterę główną wietnamskiej partyzantki. Nixon i Kissinger wiedzieli, że nie dostaną od Kongresu zezwolenia na bombardowanie Kambodży. Dlatego należało to zrobić cichaczem.

Niełatwo jest prowadzić tajną wojnę w demokratycznym i otwartym społeczeństwie. Mechanizmów kontrolnych i zabezpieczających jest sporo. Konieczne więc było zakrojone na dużą skalę fałszowanie raportów bojowych i rozkazów operacyjnych. W uproszczeniu plan wyglądał następująco: pierwotne cele leżały w Wietnamie Południowym, ale w ostatniej chwili, przed otwarciem luków bombowych, piloci mieli otrzymywać nowe koordynaty. Nie wynikało z nich, że prowadzą do celów leżących już na terenie Kambodży. Raporty miały wykazywać, że bomby zostały zrzucone, po małej korekcie współrzędnych, na Wietnam Południowy. Nawet naczelne dowództwo powietrznych sił zbrojnych nie znało prawdy. 18 marca 1969 rozpoczęto Operację Śniadanie. Przed wschodem słońca superfortece B-52 bombardowały przez godzinę obszar wielkości kilku mil kwadratowych w południowo-wschodniej Kambodży. Oszacowano go jako “rzadko zaludniony", ale nikt nie wie, ilu cywilów zginęło. Ludzie na ziemi byli kompletnie zaskoczeni. Ciemność poranka zamieniła się nagle w inferno ognia i śmierci. Piloci w swoich maszynach widzieli błyski eksplozji w kłębach kurzu i dymu. Nalot udało się utrzymać w tajemnicy. Nic nie wyciekło do mass mediów. Tym samym Kambodża stała się strategiczną alternatywą. W ciągu następnych czternastu miesięcy przeprowadzono dodatkowo 3630 tajnych nalotów. Po Operacji Śniadanie nastąpiła Operacja Lunch, a po niej Operacja Podwieczorek. I tak dalej. Podszyty wojskowym cynizmem zbiorczy kryptonim brzmiał: Operacja Jadłospis.

63.

[Jak migotanie białe]

Przez ostatni etap wędrówki musieli go nieść. Wąska ścieżka przez dżunglę, Saloth Sar leży w hamaku przymocowanym do długiego bambusowego kija. Może nawet nie zauważa, że zbliżają się do Biura 100, pierwszej własnej kwatery głównej kambodżańskich komunistów. Trzęsie nim malaryczna febra, a rok 1967 dobiega końca. Biuro 100 jest położone w północno-wschodnim rogu kraju, przy wietnamskiej grani-

cy. Dziesiątki kilometrów wzgórz pokrytych nieprzebytym lasem tropikalnym. Żadnych dróg, poza spławnymi dopływami wielkich rzek i paroma ścieżkami przez dżunglę. W lasach mieszkają górskie plemiona, polujące z łukiem, mówiące językiem, którego nowo przybyli rewolucjoniści nie rozumieją.

Kwatera główna. Zbiorowisko prymitywnych chat i szałasów. Kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet. Wielu z nich cierpi na ciężkie choroby tropikalne i chroniczne zapalenie skóry. Hu Nim, przyszły minister informacji, całkiem wyłysiał po ataku malarii. Niedostateczne racje żywnościowe muszą być uzupełniane tym, co da się znaleźć w dżungli - mięsem waranów, małp, insektami. Prawie zupełnie odizolowani od reszty świata, siedzą tam, wychudzeni i nękani chorobami, i snują plany przewrotu społecznego. Z braku min wykopali “wilcze doły", a terenu strzegą miejscowi łucznicy, uzbrojeni w zatrute strzały. Mijają lata, a nad ich głowami przelatują amerykańskie i południowowietnamskie bombowce.

64.

[Historia, jeżeli chcecie]

Po obaleniu księcia Sihanouka w marcu 1970 Lon Nol wysłał do Nixona petycję. Prosił o natychmiastową amerykańską pomoc w usunięciu z Kambodży baz Wietnamu Północnego. Amerykanie mogli teraz kontynuować naloty otwarcie, w ramach pomocy sojuszniczemu krajowi.

Wiara w skuteczność nalotów bombowych w zwalczaniu partyzantki to utopia. Pokazały to doświadczenia z Wietnamu Północnego i Laosu. Mimo olbrzymiej liczby zrzuconych bomb komuniści wciąż byli w stanie dostarczać dość materiału, aby wojna toczyła się dalej, z niesłabnącą siłą.

Oficjalnie Nixon ogłosił, że naloty bombowe stopniowo będą zmniejszane. I rzeczywiście, coraz mniej maszyn odlatywało do Indochin. Zapomniał jednak dodać, że liczba bomb w ładowniach samolotów wzrosła. W okresie 1968-1970 ładunek bomb został podwojony.

Po wkroczeniu Amerykanów i Południowych Wietnamczyków do południowo-wschodniej Kambodży w marcu 1970 Kongres podjął działania, aby ograniczyć władzę prezydenta Nixona. Przez całe lata sześćdziesiąte prerogatywy prezydenta były stopniowo poszerzane, te-

raz jednak powiedziano stop. Prezydentowi zabroniono wysyłać żołnierzy i doradców do Kambodży. Ten prztyczek w prezydencki nos nie powstrzymał jednak Nixona i Kissingera. Bombardowania nasilono. Po inwazji Północni Wietnamczycy wycofali się głębiej na terytorium Kambodży. Amerykańskie bombowce podążyły za nimi. W grudniu 1970 Nixon i Kissinger wymogli jednak na Kongresie zgodę na militarne wsparcie dla Kambodży. Nie w postaci żołnierzy, lecz pieniędzy i broni. Była to część doktryny Nixona - płacenie innym krajom za prowadzenie wojny USA. To oznaczało o wiele mniej krzyży stawianych na amerykańskich cmentarzach wojennych i dzięki temu było łatwiej akceptowane w Stanach. W 1973 podpisano porozumienie pokojowe między Wietnamem Północnym z jednej strony a Stanami i Wietnamem Południowym z drugiej. Pod koniec marca ostatni żołnierz amerykański opuścił Wietnam. Henryego Kissingera uhonorowano Pokojową Nagrodą Nobla.

65.

KTO NIE DOŚĆ SZYBKO POSUWA SIĘ DO PRZODU, TEGO ZMIAŻDŻY KOŁO HISTORII!

66.

[Jak migotanie białe]

Wieczór przed wymarszem. Ulewne deszcze nadciągają coraz częściej, niebo nad dżunglą jest wciąż ołowiane. Sytuacja szybko się zmienia. Książę Sihanouk został obalony parę miesięcy wcześniej, żołnierze Lon Nola usiłują zdławić szybko szerzącą się chłopską rebelię. Komunistyczna partyzantka w wielu miejscach kraju toczy otwartą wojnę z władzą centralną. Oto chwila, na którą czekali. Oto ten moment - początek.

Oto wieczór przed wymarszem z Biura 100, głównej kwatery w dżungli. Saloth Sar zwołał tych, którzy z nim pójdą. Oddział składa się głównie ze straży przybocznej, siedemdziesięciu ludzi rekrutowanych z lokalnych mniejszości. Mają opinię lojalnych do śmierci i niezepsutych przez nowoczesne społeczeństwo. Idą, nie zamierzając wracać. Wymarsz wymaga jakiejś ceremonii. Saloth Sar oznajmia, że każdy z nich otrzyma nowe imię, dla zaznaczenia nowej ery, w którą teraz wkroczą. Sam wybrał im imiona. Mówi, że on odtąd będzie nazywać się Pol. Nie uzasadnia tego w żaden sposób. Ani teraz, ani potem. Swojemu adiu-

tantowi nadaje imię Cheam, “Krew".

67.

Wtorek, 15 sierpnia 1978, Hedda Ekerwald zapisuje w dzienniku podróży:
“Pojechaliśmy dalej, do Kompong Thom, gdzie nocowaliśmy za miastem, w nowo wybudowanym schronisku. Wizyty studyjne przy dwóch dużych tamach i w zakładach obróbki kauczuku". Jest inny wtorek, dużo później, i stoję na jednej ze śluz koło tamy, patrząc na wodę migoczącą w słońcu. Wodne hiacynty tworzą małe zielone wysepki. Nietrudno było tu trafić. W pobliskiej wsi mówi się o tamie jako o dumie okolicy. Trudno powiedzieć, czy to ta sama śluza, którą widziałem na slajdach Heddy Ekerwald. Wokół zbiornika jest więcej odpływów, wszystkie tej samej konstrukcji i podobnie zardzewiałe. Na jednej z belek ktoś wyrył miłosne wyznanie. Na innej namalowana jest biała czaszka. Pytam kilkoro bawiących się dzieci, co oznacza ten obrazek. Zbierają się, zaciekawione, wokół mnie. Ale nie, nie wiedzą. Jedna dziewczynka mówi “duch", nie bardzo wiadomo do kogo. Pytam ją, co ma na myśli. Odwraca głowę, zawstydzona.

68.

[Historia, jeżeli chcecie]

Pokój w Wietnamie czy nie - amerykańskie lotnictwo wojskowe nie musiało obawiać się kurzu hangarów. Cała jego siła skupiła się teraz na Kambodży. W marcu, kwietniu i maju każdego miesiąca spadało na Kambodżę tyle bomb, ile przez cały ubiegły rok. Już w 1971, jeszcze za czasów stosunkowo umiarkowanych nalotów, szacowano, że 20 procent zabudowy i ziem uprawnych kraju jest zniszczone. Można zapytać, co tam dwa lata później jeszcze zostało do bombardowania? Problem ten rozwiązano całkiem zwyczajnie, ignorując go. Bomby sypały się dalej.

Skala tych bombardowań po zawarciu pokoju wiosną 1973 zdumiała nawet parlament USA. W maju 1973 Izba Reprezentantów postanowiła zakręcić kurek z pieniędzmi na ten cel. Senat to zatwierdził. Naloty miały się zakończyć najpóźniej z końcem czerwca. Nixon postawił weto, uzasadniając, że w Kambodży “bombarduje się dla pokoju".

Kongres obstawał jednak przy swoim i ostatecznie zawarto kompromis. Zakaz nalotów miał wejść w życie 15 sierpnia 1973. W porozumieniu znalazł się też zakaz intensyfikacji nalotów przed tą datą.

Nixon i Kissinger zignorowali go. Od dnia zawarcia porozumienia do ostatniego dnia nalotów i tak zmasowany już atak bombowy spotęgowano jeszcze o 21 procent. W przestrzeni powietrznej nad Kambodżą zrobiło cię ciasno. Lotnictwo bało się kolizji, co częściowo wpływało na wybór celów bombardowań. W tydzień po wejściu w życie zakazu nalotów Nixon mianował Kissingera ministrem spraw zagranicznych.

[9 grudnia 1970, rozmowa telefoniczna między Richardem Nixonem a Henrym Kissingerem]:

Nixon skarży się na początku, że jego lotnictwo jest “pozbawione wyobraźni". Chce bombardować Kambodżę intensywniej.

NIXON: To ma być zrobione, i to bez gadania. Żadnych ale. Wszystko, co lata, ma tam lecieć i bombardować aż do skutku. Bez ograniczeń co do wylatanych godzin i bez ograniczeń budżetu. Zrozumiano?

KISSINGER: [z pewnym ociąganiem] Problem w tym, panie prezydencie, że nasze lotnictwo jest przykrojone do potrzeb wojny powietrznej z Sowietami. Oni się nie nadają do tej wojny... prawdę mówiąc, do żadnej wojny, jaka dla nas naprawdę wchodzi w rachubę.

[Pięć minut później, rozmowa telefoniczna między Henrym Kissingerem a generałem Alexandrem Haigiem]:

KISSINGER: On chce zmasowanego ataku powietrznego na Kambodżę. Nie toleruje żadnych ale. To jest rozkaz, ma być po prostu wykonany. *Anything that flies, on anything that moves*. Rozumiesz?

HAIG: [rechocze]

70.
[Henry Kissinger, konferencja prasowa, wiosna 1973]: “My nie bombardujemy Kambodży. Bombardujemy Północnych Wietnamczyków w Kambodży".

Mam mapę Kambodży, na której każdy atak bombowy jest zaznaczony małą czarną kropką. Daje to pewne wyobrażenie o ich skali. Sporych części kraju po prostu nie widać – są całkiem zakropkowane. W sumie zrzucono na Kambodżę 2 756 941 ton bomb. To jest półtora raza tyle, ile alianci zrzucili w czasie całej drugiej wojny światowej,

wliczając w to bomby atomowe w Hiroszimie i Nagasaki. To infernalna machina zniszczenia, którą trudno z czymkolwiek porównać. Całkowita siła eksplozji, przykładowo, odpowiada 183 bombom z Hiroszimy. Szacuje się, że zginęły setki tysięcy Kambodżan. 183 bomby z Hiroszimy w cztery lata, na kraj wielkości połowy Szwecji. Początkowo po kryjomu.

Historia, jeżeli chcecie]

Większość wróżyła szybkie zwycięstwo Czerwonym Khmerom, gdy USA już ich nie mogły bombardować. Ale przyszło na nie zaczekać jeszcze półtora roku. W dużej mierze dlatego, że Wietnam Północny nie chciał przepuszczać do swych sojuszników broni i amunicji z Chin. Czerwoni Khmerzy byli potrzebni Wietnamowi tak długo, jak długo zmuszali USA do rozpraszania ich bombowców także nad terytorium Kambodży. To odciążało Wietnam. Lecz po zawarciu pokoju w 1973 ważniejsze było opóźnianie zwycięstwa Czerwonych Khmerów. Wietnam Północny chciał najpierw podbić Wietnam Południowy, aby później móc czynnie włączyć się w tworzenie komunistycznej Kambodży.

Natomiast dla Czerwonych Khmerów była to nowa, niewybaczalna wietnamska zdrada. Mieli zwycięstwo już w zasięgu ręki, lecz hamował ich brak amunicji. Stronie rządowej amunicji nie brakowało. Amerykańska pomoc finansowa dla Lon Nola trwała dalej. W latach 1970-1974 Kambodża dostała w ramach pomocy wojskowej 516 milionów dolarów i dodatkowo 216 milionów w ramach pomocy gospodarczej. Pomoc humanitarna w tym okresie ograniczyła się do 2,5 miliona dolarów. Rok 1974 to także rok, w którym amerykańska konstytucja w końcu dopadła Nixona. Pod groźbą impeachmentu, między innymi za ukrywanie wstępnej fazy bombardowań Kambodży, sam podał się do dymisji. Jego miejsce zajął wiceprezydent Gerald Ford. Henry Kissinger został na zajmowanym stanowisku.

73.

W książce “Proces Henry'ego Kissingera” Christopher Hitchens wylicza możliwe podstawy do oskarżenia Kissingera. Poza tajnymi nalotami na Kambodżę wymienia jego rolę w krwawym puczu w Chile w 1973. Kissinger wspierał później dyktatora Augusta Pinocheta, mimo że ten rozkazał wymordować tysiące przeciwników politycznych. Christopher Hitchens pisze też o poparciu dla generała Yahyi Khana, inicja-

tora masowych mordów na ludności dzisiejszego Bangladeszu. Uważa także, że to Kissinger dał zezwolenie Indonezji na zajęcie Timoru Wschodniego w 1975, kiedy zabito blisko szóstą część ludności tego kraju. Dalej wymienia między innymi poparcie dla apartheidowych rządów Rodezji i Afryki Południowej. Jednak żadnego oskarżenia nie będzie. Henry Kissinger dożywa swoich lat jako szanowany były mąż stanu, którego rad wielu słucha.

Scena: Maj 1970. Willa Lon Nola w Chamkar Mon, na południu Phnom Penh.

Przy wielkim oknie, odwrócony plecami do pokoju: Naczelny wódz / marszałek / premier Lon Noi. Po policzkach spływają mu łzy, tworzące ciemne plamy, kiedy skapują na zieloną wojskową koszulę.
Na ciemnej pluszowej kanapie: Alexander Haig, wysłannik Henry'ego Kissingera do Phnom Penh. Spodnie i koszula w kolorze khaki, czarny pas i kolorowe medale nad lewą kieszenią na piersi.

Resume: Alexander Haig właśnie oznajmił, że amerykańska ofensywa zostanie zakończona w ciągu dwóch miesięcy. Prezydent Nixon ma jednak nadzieję, że będzie mógł służyć Kambodży jakąś pomocą finansową przeznaczoną na gospodarkę i wojsko.

Lon Noi siedział z początku oniemiały, potem nieśmiało zaprotestował. Bez amerykańskich żołnierzy Kambodża nie jest w stanie obronić się przed wietnamskimi komunistami i Czerwonymi Khmerami. Wszak po amerykańskiej inwazji opuścili oni tereny pod granicą z Wietnamem i rozproszyli się po całej Kambodży.

Haig odpowiedział mu na to milczeniem, zatem Lon Noi podniósł się i stanął przy oknie.
Suite: Alexander Haig siedzi przygnębiony, patrząc na wstrząsaną łkaniem sylwetkę. Potem wstaje i podchodzi do pięćdziesięciosiedmioletniego dyktatora. Obejmuje go ramieniem.

ALEXANDER HAIG: Panie premierze, prezydent Nixon jest pańskim przyjacielem. Zrobi, co tylko w jego mocy, żeby panu pomóc, [krótka pauza] Prezydent jest pańskim przyjacielem.

TŁUMACZ: [Tłumaczy]

75.

W trzecim numerze pisma "*Folket i Bild/Kulturfront*" z 1999 Jan Myrdal pisze: "Gdy w 1978 byłem w Demokratycznej Kampuczy, nie widziałem tam żadnych masowych mordów. Fakt, że to jeszcze nic nie znaczy. Ale mogę zaświadczyć o tym, co widziałem. Stany Zjednoczone zostawiły po sobie kraj kompletnie zrujnowany. Amerykanie opróżnili wszelkie magazyny. Zaplanowali klęskę głodu, która miała zmusić partyzantów do poddania się, kiedy zrozumieją, że zajęli stolicę pękającą w szwach od uchodźców, ale zupełnie pozbawioną żywności. Partyzantom udało się uniknąć tej zaplanowanej klęski głodu dzięki trudnej i wymagającej straszliwych ofiar ewakuacji. Ryż nie rósł na asfalcie. O tym krzyczało się głośno na Zachodzie. Ale dla Kampuczy było to tak samo heroiczne zwycięstwo, jak dla Sowietów to, że Leningrad zdołał się obronić przed niemieckim najeźdźcą. I oczywiście prawie tak samo kosztowne. Pierwszy rok po zwycięstwie musiał być równie straszny jak tamtych dziewięćset dni Leningradu! Ale już kiedy tam byliśmy, produkcja ryżu - o czym Kaj Björk [ambasador Szwecji w Chinach] także mówił mi w Pekinie - radykalnie wzrosła. Największy głód minął.

A zatem to, co tam widziałem, trzy lata po ewakuacji 1975, to był planowy powrót do miast. To oznaczało szczęśliwe wyjście z tragicznego położenia. To było fiasko planów USA, które chciały pogrążyć Kampuczę w totalnej klęsce głodowej".

Jego skóra wygląda jak topiący się plastik. Ubrania nie ma i spore części ciała są czarne jak węgiel. Inne partie skóry przechodzą jakby od pomarańczoworóżowego do prawie żółtego. Nad nami rozpościera swoje konary olbrzymie drzewo. Człowiek, który przed chwilą się podpalił, leży na chodniku, jakby w lekko rozwartej pozycji płodowej. Zbierający się ludzie przystają w pewnej odległości, z pełnym szacunku dystansem.

Czarny, pomarańczowy, szary, żółty. Jedno ramię porusza się powoli, bez kierunku. Mężczyzna próbuje usiąść, odzyskać swoją pozycję lotosu. Tuż przy mnie wymiotuje jakaś młoda kobieta. Gdy on się skręca, widzę jego twarz z profilu. Zupełnie czarna. Nos wypalony, krew leje się z ust. Wydaje się zbyt czerwona na tej czarnej jak węgiel brodzie. Ktoś nadbiega z wiadrem wody, ale przystaje metr przed umierającym. Potem zdecydowanie chlusta wszystko na niego. Mężczyzna znów się przewraca. Pozycja płodowa. Bardzo powoli podnosi głowę i

wali nią z całej siły o trotuar. Tak mocno, że wydaje się, iż czaszka pęknie. Raz po raz. Odgłos jest przerażający. Syreny karetek pogotowia gdzieś w mieście. Zbliżają się. Jakieś zbawienie od tej sceny. Od tej rzeczywistości, jak ona wygląda. Że nie ma szans go uratować, to jest jasne. My, którzy tu stoimy, nie możemy niczego zrobić. Ból musi być nieznośny, wszelki dotyk wykluczony. Kierowca karetki otwiera drzwi i zamiera w pół kroku. Potem wyraźnie włącza się automatyka. Spojrzenie robi się jakby puste. Obaj z kolegą wciągają gumowe rękawiczki i bez ceregieli rzucają człowieka na nosze. Jakby już nie żył. Ludzie się jeszcze nie rozchodzą. Wcześniejsza przerażona cisza zamienia się w setki przytłumionych rozmów. Idę w stronę jakiejś parkowej ławki. Czuję się, jakbym był z waty, jakbym miał nogi wydłużone o parę metrów. Myślę wato-podobnie, że muszę usiąść, nim zemdleję. Ławka jest tylko trochę ocieniona, lecz moje nogi są za długie i za miękkie, aby doniosły mnie do innej.

Tłum powoli rzednie. Samospalenie rozegrało się przy małym ołtarzyku poświęconym duchowi tego miejsca albo drzewa. Po przeciwnej stronie ulicy jest rezydencja premiera. Kim był ten człowiek? Dlaczego to zrobił? Religia czy ideologia? Myśli nie dają się pozbierać. Ulotne strzępy i repetycje. Podchodzi jakiś chłopiec z szerokim uśmiechem. Przypuszczalnie nie widział, jak mężczyzna płonął. Pyta, czy może dostać mój telefon komórkowy. A moją torbę? Nie daje łatwo za wygraną, a ja kręcę swoją zbyt lekką głową.

77.
ZAMIEŃMY WIEŚ W MIASTO!

78.
[Dwanaście przykazań rewolucjonisty; do recytowania każdego ranka]
1. Będziesz kochał i czcił lud robotniczo-chłopski.
2. Będziesz służył ludowi zawsze i wszędzie, z całego serca i duszy.
3. Będziesz szanował lud i nie uczynisz niczego na jego szkodę, nie sięgniesz po jego rzeczy i jego uprawy, nie pozwolisz sobie na kradzież choćby jednej papryczki i będziesz strzec się, by go nie obrazić ani jednym słówkiem.
4. Będziesz prosił lud o wybaczenie, jeżeli zbłądzisz i zawinisz wobec niego. Jeśli uczynisz coś na szkodę ludu, u niego będziesz szukał łaski.
5. Praw ludu masz przestrzegać na każdym kroku, mówisz czy śpisz, idziesz, stoisz czy siedzisz, bawisz się czy śmiejesz.

6. Nigdy się nie dopuścisz czynów niestosownych wobec kobiet.
7. Co się tyczy jedzenia i napitku, będziesz spożywał tylko to, co wyprodukowała rewolucja.
8. Nigdy nie będziesz oddawał się hazardowi.
9. Nigdy nie sięgniesz po pieniądze ludu. Nie przywłaszczysz sobie ani miarki ryżu, ani tabletki leku, ani żadnego z kolektywnych dóbr należących do państwa czy ministerstwa.
10. Wobec robotników i chłopów, wobec całego ludu zawsze zachowasz głęboką pokorę. Za to wobec wroga, amerykańskich imperialistów i ich lokajów zawsze zachowasz w sercu ogień nienawiści.
11. Nie będziesz ustawał w pracy na rzecz ludu i będziesz ją kochał.
12. Z każdą przeszkodą, z każdym przeciwnikiem będziesz walczył odważnie i z determinacją, gotów poświęcić wszystko, włącznie z własnym życiem, dla ludu, robotników, chłopów, dla rewolucji i Organizacji, bez zwłoki i bez wahania.

79.

Przeczuwamy światło. Z daleka przeczuwamy światło i radujemy się z właściwie obranego kursu. Jest nas wielu i podążamy ku światłu w oddali. Idzie nam wolno, ale przeczuwamy bledszy odcień mroku. Droga jest ciężka. Trzeba forsować wielkie i trudne przeszkody. Czasem musimy się cofnąć, żeby je obejść. Idzie nam wolno, ale w oddali jest światło.

Idziemy długo, walcząc niestrudzenie. Nasz kurs jest słuszny. Przeszkód wiele, lecz zmierzamy we właściwą stronę. Ci z nas, którzy widzą najlepiej, muszą iść w mroku pierwsi. Większość jest powolna, a przeszkody trudne do sforsowania. My, którzy idziemy pierwsi, możemy torować drogę i ułatwiać naszą wspólną wędrówkę. Jesteśmy niecierpliwi, bo tak długo wędrujemy w mroku i przeczuwamy światło. Nasz kurs jest słuszny. My, którzy widzimy najlepiej, możemy ułatwić wędrówkę nas wszystkich. Wszyscy jesteśmy równi, ale niektórzy umieją lepiej widzieć w mroku. Pozwólcie nam, którzy widzimy w mroku trochę lepiej, pójść przodem. Nam, którzy trochę wyraźniej wyczuwamy odcienie. Idźcie za nami, towarzysze. My znajdziemy najszybszą drogę.

80.

Ta podróż Szwedów. Dwutygodniowy korytarz z uśmiechów i dobrze odżywionych ludzi. Zrelaksowanych, nieskrępowanych stra-

chem ludzi.

Jak to możliwe, że w tej maszynerii ani razu nic się nie zacięło? Przez parę lat pobytu w dzisiejszej Kambodży widziałem wiele dobrej woli, wiele entuzjazmu, lecz rzadko coś, co by działało bez zarzutu. Tu jest na to za biednie, możliwości organizacji są niedostateczne. A wtedy. Po wojnie domowej, w ferworze obalania starego porządku i prób zbudowania nowego. Nieprzejezdne drogi w całym kraju i brak chociażby jednej sprawnej linii telefonicznej. Jak można było spreparować takie kulisy? Jak można było skłonić ludzi wzdłuż tych dróg, aby spokojnie i z uśmiechem przyjmowali zagranicznych przyjaciół? Setki mil idylli, prosto przez “piekło na ziemi". Szwedzi nie wiedzą, jak to było. Widzieli tylko to, co widzieli. Wiedzą tylko organizatorzy. Czerwoni Khmerzy, którzy przygotowywali tę podróż po kraju. Gdziekolwiek teraz są. Jeśli w ogóle jeszcze są. Kiedy samolot Szwedów z wesołym rumuńskim zespołem pieśni i tańca wylądował w Phnom Penh, przywitało ich kilku zaufanych funkcjonariuszy. Udaje mi się znaleźć parę nazwisk: Suong Sikoeun, Ok Sakun i Sok Rim. Suong Sikoeun był jednym z najbliższych współpracowników ministra spraw zagranicznych Ieng Sary'ego. Odpowiedzialnym za wiele zagranicznych wizyt. Ok Sakun i Sok Rim byli przewodnikami Szwedów. Mam kilka fotografii i kilka nazwisk. To doprawdy niewiele, ponad dwadzieścia pięć lat później. Ale zawsze coś.

81.

Ok Sakun wygląda na wyjątkowo wysokiego. Przeglądam stare zdjęcia z podróży Szwedów. Stoi, dość chudy i lekko zgarbiony. Leninówka i raczej pospolite rysy twarzy Pierwszy ślad siwizny w czarnych włosach. Z kieszeni na piersi sterczy mu długopis - znak jego rangi państwowego urzędnika. I, jak wspomniałem, wysoki - wyrasta nad swoich krajanów. Ok Sakun był kluczową postacią podczas wizyty szwedzkiej delegacji. Towarzyszył Szwedom w podróży po kraju i służył m jako tłumacz. Jednak informacje, które mam o nim, są dość skąpe. Studiował matematykę w Paryżu w latach pięćdziesiątych i kierował tam jedną z pierwszych marksistowskich komórek. Na imprezach komunistycznego dziennika “UHumanitć" prowadził zwykle kambodżańskie stoisko z książkami. Potem został urzędnikiem kolejowym w Phnom Penh. Na początku lat siedemdziesiątych był szefem paryskiego biura rządu księcia Sihanouka na wychodźstwie. A potem odpowiedzialny za wizytę Szwedów. Innymi słowy, bardzo zaufany towarzysz. Ale gdzie jest dzi-

siaj? Hedda Ekerwald opowiada, że przez wiele lat wymieniała z nim bożonarodzeniowe życzenia. Zaprzyjaźnili się w szczególny sposób. To wspaniały człowiek, mówi. Ale od kilku lat jej kartki pozostają bez odpowiedzi, co ją niepokoi. Te wcześniejsze natomiast były stemplowane we Francji. Piszę do Kambodżan, których znam w Paryżu. Lecz odpowiedzi nie są zbyt zadowalające. Jeden nigdy nie słyszał o żadnym Ok Sakunie. Inny nie wie, gdzie go można znaleźć. Trzeci jest prawie pewien, że Sakun reemigrował do Kambodży. A w każdym razie dawno się nie pokazywał. Dwa kraje. Jeden człowiek. Żadnych śladów, prócz paru starych zdjęć. Gdzie zacząć?

82.

JEDNOŚĆ! RÓWNOŚĆ! BRATERSTWO! KOLEKTYWIZM! SOLIDARNOŚĆ!

83.

Niekończący się las wysokich kauczukowców. Opona siadła także w zapasowym kole. Wychodzę w ciepłą noc. Srebro księżyca w pełni sączy się przez liście, odbija się od jasnych pni. Pomiędzy nimi same cienie.

Szofer i reszta pasażerów naradzają się cicho, co robić. Zapalają po papierosie. Odchodzę kilka metrów w stronę, z której przyjechaliśmy. Potykam się w głębokich koleinach po kombajnach leśnych i ciężarówkach. Paręset metrów dalej płonie niewielkie ognisko. Między drzewami można dostrzec ruch, z dala dobiega odgłos rozmowy.

Czerwone świetliki latają jak spowolnione race, poza tym jest całkiem cicho. Żadnych odgłosów dżungli. Jakaś twarz majaczy przez chwilę w świetle księżyca, potem znika.

84.

Nowi władcy w Phnom Penh byli właściwie nieznani. Na pierwszym planie znalazło się kilka znanych za granicą nazwisk. Książę Sihanouk był oficjalnym przywódcą zwycięskiego teraz rządu na wychodźstwie, chociaż stawało się coraz bardziej oczywiste, że władza spoczywa w rękach Czerwonych Khmerów. Mówiło się, że na ich czele stoi dawny lewicowy opozycjonista, poseł do parlamentu, Khieu Samphan. Ale za Sihanoukiem i Samphanem już gęstniały cienie. Czerwoni Khmerzy ogłosili, że krajem rządzi Angkar Padevat. “Organizacja Rewolucyjna". Najczęściej nazywana tylko Organizacją. Ale czym była

owa tajemnicza Organizacja? Ruchem masowym? Jakimś organem władzy? Rządem? Luźnym zrzeszeniem lewicowych intelektualistów? Wiosną 1976 książę Sihanouk zrzekł się godności głowy państwa. Praktycznie pozbawiony był wszelkiego wpływu na rządzenie krajem. Dość tej fikcji. Zastąpił go na tym stanowisku Khieu Samphan. Zaprezentowano nowy skład rządu, w którym nie było żadnych zwolenników księcia Sihanouka. Rząd utworzyli sami Czerwoni Khmerzy, a na jego czele stanęła całkiem nieznana dotąd postać: Pol Pot. Nowego premiera przedstawiano jako robotnika z plantacji kauczuku, z przeszłością w ruchu oporu przeciwko francuskim kolonialistom. Nie było żadnych jego zdjęć. Dopiero rok później miał ujawnić swoją prawdziwą tożsamość. Wtedy przyznał także, że Organizacja oznacza Komunistyczną Partię Kambodży. Sam Pol Pot najchętniej nie wychodziłby na scenę, w światła rampy. Zarówno on, jak i partia osiągnęli swoje sukcesy, pozostając w konspiracji. W jakimś wywiadzie powiedział, że “jeśli da się utrzymać coś w tajemnicy, to już połowa zwycięstwa". Wyjście zza kulis nastąpiło z powodów makropolitycznych. Chiny, najważniejszy spośród sojuszników, wspierający zbrojną walkę Czerwonych Khmerów, od dawna już na to naciskały. Chińskie kierownictwo domagało się oficjalnego uznania swojego poparcia i wyraźnego sojusznika na Półwyspie Indochińskim. Jednocześnie stosunki Demokratycznej Kampuczy z Wietnamem coraz bardziej się zaogniały. Pol Pot potrzebował sympatii zagranicy. Nie mógł więc pozostawać niedostępny i zagadkowy.

85.

Czarno-białe zdjęcie w starym pudle z innymi fotografiami. Mężczyzna i kobieta, i ściana domu. Mają na oko koło pięćdziesiątki. W oknie za nimi stoi doniczka z kwiatem. Na odwrocie zdjęcia odręczny napis: “Ok Sakun i Ieng Thirith". Przy ich nazwiskach jeszcze: “Bandhagen 1979". Bandhagen? Ok Sakun w Sztokholmie? Spóźniłem się. Można powiedzieć.

86.

Dla większości mieszkańców Demokratycznej Kampuczy Pol Pot pozostał bezimienny. Dla nich istniała tylko Angkar, Organizacja. Wszechobecna, bacznie obserwująca. Mówiono o niej, że ma “tyle oczu co ananas".

Organizacja nie tylko zniosła religię, rodzinę i ponad tysiącletnią monarchię. Ona zajęła ich miejsce. Wszystko było własnością Organi-

zacji. Ryż i narzędzia, bydło, domy i ludzie. Ludność miejska zetknęła się z Organizacją po raz pierwszy przy ewakuacji. Kazano im wtedy zostawić cały swój dobytek, włącznie z artykułami pierwszej potrzeby, w domu. Już wam nie będą potrzebne, mówili żołnierze. Organizacja miała dać im nowe. Ale dokąd mamy iść, towarzyszu żołnierzu? Po prostu idź, towarzyszu. Organizacja cię poprowadzi. Ważny moment w odbywających się regularnie walnych zebraniach kolektywów stanowiła samokrytyka. Nie było to czymś specyficznym dla Demokratycznej Kampuczy. Publiczne wyznawanie swoich błędów i obietnica poprawy to część marksistowsko-leninowskiej metody. Rewolucja miała odmienić nie tylko społeczeństwo, lecz także umysły. Chodziło o to, aby uczyć się na własnych błędach i przy pomocy kolektywu przezwyciężać pozostałe przeszkody. Samokrytykę praktykowały także organizacje szwedzkie.

W Demokratycznej Kampuczy samokrytyka nabrała innego sensu. Organizacja wiedziała już rzekomo wszystko o każdej osobie. Przemilczanie czegokolwiek nie miało więc sensu, podkreślali obecni na zebraniach partyjni funkcjonariusze. Organizacja zna już twoje błędy i niedociągnięcia. Chce tylko potwierdzenia, że jesteś uczciwy i umiesz się przyznać.

87.

ABY PRZESTRZEGAĆ SUROWEJ ORGANIZACYJNEJ DYSCYPLINY, KONIECZNE JEST POŚWIĘCENIE: ŻADNEJ WOLNOŚCI, ŻADNEGO SAMOLUBSTWA, ŻADNEGO INDYWIDUALIZMU!

Dla funkcjonariuszy partyjnych Organizacja nie była jednak gładkim monolitem. Istniała w niej górna warstwa. “Angkar Leu" - “Górna Organizacja". Strefa zgęszczenia władzy, schronienie garstki bezimiennych postaci-cieni. Mówiło się o nich po prostu Bong ti muy, Bong ti pii - Brat Numer Jeden, Brat Numer Dwa i tak dalej.

Bratem Numer Jeden był Pol Pot. Numerem Dwa - wicepremier Nuon Chea. Lecz nie zawsze. Porządek numeryczny w Górnej Organizacji czasami się zmieniał. Nie żeby to odzwierciedlało jakieś rzeczywiste relacje w kręgach władzy, lecz dla zmylenia potencjalnych prześladowców. To był kult bezosobowości. Ilekolwiek by Pol Pot brał z Józefa Stalina, Mao Tse-tunga, Kim Ir Sena, sam jednak nie chciał być symbolem rewolucji. Pragnął dalej działać z ukrycia. Nie układano o

nim pieśni, nie opowiadano anegdot o jego długiej rewolucyjnej walce. Poza kilkoma wyjątkami nie publikowano żadnych jego zdjęć. Nie ma też żadnych ważniejszych tekstów politycznych podpisanych jego nazwiskiem. Wicepremier Nuon Chea był, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej nieuchwytny. Przez ponad dwie dekady, aż do lat siedemdziesiątych, prowadził życie szanowanego biznesmena. Za tą fasadą kryła się jedna z kluczowych postaci rewolucji, używająca swoich kontaktów do dystrybucji broni i innego sprzętu. Warstwa za warstwą barw ochronnych. Mylne tropy i pseudonimy. Skutek długich dziesięcioleci gry w ciuciubabkę z bezpieką. Najpierw przemykanie między “pewnymi adresami" w Phnom Penh. Później lata w Biurze 100, w odległej dżungli na północ od Voi Sat, już poza strefą plantacji kauczuku. Nawet jako przywódcy Demokratycznej Kampuczy Pol Pot i Nuon Chea prowadzili życie tajnych agentów.
MUSISZ NAUCZYĆ SIĘ BYĆ NIEUGIĘTY!

90.

Amerykański organ państwowy do spraw pomocy rozwojowej, USAID, analizował sytuację w Kambodży w związku z objęciem władzy przez Czerwonych Khmerów w kwietniu 1975: “Nic nie wskazuje na to, aby Kambodża mogła w tym roku osiągnąć zbiory ryżu pozwalające jej na stopniowy powrót do samowystarczalności, nawet przy najpomyślniejszych okolicznościach. Jeżeli kiedykolwiek jakiś kraj potrzebował przekuć swoje miecze na lemiesze, aby uchronić się przed głodem, to jest nim właśnie Kambodża. Bez zakrojonej na dużą skalę zagranicznej pomocy w żywności i sprzęcie krajowi grozi klęska głodu, od chwili obecnej do lutego, lecz przypuszczalnie także do końca przyszłego roku. W bieżącym roku połowę ludności kraju czeka niewolnicza praca i głód. Tak wygląda okrutna, ale nieunikniona rzeczywistość. Powszechna nędza i cierpienie będą trwać w kraju przez kolejne dwa albo trzy lata, zanim Kambodża znowu będzie w stanie produkować dostateczną ilość ryżu".

91.

Jadę na moim motorowerze do Lumphat, dawnej stolicy prowincji Ratanakiri w północno-wschodnim rogu Kambodży. Droga jest z czerwonego laterytu. Rwące potoki pory deszczowej wydrążyły głębokie kanały w każdym podjeździe i w każdym zjeździe w dół. Lepiej nadawałby się tu motor crossowy. Słońce jest bezlitosne. Czasem spotykam

jakąś dychawiczną chińską ciężarówkę z ładunkiem nielegalnie wyciętego lasu deszczowego. Ciężarówki wzbijają olbrzymie chmury kurzu. Jadę w duszącej czerwonej mgle, pokrywa mnie rdzawy pył.

Tego, co było kiedyś stolicą prowincji, już nie ma. Wielkie rondo jest zarośnięte. Wieża ciśnień podziurawiona kulami. Po obu stronach drogi ogromne, wypełnione wodą leje po bombach. To może się wydawać osobliwe, że całe miasto zniknęło. Ale nie ma w tym nic dziwnego. Starczy ładunek bomb z super-fortecy B-52. Bomby spadają z dużej wysokości i zostawiają po sobie korytarz totalnego zniszczenia. Tak zwany nalot dywanowy. Wszystko zrównane z ziemią. Jeden ładunek bomb wystarcza dla obszaru o szerokości prawie jednego kilometra i długości ponad trzech. To nie są cyfry. Lumphat, którego nie ma, jest rzeczywiste. To przeciw temu wtedy demonstrowaliśmy. Przeciwko bombom Kissingera. Tym tajnym bombom.

92.

TOWARZYSZE, MACIE WSZYSCY TE SAME PRAWA! TOWARZYSZE, NOSICIE CZARNE UBRANIA I CZARNE BUTY! ORGANIZACJA TAKŻE UBIERA SIE NA CZARNO!

93.

Nadeszli ze wszystkich stron. Phnom Penh zostało w końcu okrążone i gdy ostatni Amerykanie ewakuowali się za pomocą śmigłowców, Czerwoni Khmerzy formowali się do ostatecznego ataku. Mieszkańcy miasta próbowali, jak tylko się dało, świętować kambodżański Nowy Rok, który wypada między 15 a 17 kwietnia. Wieczorem 16 kwietnia na mroczniejącym niebie grzechotały petardy i fajerwerki, którym wtórowała palba z broni ręcznej. Niektórzy ze strachem czekali na nadchodzących zdobywców, ale większość cieszyła się, że wojna nareszcie się skończy.

Radio Czerwonych Khmerów apelowało do mieszkańców miasta: “Kochani bracia i siostry, robotnicy, studenci, nauczyciele i funkcjonariusze! Oto wybiła godzina! Ludowa kambodżańska armia wyzwoleńcza już tu jest! Bracia! Wzniećcie bunt! Nadszedł czas, aby powstać i oswobodzić Phnom Penh!". Nikt nie usłuchał tych wezwań. Ludzie świętowali swój Nowy Rok i czekali.

NIE PRACUJ NA PÓŁ GWIZDKA LUB NIEDBALE, TERAZ, KIEDY TY SAM DECYDUJESZ!

Amerykańska dziennikarka Elizabeth Becker wchodziła skład przedostatniej delegacji, której zezwolono na odwiedzenie Demokratycznej Kampuczy. Napisała później: "Płynęliśmy w górę Mekongu z Prasithem i nieodstępnym sztabem stewardów, pomocników i strażników. Do tego doszedł ktoś nowy: Ok Sakun, dobrze znany w Europie intelektualista, którego francuscy przyjaciele sądzili, że został zabity. Prasith przedstawił go nam z dumą i powiedział, że Ok Sakun musi być duchem, ponieważ prasa francuska ogłosiła, że nie żyje. Oto najlepszy przykład, mówił Prasith, z jaką propagandą ma do czynienia jego reżim.

Pech chciał, że Ok Sakun przypominał właśnie jeśli nie ducha, to szkielet. Oczy miał zapadnięte, a ciało tak chude, jakby był niedożywiony. Nie pozwolono mu rozmawiać z nami bez obecności tłumacza, zazwyczaj Prasitha. Zdawało się, że bardziej interesują go nasze kamery niż my. Uśmiechał się więcej, niż mówił. Jedyny raz, kiedy znalazłam się z nim sam na sam, już później, w trakcie podróży, mówił tylko o kwiatach, że są takie piękne i że tak bardzo może ich czasem brakować. Wtedy byłam trochę zdziwiona tą rozmową. Teraz zdaje mi się, że on ostrożnie dawał mi do zrozumienia, że wypuszczono go z jakiegoś obozu pracy". Jednak pogłoska o tym, że Ok Sakun został zlikwidowany, była stara. Okazała się nieprawdziwa już parę miesięcy wcześniej, kiedy właśnie on przyjął delegację szwedzką. Według Gunnara Bergstróma, który spotkał go parokrotnie jeszcze przed rewolucją, rozmawiali ze sobą bez tłumacza.

"Wyglądał chyba tak jak zwykle, może trochę chudszy. I to nie było tak, że mówiliśmy tylko o kwiatach, dyskutowaliśmy o polityce, a przede wszystkim o »propagandzie« przeciwko Kampuczy". Propaganda, wariant 1: "Ok Sakun jest zamordowany". Propaganda, wariant 2: "Ok Sakun żyje". Propaganda, wariant 3: "Ok Sakun to gadający o kwiatach szkielet".

96.

Nadeszli ze wszystkich stron. Młodzi, zawzięci żołnierze. Ci ze wschodu w zielonych mundurach, ci z innych stron - w czarnych. Białe flagi powiewały z budynków. Jak zwykle w kambodżańskiej polityce do surrealizmu był tylko jeden krok. Hem Keth Dara, syn ministra w rządzie Lon Nola, zapukał do Ministerstwa Informacji w towarzystwie czterdziestu żołnierzy. Podał się za generała i zdobywcę Phnom Penh.

Czerwonym Khmerom, którzy już zdążyli zająć ministerstwo, rozkazał autorytatywnie opuścić budynek. Zwołał do niego najważniejszych w mieście mnichów i przez lokalne radio ministerstwa ogłosili, że został powołany rząd koalicyjny. Słuchacze radia usłyszeli potem jakiś rumor w studiu. Później zapadła całkowita cisza i przemówił jakiś nowy, groźny głos. Głos oznajmił: “Informuję niniejszym wstrętną i zdradziecką mafię Lon Nola oraz jej dowódców, że nie przyszliśmy tu, żeby pertraktować. Zajmujemy miasto z bronią w ręku. Wzywam was do złożenia broni i do kapitulacji". Na tym transmisję przerwano. Farsa się skończyła, tragedia mogła toczyć się dalej. Z jednej z bibliotek uniwersyteckich wynoszono książki, które palono na ulicy. Obcokrajowców wezwano, aby stawili się we francuskiej ambasadzie; znalazło się tam czterech szwedzkich dziennikarzy i jeden szwedzki reprezentant Czerwonego Krzyża.

Partyzanci nie mieli pojęcia, czym jest Czerwony Krzyż ani co oznacza immunitet dyplomatyczny. Personel ambasady francuskiej musiał pokornie się przyglądać, jak przeszukują im poselstwo. Czerwony Krzyż, który przejął słynny Hotel Phnom, dawniej Le Royal, został pod groźbą przemocy wyeksmitowany. Natomiast personel sowieckiej ambasady nie chciał podporządkować się rozkazom zwykłych żołnierzy. Oczekiwano przybycia wyższych szarż, którym chciano pogratulować rewolucji. Ale to była inna rewolucja niż ta, jaką znali. Partyzanci rozwarli bramę ambasady pociskami rakietowymi i przepędzili dyplomatów do Francuzów.

Phnom Penh pogrążało się szybko w chaosie. Panował wielki zamęt, zarówno wśród ludności miasta, jak i wśród zdobywców. Apteki i domy towarowe plądrowano. Wojsko rządowe stawiało sporadycznie opór i z rozmaitych stron dobiegał terkot karabinów maszynowych. Czasem Czerwoni Khmerzy z różnych sektorów wszczynali waśnie między sobą.

W dzielnicach opanowanych przez oddziały z północnego lub południowo-zachodniego sektora ludności rozkazano opuścić miasto i “wracać do swoich rodzinnych wsi". W części okupowanej przez sektor wschodni rozkazano mieszkańcom pozostać w domach. Decyzja o wysiedleniu miasta zapadła centralnie. Lecz nie bez protestów. Minister spraw wewnętrznych Hou Youn argumentował energicznie przeciwko ewakuacji. Pol Pot zauważył z irytacją, że jeden z czołowych partyjnych intelektualistów najwyraźniej nie rozumie politycznej linii partii.

Hou Youn został osadzony w areszcie domowym i później zamordowany.

Akcję wysiedlenia trzymano w tajemnicy przed wszystkimi, którzy nie musieli o niej wiedzieć. W efekcie nawet sam minister informacji Hu Nim dowiedział się o tej decyzji dopiero w trzy dni po rozpoczęciu ewakuacji.

Ten radykalny krok motywowano na kilka sposobów. Oficjalnie utrzymywano, że chodzi o obawę przed amerykańską zemstą. Że USA chcą zbombardować miasto, które utraciły. Z perspektywy czasu zdaje się to wysoce nieprawdopodobne. Jednak dla miliona ludzi, którzy wcześniej uciekli przed amerykańskimi bombami, nie brzmiało to niewiarygodnie.

Inne wytłumaczenie, podawane później przez kierownictwo partii, jest takie, że kontrolowanie ludności miejskiej byłoby zbyt trudne. Wedle ich własnych danych, CIA umieściła w stolicy mnóstwo agentów, którzy teraz mieli prowokować zamieszki i demonstracje. Ewakuacja miasta miała więc na celu zniszczenie siatki szpiegów i kontrrewolucjonistów, CIA potwierdziła później, że ich kambodżański system wywiadowczy załamał się w związku z wysiedleniem Phnom Penh. Jako kolejne wyjaśnienie wykorzystywano sytuację aprowizacyjną. Ludność miasta była do ostatniego dnia uzależniona od amerykańskiego mostu powietrznego, którym dostarczano olbrzymie ilości ryżu. Teraz to się skończyło. Szacowano, że zapasy wystarczą najwyżej na tydzień. Skoro żywności nie dało się przetransportować do ludzi, to ludzi należało przenieść na wieś, tam gdzie była żywność. Właśnie to wyjaśnienie podchwyciło wielu sympatyków Czerwonych Khmerów na Zachodzie.

Nie tłumaczy ono jednak, dlaczego inne miasta także wysiedlono, choć dostęp do żywności wyglądał tam inaczej. Może była to raczej decyzja ideologiczna? Miasta kłóciły się z ideałami - miejska dekadencja z wiejską przyzwoitością, korupcja z uczciwością, komercja z solidarnością. To z miast prowadzono wojnę domową, to stamtąd przepędzono przywódców Czerwonych Khmerów. Niezależnie od motywów, ewakuacja Phnom Penh była źle zorganizowana. Koordynacja szwankowała i drogi wyjazdowe z miasta kompletnie się zakorkowały. Czasem zdarzało się, że ludzie po trzech dobach nie przeszli więcej jak kilkaset metrów od swych domów.

Niektóre szpitale opróżniano pod groźbą użycia broni. Pacjentów zmuszano, by próbowali w miarę sił iść za innymi. Tych, którzy odma-

wiali lub nie dawali rady, rozstrzeliwano. Szpitale w Phnom Penh były groteskowo przepełnione. W oblężonych przez muchy, dusznych salach tłoczyło się dziesięć razy więcej pacjentów niż znajdowało się tam miejsc. Często z powikłanymi ranami wojennymi. Brakowało wszystkiego, a wielu lekarzy uciekło z kraju. Na prowincji natomiast, jak mówiono, szpitale stały prawie puste. Tam właśnie mieli trafić pacjenci z miasta. Pewien szwedzki lekarz odwiedził szpital Czerwonego Krzyża w Phnom Penh tuż przed ewakuacją. Kiedy go spotykam, potwierdza, że sytuacja w mieście wyglądała tragicznie. Ale opowieść, że gdzieś indziej miałoby być lepiej, to według niego mit. Wzdłuż większości dróg brakowało wody, żywności i miejsc noclegowych. Niczego nie przygotowano. A z drugiej strony, te “rodzinne wsie" do których ludzi wysyłano, też nie były gotowe na przyjęcie dużej liczby uchodźców. Setki tysięcy ludzi mieszkały w Phnom Penh od pokoleń i nie miały na wsi nikogo, do kogo mogłyby pójść. Mieszkańców miast nazywano “nowymi ludźmi" albo “ludźmi 17 kwietnia", od daty rewolucji. Przeciwstawiano ich mieszkańcom wsi, których uważano za niezepsutych, bardziej rdzennych Khmerów. Mimo że spora część ewakuowanych zbiegła ze wsi do miasta ledwie rok albo parę lat temu. Całkowite opróżnienie stolicy zajęło kilka tygodni. Wśród ostatnich, którzy opuszczali Phnom Penh, znaleźli się obcokrajowcy internowani we francuskiej ambasadzie. Załadowano ich na ciężarówki i w dwóch kolumnach odesłano do tajskiej granicy. Ostatni konwój z cudzoziemcami dotarł do granicy 7 maja. Tym samym kraj został zamknięty dla obserwatorów z zewnątrz. Teraz pozostawały tylko świadectwa pojedynczych zbiegów i spekulacje.

97.

[Jak migotanie białe]

W niczym nie przypomina to wkroczenia zdobywcy. Dwanaście lat minęło, odkąd Saloth Sar uciekł z Phnom Penh pod osłoną nocy. Powrót Pol Pota jest równie dyskretny. Stolica pozostaje w rękach Czerwonych Khmerów od trzech dni. Ewakuacja trwa i główne drogi są zakorkowane ludźmi. Czy to dlatego, żeby się nie eksponować, mała karawana jeepów i opancerzonych pojazdów wjeżdża do miasta bocznymi drogami? Czy raczej ze względów praktycznych, bo główne drogi są zapchane tłumami?

W tym ludzkim potoku znajduje się czworo rodzeństwa Pol Pota. Zmierzają teraz w stronę swojej rodzinnej wioski, sto pięćdziesiąt kilo-

metrów na północ. Jednym z nich jest jego starszy brat Saloth Chhay.

Chhay. Trzy lata starszy. Ukochany brat, idol. Ale Pol Pot porusza się w przeciwną stronę. W karawanie jest większość przywódców sektorów i dowódców wojskowych. Siedzą tam także Khieu Samphan, Nuon Chea i Son Sen. Skręcają przy lotnisku w to, co obecnie nosi nazwę Bulwaru Rosyjskiego, czyli najkrótszą drogę do dworca kolejowego. Tam, rzut kamieniem od domu, gdzie piętnaście lat wcześniej odbył się pierwszy zjazd partii, powstaje kwatera główna. Budynek stacji, wysoki i surowy, w kolorze ochry, wzniesiony za czasów francuskich. Przed nim podłużny park i niewielki monument, zawierający jakąś relikwię Buddy.

Przyjazd odbywa się bez żadnych ceremonii. Żadnego wymachiwania flagami, żadnych zwycięskich mów. Ponad dwudziestoletnia walka dobiegła kresu, osiągając swój cel. A w odległości ledwie kilkudziesięciu kilometrów starszy brat Chhay brnie dalej na północ, coraz bardziej wycieńczony. Pozostało mu teraz tylko parę godzin życia. Potem upadnie na ziemię i umrze pod rozjarzonym, palącym słońcem.

98.

TOWARZYSZU, BYŁEŚ DOTĄD PRZYZWYCZAJONY DO WYGODNEGO I ŁATWEGO ŻYCIA!

99.

Szwedzi widzieli kraj, który podnosił się z ruin. Ciężko fizycznie pracujących ludzi, tak jak we wszystkich państwach Trzeciego Świata. Widzieli place budowy i ryż pakowany na eksport. Pokazywano im, rzecz jasna, to, co rząd chciał, żeby zobaczyli. A w krajach niedemokratycznych aranżowanie takich wizyt to raczej norma niż wyjątek. Niezależne na pozór relacje z podróży to dobra propaganda. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Dziwi tylko to, że Czerwonym Khmerom udało się utrzymać tę fasadę przez całe dwa tygodnie. Infrastruktura kraju przed 1970 była stosunkowo nieźle rozwinięta. Później spadły amerykańskie bomby i czołgi wojny domowej miażdżyły kilometr za kilometrem asfaltu. Wysadzano mosty. Jeszcze dziś trzeba godzinami trząść się na wybojach, by dotrzeć do terenów kiedyś łatwo dostępnych. Potem rewolucja, z olbrzymią, źle zorganizowaną migracją ludności. Z klęską głodu, nagminnym zabijaniem i niesprawną komunikacją. W 1978, kilka miesięcy przed przyjazdem Szwedów, czystki się nasiliły.

Władza centralna rzuciła się na sektor wschodni. Setki tysięcy ludzi deportowano do innych rejonów kraju, wiele tysięcy zamordowano.

Demokratyczna Kampucza to nie był Związek Radziecki. To nie były Chiny. Nawet nie Albania. Jakim cudem udało im się w tym chaosie stworzyć iluzję dobrobytu i sukcesu? Tam, gdzie nawet wysocy partyjni bonzowie codziennie drżeli o swoje życie? Szwedzi musieli się też liczyć z bardzo krytycznym nastawieniem własnej opinii publicznej. Relacje uchodźców zyskały duży rezonans w mass mediach. Demokratyczną Kampuczę opisywano jako komunistyczny obóz pracy. Tę wyprawę Towarzystwa Przyjaźni już z góry dyskredytowano jako propagandowy show dla tych, którzy i tak wiedzieli swoje. Hedda Ekerwald zapisała przed odjazdem w swoim dzienniku: "Prasa przedstawia Kampuczę jako kraj, gdzie rząd popełnia ludobójstwo na własnym narodzie, kraj, w którym nie ma miejsca na prawa człowieka. Jakiś obcy kraj pełen okrucieństwa. Czy to jest dobry pomysł jechać do takiego kraju?

Czy to nie tak jak Fredrik Book, jeżdżący sobie mercedesem jako gość nazistowskich Niemiec? Czy Sven Stolpe albo Sven Hedin, którzy bywali tam i podziwiali porządek, czystość i postępy gospodarcze? [...] Boję się, że to może być to samo, że kiedyś to zrozumiem i będę przeklinać swoją współwinę". A w raporcie z podróży, już potem: "Czy ludzie byli przerażeni, wylęknieni albo wrogo nastawieni, gdy nadjeżdżaliśmy rządowym samochodem? Nie, dzieci śmiało krzyczały za nami »Długie nosy« i wszędzie nas dobrze przyjmowano. Żadnego komenderowania ludźmi ze strony naszych gospodarzy, tylko uprzejme traktowanie, jak równy z równym, żadnych wojskowych manier, prężenia się na baczność czy salutowania, tylko swoboda. Mogliśmy zatrzymywać samochód, którym jeździliśmy, gdzie tylko żeśmy chcieli, fotografować i filmować, cośmy chcieli i sami wybierać, z kim chcemy rozmawiać".

100.

[We śnie]

Znajduję się na piętrze w starej willi moich rodziców. Wąskie schody prowadzą na parter. Przez małe okienko widzę wyłożoną granitową kostką ścieżkę na parking. Stoi tam mój czerwony wóz, a żwirową drogą, pod brzozami w letniej zieleni, nadchodzi grupa Czerwonych Khmerów. Są ubrani na czarno i niscy, i broń automatyczna, którą niosą, wydaje się za duża. Przystają koło auta, przysłaniają oczy dłońmi i

zaglądają do środka, patrzą na puste siedzenia. Ich usta poruszają się, lecz nic nie słyszę. Gesty, jakieś komendy. Za parę minut zaczną przeszukiwać dom. A stąd jest tylko jedno wyjście. Schodami w dół, potem przez drzwi i prosto na tę grupę młodych ludzi.
101.

Chen Yonggui, wicepremier Chin, odwiedził Demokratyczną Kampuczę pod koniec 1977. Ideologicznie bliski Pol Potowi. Po objechaniu kraju zapewnił swego gospodarza, że strategia Czerwonych Khmerów jest “całkowicie poprawna". Ta jego podróż została dobrze przygotowana i nawet tak zwane spontaniczne wizyty aranżowane były w odpowiednich miejscach. Sekretarz partii sektora zachodniego, Chou Chet, odpowiadał za inspekcję pewnej plantacji ryżu w Kompong Chhnang. Chou Chet to prawdziwy weteran, już w latach pięćdziesiątych wstąpił do Komunistycznej Partii Indochin. Aresztowany za poglądy, zszedł później do podziemia i uczestniczył w walce zbrojnej. Gdy książę Sihanouk opublikował swoją listę wrogów - radykalnych lewicowców, tylko dwaj ludzie, on i Saloth Sar, wybrali dżunglę zamiast zameldować się u władz.

Tymczasem w 1976 wielu z jego najbliższych kolegów i dawnych towarzyszy aresztowano i stracono. Z rosnącym przerażeniem oczekiwał na swoją kolej. Lecz nic się nie stało. Ta eminentna wizyta to było jednak za wiele na jego stargane nerwy. Gdy nadjechała kawalkada aut z Pol Potem i jego gościem, stała już tyraliera dobrze odżywionych chłopów, gotowa “iść do ataku" na pola ryżowe. Ale Chou Chet, zamiast dać sygnał do rozpoczęcia całego tego przedstawienia, przepchał się do samego Chena, ignorując Pol Pota i innych partyjnych dygnitarzy. Na oczach zdumionych członków delegacji zwrócił się bezpośrednio do dostojnego gościa, zadając mu nerwowo służalcze pytania na temat metod uprawy.

Wręcz niewyobrażalna gafa. Pol Pot podobno pokrył tę niezręczność śmiechem. Kilka miesięcy po wizycie Chou Chet został aresztowany i wysłany do więzienia służby bezpieczeństwa, S-21, gdzie go poddano torturom i zabito. Zagraniczna wizyta, przygotowana w najdrobniejszych szczegółach. I przykład na to, jak niełatwo wyreżyserować społeczeństwo, w którym się roi od nieobliczalnych czynników ludzkich o słabych nerwach.

102.

TAK! TAK! NIE ZOSTAWIAJCIE ANI SKRAWKA ZIEMI ODŁOGIEM, ANI PIĘDZI!

103.

Dwa miesiące po Szwedach, w październiku 1978, Demokratyczną Kampuczę odwiedziła delegacja Norweskiej Partii Komunistycznej. Pal Steigan pisze niespełna dwadzieścia pięć lat później: “Są tacy, którzy uważają, że jechaliśmy przez tysiąc kilometrów potiomkinowskiej wsi. Ich prawo tak myśleć. Ale co w żadnym razie nie da się zainscenizować, to koleżeńskie i niewymuszone formy obcowania z wszystkimi spotkanymi ludźmi, w tym z przedstawicielami państwa i partii. Ludzie, którzy czuliby się zniewoleni, nie mieliby odwagi zachowywać się w ten sposób. Żadna władza na świecie nie zdołałby ich do tego zmusić".

“Trzydziestu żołnierzy rządowych zabitych w zasadzce". Czytam dalej pod tym nagłówkiem: Komunistyczna partyzantka napadła w sobotę na wojskowy konwój pod stolicą. Trzydziestu zabitych i co najmniej drugie tyle rannych. Ilu zginęło partyzantów, nie wiadomo. Przede mną Bulwar Sihanouka tonie w miodowo złotym świetle popołudnia. Powoli gęstnieje ruch uliczny i zmierzch. Przerzucam dalej mój “Cambodge Soir".

Król wzywa do podjęcia nowej ofensywy przeciw maoistom. Ta napaść nie może pozostać niepomszczona. Jakiś ekspert stwierdza, że sytuacja w Nepalu jest poważna. Przez krótki moment czuję zawrót głowy. Czy siedzę w Katmandu, czytając o Phnom Penh, czy też w Phnom Penh, czytając o Katmandu? To samo pobieżne przeglądanie artykułu o jakimś niezrozumiałym konflikcie w jakimś dalekim kraju. Złotożółte światło, terkot motorowerów.

105.

KOLEKTYW DECYDUJE, JEDNOSTKA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

106.

[Jak migotanie białe]

Popołudniowe światło nad Pekinem. Spokojna gładź wody w basenie. Stary i schorowany Mao Tse-tung w wygodnym fotelu. Pol Pot, którego przyjął w swoim prywatnym mieszkaniu, siedzi koło niego.

Kambodżańska rewolucja zwyciężyła i Pol Pot jest w Pekinie mile widzianym gościem. Przybył tam w tajemnicy, jakżeby inaczej?

Przyjechał, by omówić kwestię pomocy. Ze strony najludniejszego na świecie kraju komunistycznego dla jednego z najmniejszych.

Małego kraju z wielką, jak się ocenia, rewolucją. Ich rozmowa jest zapisywana. Mao Tse-tunga ledwo słychać, ale jego intelekt zdaje się nienaruszony. Odwołuje się między innymi do Kanta i Huxleya i mówi: "Macie olbrzymie doświadczenie. Większe od naszego. Nie mamy prawa was krytykować". Ciągnie dalej: "Macie po prostu rację. Popełniliście jakieś błędy czy nie? Nie wiem. Oczywiście, że popełniliście. Więc je naprawcie, musicie je skorygować". Jak reaguje Pol Pot? Uśmiecha się, słysząc pochwałę z ust największego żyjącego wówczas rewolucjonisty świata? Szepczący głos Mao Tse-tunga: "Droga wymaga wyrzeczeń".

Cisza. Ciepłe czerwcowe popołudnie. Tłumacz przekłada półgłosem:
"Tu sytuacja jest dokładnie taka, jak ją przewidział Lenin - kapitalizm bez kapitalistów". Mówi: "Płace nie są równe. Mamy hasła mówiące o równości - ale samej równości nie mamy. Ile lat minie, zanim to zmienimy? Kiedy zbudujemy społeczeństwo komunistyczne? Nawet przy komunizmie dalej się będzie toczyć walka między tym, co rozwinięte, a tym, co niedorozwinięte. A więc to nie jest oczywiste". Te wszystkie lata chińskiej walki, gruntowna przebudowa społeczeństwa w jednym z największych krajów świata, rzecz bez precedensu. Wielki skok. Rewolucja kulturalna. A teraz? Wątpliwości? "A więc to nie jest oczywiste". Co on o tym pomyślał, Pol Pot?

Nazywanie Czerwonych Khmerów Czerwonymi Khmerami nie jest do końca prawidłowe. Khmer Krahom albo Khmer Rouge to określenie księcia Sihanouka. Jeszcze jedna barwa w jego kolorowym świecie. Konserwatystów nazywano Khmer Khieu, Niebiescy Khmerzy. A Khmer Sor, Biali Khmerzy, walczyli o to, by wietnamską część delty Mekongu, Kampuczę Krom, włączyć z powrotem do Kambodży. Poza tym było jeszcze parę rodzajów Khmerów. Niepodlegli Khmerzy, Khmer Issarak, którzy w latach pięćdziesiątych walczyli z kolonialną Francją. Wyzwoleńczy Khmerzy, Khmer Rumdo, walczący ramię w ramię z Czerwonymi Khmerami przeciwko armii rządowej Lon Nola. Khmer Serei, tak zwani Wolni Khmerzy, z początku przeciwnicy Czerwonych Khmerów, później walczący razem z nimi przeciw Wiet-

namczykom.

Sami Czerwoni Khmerzy woleli, by nazywano ich Komunistyczną Partią Kampuczy. Jednak przyjęło się określenie księcia Sihanouka. Dziś używają go nawet byli funkcjonariusze partii. Partia powstała na początku lat pięćdziesiątych, ale w roku 1976 Pol Pot oznajmił nagle, że data narodzin partii jest fałszywa. Właściwą datą według niego jest rok 1960. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki partia odmłodniała o dziewięć lat. Przygotowania do obchodów dwudziestopięciolecia musiano dyskretnie przerwać. Pol Pot miał swoje powody, by tak brutalnie ingerować w przeszłość. Rok 1960 oznacza moment, kiedy wybrano go do ścisłych władz partii. Oznacza także początek końca wietnamskiego wpływu na kambodżańskich komunistów. Początkowo Kambodżanie wchodzili w skład Komunistycznej Partii Indochin Ho Chi Minha. Według Pol Pota ten międzynarodowy szyld służył tylko na pokaz. Tajnym celem Wietnamu było stworzenie czegoś w rodzaju indochińskiego Związku Radzieckiego, rządzonego z Hanoi. Wyzwolenie z braterskich objęć Wietnamczyków Pol Pot uważał za krok w kierunku narodowej autonomii.

Ta nowa data sprawiała, że rewolucja zdawała się własnym dokonaniem Czerwonych Khmerów. Długiego uzależnienia od Wietnamu Północnego można się było teraz wyprzeć. Niektórzy starsi komuniści protestowali. W latach pięćdziesiątych walczyli w dżungli na śmierć i życie w imię rewolucji, podczas gdy Pol Pot i jego najbliżsi koledzy przesiadywali w paryskich kafejkach. Zaprzeczanie istnieniu partii w tym pierwszym dziesięcioleciu znaczyło także negowanie ich walki. Protestujących weteranów aresztowano i wysłano do więzienia bezpieki, S-21. Pod wpływem tortur przyznali w końcu, że partia powstała w roku 1960. Potem stracono ich jako wietnamskich infiltratorów.

Sporo z polityki Czerwonych Khmerów da się zrozumieć tylko w historycznym kambodżańskim kontekście. Pol Pot był przede wszystkim Kambodżaninem, dopiero potem komunistą. Nabrzmiałe konfliktami stosunki z Wietnamem są tego wyraźnym przykładem. Internacjonalizm, by nie powiedzieć antynacjonalizm, to jeden z tradycyjnych kamieni węgielnych komunizmu. Proletariat jest międzynarodowy, a więc interesy klasowe nie znają żadnych narodowych granic. Jak napisano w manifeście komunistycznym: “Robotnicy nie mają ojczyzny" Mao Tse-tung podkreślał jednak rolę narodowej niezależności. To

przemawiało do Czerwonych Khmerów. Przez dziesiątki lat kambodżańscy przywódcy akcentowali specyfikę swojego kraju. Obce wpływy od wieków były uważane za podstawowe zagrożenie Kambodży jako narodu. A zatem tytuł Międzynarodówki we własnym przekładzie Pol Pota brzmiał “Społeczeństwo przyszłości”. Zdecydowana większość Kambodżan autentycznie bała się zewnętrznego zagrożenia. Kiedy Pol Pot przedstawiał Wietnam jako głównego wroga, wykorzystywał zadawnione lęki. Od upadku Angkoru na początku XV wieku terytorium Kambodży stale się zmniejszało. Została tylko jedna trzecia dawnego królestwa. To, co dawniej należało do Kambodży, nosiło teraz nazwy Laos, Tajlandia i Wietnam. I nic nie wskazywało na to, by ta tendencja miała ulec zahamowaniu. Wręcz przeciwnie. Wątek obawy o przetrwanie nacji i tęsknota za straconymi obszarami przewija się w programach politycznych przywódców Kambodży od połowy XIX wieku. Ten niepokój przybrał na sile, gdy Kambodża stała się częścią francuskich Indochin. Ówcześni Francuzi byli dziećmi swoich czasów. Widzieli świat jako ciągłą walkę, ewolucja miała zostawić w tyle gorzej przystosowanych. To dotyczyło zwierząt, ludzi i narodów. Khmerzy stworzyli może kiedyś świetną cywilizację, ale teraz, zdaniem Francuzów, skazani byli na upadek i zagładę. Ten punkt widzenia przejęła ochoczo młoda kambodżańska inteligencja. Na gruncie kompleksów niższości wyrosła mieszanka narodowego fatalizmu z rewanżyzmem. Na początku XIX wieku Wietnam okupował Kambodżę. Wśród Khmerów pamięć tych brutalnych rządów była wciąż żywa. Dlatego zło zawsze czyhało na wschodzie, a rodzice straszyli nieposłuszne dzieci “yuonem", jak pogardliwie nazywa się Wietnamczyków. Powszechnie znana jest pewna opowieść z tamtych czasów. Według niej wietnamscy żołnierze zakopali kiedyś trzech kambodżańskich jeńców w pozycji stojącej. Tylko głowy zostały nad ziemią. Jeńcy stali tuż obok siebie, tak że ich głowy tworzyły niewielki trójkąt. Opowieść mówi, że później wietnamscy żołdacy rozpalili pomiędzy nimi ogień i ustawili sagan z herbatą na ich czaszkach. Kiedy jeńcy szarpali się z bólu, żołdacy krzyczeli do nich: “Nie rozlewajcie pańskiej herbaty!". W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, podczas walk toczonych u boku Wietnamczyków, Pol Pot stwierdził, że jego podejrzenia były słuszne. Wietnamscy towarzysze robili dla Czerwonych Khmerów bardzo mało, jeżeli nie służyło to ich własnym interesom.

W 1978 Pol Pot polecił zebrać swoje myśli o Wietnamie w tomie

“Czarna księga wietnamskiej agresji”. Pisze tam, że to bez znaczenia, czy Wietnam jest komunistyczny, kapitalistyczny, czy też jest kolonią. Ten kraj zawsze będzie zaborczy i agresywny. “Wietnamczyk" zawsze jest ekspansjonistą, pragnącym “połknąć terytoria krajów ościennych". A zatem konflikt między Wietnamem i Kambodżą przebiega w poprzek podziałów ideologicznych, sięgając głębokiej przeszłości. To było trudne do pojęcia dla komunistów za granicą. Oni widzieli tylko dwa bratnie narody, które należy wspierać w ich walce z imperialistycznym uciskiem. Teraz ci bracia zwrócili się przeciwko sobie. Dla pro-wietnamskich ruchów na Zachodzie ten konflikt oznaczał krach złudzeń. Wietnam był symbolem walki małych narodów uciskanych przez mocarstwa. W chwili inwazji na Kambodżę, w 1978, zamienił się w ciemiężyciela. Natomiast maoiści na całym świecie uważali, że Wietnam obnażył w ten sposób swoją prawdziwą twarz. Związany blisko Związkiem Radzieckim, reprezentował komunizm “rewizjonistyczny", będący tylko przykrywką dla “socjalistycznego imperializmu".

Dlatego dalsze wsparcie dla Pol Pota oznaczało pomoc dla gnębionego ludu walczącego w obronie niepodległości. Można odnaleźć zarówno historyczne, jak i makropolityczne przyczyny wietnamskiej inwazji. Historycznie rzecz biorąc, Azja Południowo-Wschodnia zawsze była zdominowana przez Chiny. Wietnamczycy przez całe wieki walczyli o niezależność. Dlatego też nie mieli złudzeń co do prawdziwych intencji Chińczyków. Stosunki między Wietnamem a Kambodżą można widzieć jako miniaturę tych między Chinami a Wietnamem: z jednej strony ekspansywne mocarstwo, z drugiej - mniejszy i podejrzliwy sąsiad. Komunistycznym przywódcom w Hanoi nie podobał się rozwój wydarzeń w Demokratycznej Kampuczy. Za nic nie chcieli mieć u swego boku, na zachodzie, państewka podległego Chinom. Chiny z kolei niechętnie widziały na południu Wielki Wietnam. Po wietnamskiej inwazji w 1978 roku wiosną 1979 doszło do wielkiej chińskiej ofensywy na północny Wietnam. Mówiąc prościej: chińska babka za wietnamskiego dziadka, wietnamski dziadek za kambodżańską rzepkę. Wietnamski najazd był też próbą uśmierzenia wewnętrznych niepokojów w Wietnamie. Przestawienie kraju ze stanu wojny na cywilną planową gospodarkę niezbyt się powiodło. Wcześniejsza hojna pomoc międzynarodowa nie zamieniła się w inwestycje i twardą walutę. Niewielka wojna miała odwrócić uwagę od gospodarczych niepowodzeń.

Wietnamskie kierownictwo czuło się też zmuszone zrobić coś w sprawie coraz gwałtowniejszych kambodżańskich ataków w strefie przygranicznej.

Później jednak inwazję chętnie przedstawiano jako reakcję na zabijanie w Demokratycznej Kampuczy. Że Wietnam wkroczył i powstrzymał to “samoludobójstwo". Dla większości Kambodżan motywy Wietnamu w grudniu 1978 nie były szczególnie ważne. Witali Wietnamczyków jak zbawienie. Przynajmniej z początku. Potem przyszła brutalna momentami okupacja, z systematycznym plądrowaniem magazynów ryżu i miast, które od ewakuacji stały nietknięte. W kierunku Wietnamu zmierzały ciężarówki pełne żywności, mebli i maszyn. A butne i wyniosłe zachowanie okupanta przypomniało Kambodżanom opowieść o “pańskiej herbacie".

ABSOLUTNIE WSZYSTKO NALEŻY DO ORGANIZACJI!

Fale toczą się ciężko w ciemności. Spienione grzywy połyskują słabo od lucyferyny. Przy niewidocznej teraz linii horyzontu leżą łodzie rybackie ze swoimi lampami. Jak świecące perły na niewidzialnej nitce. To, co niedawno było niemal dziewiczą plażą, teraz jest celem turystycznym. Rzadko rozsiane drewniane szopy zamieniono na betonowe hotele. Szeregi krzeseł plażowych stoją w piasku, błyskają lampy, dudni muzyka. Bezdomne i umorusane dzieci sprzedają turystom owoce i siebie.

Nieco dalej świeci biały Independence Hotel. Jeden z najbardziej luksusowych hoteli w latach sześćdziesiątych. Po rewolucji stał i niszczał, zostawiony sam sobie. Kilka lat temu przeszedłem się po jego długich, pustych korytarzach. Fascynujący był cudowny widok z ogołoconych pokojów, specjalnie zaprojektowane do czarnych kafelków jasnoniebieskie wanny, pusty szyb windy, która dawno temu utknęła na parterze. Obecnie hotel jest remontowany. Kambodża jeszcze raz się przeistacza. Leżę na łóżku w moim tanim hotelowym pokoju, rzut kamieniem od plaży. Morze szumi cicho. Przy świetle jarzeniówki czytam dziennik podróży Heddy Ekerwald z 20 sierpnia 1978: “Siedziałam przy brzegu i gapiłam się na morze, załamujące się fale, grzebień piany rozciągający się błyskawicznie na boki. W porcie świeciły reflektory, a za chmurami księżyc. Ale grzebienie fal i tak by było widać. Ślicznie. Lothar wrócił z krabem, a potem polowaliśmy, biegając z latarkami, aż cały ręcznik wypełniliśmy rakami pustelnikami i krabami. Świetna za-

bawa. Śmiejąc się, szliśmy do domu przez noc, odgłosy żab, świerszczy i inne ciekawe dźwięki, wilgotny, przyjemny zapach".

110.

[Jak migotanie białe]

Czyta ten raport, siedząc u siebie za biurkiem? Arkusze zapisane pismem maszynowym, w zwykłej teczce. Czy osobiście spotyka się ze szwagierką, Ieng Thirith, ministrem spraw socjalnych? Uśmiecha się sympatycznie, lecz z zadumą, gdy ona, z pewnym oburzeniem, mówi mu o tym, co widziała? Jest jesień 1977, a ona właśnie wróciła z podróży po północno-zachodnich regionach kraju. Najżyźniejsze tereny, które nie produkują takich ilości ryżu, jakich się od nich oczekuje. Mimo że setki tysięcy ludzi wysłano tam w charakterze siły roboczej. Co jest nie tak? Opisuje panujące tam warunki jako “bardzo dziwaczne".

Mówi, że ludzie nie mają tam dachu nad głową. Że wszyscy są bardzo chorzy. A mimo to lokalni bonzowie partyjni zmuszają tych bezdomnych, schorowanych ludzi do ciężkiej pracy. Mówi, że to na pozór jest zgodne z linią partii, ale w praktyce powoduje odwrotne skutki. On pyta, jaki z tego wyciągnęła wniosek. Ona: że to wszystko, ta katastrofa, musi być dziełem kontrrewolucjonistów. Pol Pot za swoim biurkiem. Bez wyrazu. Nie obojętny, raczej... kontemplujący. Jak stary, mądry buddyjski mnich. Taki, co słucha uważnie, zadaje ciche pytania, lecz nie podejmuje pośpiesznych decyzji. Jakiś miesiąc później będzie prowadził jedno z plenów komitetu centralnego. Powie, że skryci wrogowie pozbawiają ludzi żywności. Że wypaczają wydane dyrektywy i zmuszają ludzi do pracy, czy są zdrowi, czy chorzy. To będzie hasło do czystek w sektorze północno-zachodnim. W ciągu jednego roku 70 procent lokalnych przywódców zostanie straconych. Czy wierzy sam w to, co mówi przed komitetem centralnym?

111.

“Ok Sakun mieszka w Paryżu". Youk Chhang jest pewien tego, co mówi.

Youk Chhang jest szefem DC-CAM, organizacji gromadzącej wszelkie możliwe informacje o Demokratycznej Kampuczy. W Paryżu. Szukam więc w niewłaściwym kraju. A Sok Rim? Youk Chhang ogląda moje zdjęcia, po czym kręci głową. Nazwisko też mu nic nie mówi. Dzwoni do paru miejsc i każe mi zaczekać. Jego koledzy sprawdzą to w

archiwach.

Po chwili zjawia się jeden z archiwistów, niosąc teczkę. Youk Chhang przerzuca pierwsze strony, “Nie żyje. Aresztowano go w 1978 i zabrano do S-21". Pokazuje mi formularz z nazwiskiem Sok Rima, datą jego aresztowania i śmierci. Sprawa zdaje się jasna. Ale ta data aresztowania. Maj 1978. To niemożliwe. To jest parę miesięcy przedtem, zanim oprowadzał Szwedów. Data śmierci jest wprawdzie późniejsza, wrzesień, ale to nieprawdopodobne, że go aresztowali, wypuścili i natychmiast powierzyli mu delikatną misję: opiekę nad zagraniczną delegacją.

Ślad, który urywa się nad otchłanią, ale mylny ślad. Jeszcze raz tamta droga. Jeszcze raz ta zielona bramka. Bzy już dawno przekwitły. Przyroda późnoletnia, opuchnięta. W powietrzu czuć jesień. Hedda Ekerwald częstuje sokiem w wieczornym słońcu. Siedzimy przed jednym z rozsypujących się budynków należących do zagrody. Jak długo tu stoją? Sto lat? Dwieście? Bielizna suszy się na sznurze. To nie ma być żaden wywiad. To jeszcze jedna rozmowa. Mówimy o wczesnych latach. Trochę o drodze z komunistycznej młodzieżówki do FNL. O wizycie w Paryżu w 1973, gdzie poznała kambodżańskich komunistów. Jak ją ujęła ich życzliwość i naturalne równouprawnienie. To, że kobiety i mężczyźni zdawali się równi. I że sprawiali wrażenie bardziej otwartych niż niektórzy wietnamscy rewolucjoniści. O tym jak w 1977 angażuje się niemal bez reszty w sprawę Demokratycznej Kampuczy. Mówimy o walce. O popieraniu walki ludu przeciwko imperializmowi. Że ważne było zakończenie wojny USA. Że to dopiero później stało się niesłuszne. Mniej więcej tak, mówi mi, jakby zwolennik energii jądrowej miał się określić w sprawie katastrofy w Czarnobylu. Mówimy o przemocy. O przemocy aktywnej i tej strukturalnej. Jak wielu ludzi ginie w rewolucjach, a jak wielu umiera z głodu w panującym światowym porządku. Ona pyta, dlaczego tak skrzętnie rejestruje się tych pierwszych, a tych drugich nie? I jak wielu właściwie zabito w Demokratycznej Kampuczy? Zbyt wielu. Przeraźliwie wielu. Ale naprawdę aż tak wielu? Senne słońce późnego lata i soczysta, złota barwa soku. Jeden świat i drugi. Przed sąsiednią bramą stoją dwaj mnisi. Poranne słońce jeszcze nie przypieka i ich cienie tarzają się w kurzu. Mnisi są boso i udrapowani w pomarańczowe szaty. Chodzenie boso jest najwyższą oznaką ubóstwa.

Mówi się, że jeżeli jesteś boso w Kambodży, wystarczy jeśli spoj-

rzysz prosto w oczy pierwszej spotkanej osobie. On czy ona powinna wtedy dać ci swoje buty. Obaj mnisi mają przeciwsłoneczne parasole. Jeden cytrynowo-żółty, drugi wyblakły, w jakimś beżowym odcieniu. Przed nimi, w kucki, siedzi moja sąsiadka staruszka. Modli się u ich stóp. Mnisi, na oko dwudziestolatkowie, wyglądają na lekko znudzonych. Błądzą dokoła spojrzeniami. Po otrzymaniu ich błogosławieństwa kobieta włoży jedzenie do ich błyszczących srebrem, cylindrycznych naczyń. “Pasożyty", mówili o nich Czerwoni Khmerzy. “Tacy, co włóczą się po wsiach i żebrzą o jedzenie, bo im się robić nie chce".

20 maja 1975 obchodziłem swoje trzecie urodziny. Nic nie pamiętam z tego dnia. Nie zachowały się żadne fotografie, nikt inny też nic nie pamięta. Lecz można sobie wyobrazić dziecięce urodziny w szeregowcu, skromny tort z trzema świeczkami, moich rodziców i parę zapakowanych prezentów. W tej samej chwili kiedy niecierpliwie zrywałem z nich papier, w Phnom Penh odbywał się wielki zjazd. Wezwano przedstawicieli wszelkich władz, cywilnych i wojskowych. Zjechali się z całego kraju, żeby usłyszeć, jak Pol Pot przedstawia osiem punktów: po pierwsze, ewakuować miasta. Po drugie, zamknąć wszystkie targowiska. Po trzecie, zlikwidować starą walutę, ale zaczekać z wprowadzeniem nowej, rewolucyjnej. Po czwarte, zamknąć pagody i zapędzić mnichów do pracy. Po piąte, skazać na śmierć wszystkich ludzi starego reżimu, w pierwszym rzędzie przywódców. Po szóste, urządzić kooperatywy ze zbiorowymi stołówkami. Po siódme, wydalić z kraju wszystkich Wietnamczyków. Ostatni punkt: wysłać żołnierzy na granice, zwłaszcza na wietnamską.

Przerywam na chwilę pisanie. Do tych dwóch mnichów przed sąsiednią bramą doszedł teraz trzeci. Przez kilka minut recytują monotonnie swoje błogosławieństwo. Sąsiadka przyjmuje je z pochyloną głową. Wielu młodych mężczyzn w Kambodży w którymś momencie życia goli głowę i wstępuje do pagody. Pagody to coś w rodzaju uniwerku dla ubogich. Mnisią praktykę traktuje się jako wykształcenie i rytuał inicjacji, choć ci mężczyźni spędzają czasem w pagodzie tylko kilka tygodni. Wielu Czerwonych Khmerów było więc kiedyś mnichami. Czasem to ich jedyne formalne wykształcenie; mieli zatem pełne zrozumienie dla rygorystycznej buddyjskiej dyscypliny. I dla ascetyzmu. Dla wyrzeczenia się wszelkiej prywatnej własności i podporządkowania się starszym, bardziej oświeconym mnichom. Dla negowania prywatnych zachcianek.

Dla poświęcenia indywidualności na rzecz szerszej idei. Można odnaleźć wyraźne analogie między kambodżańskim buddyzmem a kambodżańskim komunizmem. Organizacja pod wieloma względami zajęła miejsce Buddy.

Cztery miesiące po wystąpieniu Pol Pota na zjeździe, w pewnym dokumencie z 22 września 1975 stwierdza się, że “90-95 procent mnichów zniknęło". Ci, którzy pozostali, nie będą nastręczać żadnych problemów, pisze autor raportu. Około trzech tysięcy istniejących w kraju pagód zamieniono na magazyny i więzienia. Centralnym punktem lokalnych społeczności była już nie pagoda, lecz wspólna stołówka. Ale na tym nie koniec. W Kambodży ludzie dzielą świat z duchami. Domy i miejsca mają swoje strzegące je duchy, które trzeba szanować, a niekiedy należy ubłagać. Absolutnie konieczne są też dobre kontakty z przodkami. Przy niektórych świętach ludzie muszą składać ofiary swoim antenatom, którzy czasami odwiedzają swych potomków pod postacią zwierząt. Poza tym roi się od duchów, skrzatów i złowrogich upiorów. A nad tym wszystkim czuwa Budda ze swoim niezgłębionym uśmiechem. Religia, być może najważniejsza instytucja w Kambodży, już nie istniała. Więzi z przodkami i ze światem duchów, utrzymywane od tysięcy lat, zostały brutalnie zerwane. Modlitwy i ofiary stały się z dnia na dzień nielegalne.

Artykuł 20 Konstytucji Demokratycznej Kampuczy stanowił: “Każdemu obywatelowi Kampuczy zapewnia się prawo do praktykowania swojej wiary na równi z prawem do niewyznawania żadnej wiary. Wszelkie wsteczne religie, stojące w konflikcie z Demokratyczną Kampuczą i jej ludem, są surowo zakazane". Buddyzm podpadał bez wątpienia pod ten zawarty w drugim akapicie zakaz wstecznych religii. Czerwoni Khmerzy pragnęli zbudować społeczeństwo przemysłowe. A ostatecznie najnowocześniejsze społeczeństwo w dziejach. W tej wizji nie było miejsca na wiarę buddyjskich mnichów, że świat jest iluzją. Że wszystko, co widzimy wokół nas, jest mamidłem i dystrakcją. Czy można wyobrazić sobie coś bardziej reakcyjnego niż opór buddystów przeciwko wszelkim formom przemocy? Toczyło się koło historii i wszyscy, którzy próbowali stanąć na jego drodze, skazani byli na zmiażdżenie. Czym innym była “rewolucyjna przemoc", jeśli nie historyczną koniecznością?

114.

TOWARZYSZ, KTÓRY POPEŁNIA WIELE BŁĘDÓW TO WRÓG!

115.

Wtorek, 22 sierpnia 1978. Hedda Ekerwald pisze w dzienniku podróży:

"Jazda samochodem wzdłuż wybrzeża do Kampot i tam lunch, a potem dalej, na północ, do Takeo. Spaliśmy w nowo wybudowanym zajeździe pod miastem. Wieczorem odwiedziliśmy kooperatywę Baray i wysłuchaliśmy koncertu ludowych grajków". A później, w raporcie z podróży: "Siedzieliśmy razem w ciemności i słuchaliśmy. Zdawało się, że muzykanci mogą tak grać przez całą noc. Kiedy tam byliśmy, zebrało się sporo ludzi. Wszyscy słyszeli wiele razy grę tych wiejskich grajków, ale gdy przyszliśmy, dzieciaki pobiegły do domu i powiedziały, że we wsi są Europejczycy, i ludzie przyszli, żeby sobie nas obejrzeć. Jeden z nas, Szwedów, sam grywa muzykę ludową. To było jak rozmowa w tym samym języku tego wieczoru we wsi Baray, choć nie umieliśmy po khmersku, a muzycy nie znali francuskiego".

116.

[Jak migotanie białe]

Nie wiedzą, co o tym myśleć. W sali jadalnej kolektywu powieszono trzy duże obrazy. Trzy wielkie portrety. Stoją w swoich wyświechtanych czarnych ubraniach i znoszonych sandałach ze starych opon. Gapią się na te obrazy i nie wiedzą, co o tym myśleć. Jeden z portretów przedstawia Mao Tse-tunga. Ten drugi to chyba Kim Ir Sen. Z kantyny dobiega szczęk naczyń. Z bambusowych zarośli nadchodzi jeszcze kilkoro kobiet i mężczyzn. Ubrania mają powalane gliną z pól ryżowych. Słońce pali. Stoją tam tak i Suong spogląda na Nepha, który spogląda na Suonga.

Trzeci obraz przedstawia Pol Pota. Przywódcę kraju. "Przenikliwego, sprawiedliwego, cudownego wodza". Po raz ostatni widzieli go piętnaście lat temu. Ale spojrzenia, jakie wymieniają, nie, nie mają co do tego wątpliwości. Pol Pot to Sar, ich brat. Ten ich nieśmiały Sar, taki życzliwy, do granic samozatraty. Z tym swoim zaraźliwym uśmiechem.

117.

Nigdy nie rozważałem analogii między "Rokiem 1984" Georgea

Orwella a Demokratyczną Kampuczą Pol Pota. To chyba było trochę nazbyt oczywiste? “Rok 1984” czytałem zdaje się jeszcze jako smarkacz. Jedyne, co teraz pamiętam, to ostatnie strony, te o nowomowie. Jak język z każdym rokiem kurczył się, bo wykreślano ze słowników “zbędne" słowa. Po co mieć tyle słów, skoro wystarczy garść, stopniowanych przedrostkiem plus- lub dwaplus- i negowanych przez bez-? Precz z nielogicznymi “dobry, lepszy, najlepszy" i “zły, gorszy, najgorszy". Mów po prostu “plusdobry, dwaplusdobry" oraz “bezdobry, plusbezdobry, dwaplusbezdobry". Na koniec partia miała kontrolować nawet ludzkie myśli. Miały nie istnieć słowa takie jak “krytyka", “bunt" czy “prywatny". Słowo “wolny" miało być używane tylko w takich kontekstach, jak “pole jest wolne od chwastów". Nigdy w sensie być wolnym, cieszyć się wolnością. Wydaje mi się, że w miarę jak zgłębiam materiały z Demokratycznej Kampuczy, stopniowo przypominam sobie coraz lepiej Orwellowskiego Winstona Smitha i jego życie w dyktaturze Wielkiego Brata. W końcu wsiadam na rower i jadę do miasta, do małego antykwariatu przy ulicy 240. Jedynego w swoim rodzaju w Phnom Penh. W tym mieście jest bardzo niewiele księgarni. Większość oferuje przestarzałą teorię menedżmentu z USA i inne śmieci, na które tam nie ma zbytu. Ten antykwariat jest wyjątkiem. Nie ma specjalnie szerokiej oferty, za to mnóstwo literatury pięknej. Głównie książki zostawione przez turystów w hotelowych pokojach. Literatura urlopowa. Książki źle znoszą tropikalną wilgoć. Większość spuchła, a zwykle suchy i przyjemny zapach starej książki tu trąci lekko pleśnią. Szef sklepiku nie zadał sobie trudu, aby ustawić tomy w porządku alfabetycznym. Odnalezienie czegoś konkretnego zajmuje sporo czasu. Jednak w końcu triumfalnie ściskam w ręku jakiś egzemplarz - jeden z tych paskudnych, z roku 1984, kiedy tytułu używano jako chwytu promocyjnego*: “1984 may not arrive on time, but there is always 1985"*.

118.

“Jesteś niezwykle wyemancypowany, towarzyszu". To nie komplement. To wyrok śmierci.

[Pieśń Sztokholmskiego Chóru Ludowego, nagrana w 1978]:
Już za parę dni wejdą do miasta towarzysze w czarnych mundurach!
Nadejdą chłopcy i dziewczęta z karabinami na ramionach i ludzie witający ich przy drogach. Kambodża jest oswobodzona i lud objął władzę. Armia Wyzwoleńcza wkracza do Phnom Penh.

120.

"Ok Sakun mieszka w Paryżu". Philip Short jest pewien tego, co mówi.

Philip Short jest angielskim dziennikarzem i ostatnie lata poświęcił pracy nad biografią Pol Pota. Materiał składa się z wywiadów z mnóstwem osób, które albo należały do Czerwonych Khmerów, albo z bliska im towarzyszyły. "Odmówił wszelkich kontaktów ze mną, mimo że polecił mnie jeden z jego dawnych towarzyszy. Zdaje mi się, że on po prostu chce zostawić przeszłość za sobą". Vanna przyniósł mi jeszcze jedną kawę. Stawia ją koło mojego komputera i ciekawie zagląda mi przez ramię, śledząc szeregi niepojętych słów. Jest gorąco i liście palm zwisają nieruchomo. Gdzieś w dzielnicy stukają głuche uderzenia młotków.

Pyta, co piszę. Książkę, odpowiadam, świadom, że w Kambodży prawie wcale nie wydaje się książek. To, co dla mnie jest bardzo konkretne, dla Vanny jest dość abstrakcyjne. O czym ta książka, pyta. O Czerwonych Khmerach, mówię. Między innymi. Między innymi o Czerwonych Khmerach. "Aaah... Khmer Krahom. No tak. Ja wtedy byłem bardzo mały, za wiele nie pamiętam. Mego tatę zabili Khmer Krahom. Był w Kompong Cham i oni przyszli do jego domu, żeby aresztować mojego stryja. Pomylili się i zabrali jego. Potem go zabili". Ciekawi mnie, co się stało ze stryjem. Vanna wzrusza ramionami. "Nic. Schował się. Z nim wszystko dobrze".

122.

Miasto widmo. Puste ulice, domy. Kamera Jana Myrdala pracuje i mijamy ministerstwa oraz domy mieszkalne. Droga z lotniska do centrum Phnom Penh. Budynki wydają mi się znajome. Jest czysto i schludnie. Ale. Ani śladu ludzi. Nigdzie nie ma nikogo. Nawet w filmie dokumentalnym nie bardzo można to sobie wyobrazić. Wielkie miasto całkiem opustoszałe. Domy i biura, sklepy i szkoły. Wszystko jest puste i ciche, i wymarłe.

Przed wojną Phnom Penh miało około 600 tysięcy mieszkańców. W czasie wojny ta liczba wzrosła ponad trzykrotnie, kiedy ludność wiejska szukała schronienia przed amerykańskimi bombowcami i wojną domową. Niektórzy twierdzą, że w 1975 w stolicy mieszkały dwa miliony ludzi. Inni mówią, że trzy. Jan Myrdal wyjaśnia w filmie: "W

kwietniu 1975, po zwycięstwie, gdy zapanował pokój, całe społeczeństwo było w totalnej rozsypce. Odbudowa znaczyła konieczność odbicia się od tego dna. To określiło jej charakter. Obraz Kampuczy w oczach świata to puste ulice w wyludnionym Phnom Penh. Miasta zaczęto teraz zasiedlać z powrotem. Chociaż w większości wciąż pozostają puste. Podaje się kilka przyczyn. Przede wszystkim niezbędna była ewakuacja przeludnionych miast, aby ocalić milion ludzi przed grożącą im w krótkim czasie śmiercią głodową. Chodziło też o to, by zapobiec nowej wojnie domowej. Poza tym wszystkie siły były potrzebne do realizacji wielkiego planu uprawy ryżu, planu, który miał być podstawą przyszłego dobrobytu". Gdy szwedzka delegacja odwiedziła Phnom Penh w 1978, miasto zamieszkiwało około 30 tysięcy ludzi. Byli to w pierwszym rzędzie wysocy urzędnicy partyjni, pracownicy ministerstw i fabryk znajdujących się na przedmieściach.

Kamera jedzie, a my z nią. Czysto i schludnie, i pusto. Może właśnie tak, według Pol Pota, miasto miało wyglądać? Może nie zamierzano go znowu zaludniać? Podczas lat w dżungli rewolucjoniści nabrali spartańskich zwyczajów. Przejęli tryb życia od lokalnych mniejszości, niezmienny od tysięcy lat. Proste wspólnoty wiejskie, w których wszyscy pomagają wszystkim. Nie mieli pieniędzy i byli samowystarczalni. W oczach Czerwonych Khmerów przypominało to jakiś prymitywny komunizm. Jakiś kambodżański wariant Rousseau, którego znali ze swojej francuskiej podstawówki. A jednocześnie wszystko miało służyć walce. Dla rewolucjonistów ascetyczny, poddany kontroli tryb życia był ideałem, a wolność osobista - kontrrewolucyjna. Słowa takie jak “czysty" i “prawdziwy" wciąż powracają w propagandzie. Myśli miały być oczyszczone ze słabości i egoizmu. Nie ma żadnych oficjalnych dokumentów zabraniających hulaszczego życia. Ale niektóre zeznania z S-21, więzienia służby bezpieczeństwa, można czytać niejako przez kontrast - jako negatyw ideału. Na przykład w roku 1977 człowiek nazwiskiem Suong przyznaje, że jest zdrajcą, ponieważ nie myśli o niczym innym jak tylko o tym, “aby bawić się, jeść, pić alkohol, i o kobiecych ciałach".

Inny, Thang Si, który był członkiem komitetu centralnego, wyznaje, że gardził kierownictwem partii, on sam bowiem “uwielbiał rozrywki, zabawy, alkohol i kobiety". Kolejnym typem, który, jak mówiono, “sprzeniewierzał się komunistycznej moralności", był Sun. Wyznał

on, że oddawał się “moralnej zgniliźnie" z trzystoma kobietami. Jego zbrodnia nie polegała tylko na nieokiełznanym seksualnym apetycie; przyznaje także, że później szantażował te kobiety. Ewidentny przypadek sabotażu gospodarczego. Pogląd na seksualność nie był jednoznaczny. Kobiety i mężczyźni mieli w zasadzie żyć osobno. Jeżeli jednak, mimo wszystko, zrodziła się miłość, do małżeństwa konieczna była zgoda Organizacji. Śluby były zbiorowe, bez niepotrzebnych ceregieli. Często po ceremonii wracano do zwykłej roboty. Jednocześnie apelowano do ludzi, aby płodzili jak najwięcej dzieci. Demokratyczna Kampucza potrzebowała więcej obywateli, aby móc ziścić obietnice rewolucji. Kamera jedzie i Phnom Penh się przesuwa. Teraz jedziemy Bulwarem Norodoma. Nad zamkniętymi drzwiami czeluście pustych okien. Może jest tak, jak miało być. Miasto z minimalną liczbą mieszkańców, którzy nie trwonią swego wolnego czasu w barach, kinach albo na zbędną miłość. Którzy pracują od wschodu do zachodu słońca, a resztę czasu poświęcają na dokształcanie, seminaria polityczne, trening fizyczny i inne budujące zajęcia.

123.

[Z *Roku 1984* Georgea Orwella]:

“Po raz drugi w ciągu trzech tygodni nie poszedł wieczorem do świetlicy osiedlowej - nierozważny krok, gdyż na pewno dokładnie sprawdzano, kto jest obecny. Uważano, że członek Partii nie powinien mieć wolnego czasu i dopóki nie położy się spać, ani chwili przebywać sam. Kiedy nie pracował, nie jadł lub nie spał, miał obowiązek uczestniczyć w życiu zbiorowym swojej społeczności; robienie czegokolwiek, co zdradzało zamiłowanie do samotnictwa - choćby pójście na spacer w pojedynkę - uchodziło za niebezpieczne. Nawet istniał na to w nowomowie odpowiedni termin: sobizm, oznaczający skłonność do indywidualizmu i ekscentryczności".

124.

TO ORGANIZACJA URATOWAŁA WAM ŻYCIE, NIE ŻADEN BÓG ANI DUCHY!

125.

W październiku 1955 roku trzydziestoczteroletni wówczas król Sihanouk wygłosił jedno ze swoich najosobliwszych przemówień.

Wtedy nie było może aż tak dziwne, ale patrząc na nie dzisiaj, trudno się oprzeć zdumieniu.

Ostrzegał przed przejęciem władzy przez komunistów, do czego doszło dwadzieścia lat później:

"Nikt nie będzie wesoły. Wszyscy będą musieli pracować dla rządu. Nikt nie będzie mógł jeździć samochodem lub rykszą ani ubrać się ładnie, wszyscy będą ubrani na czarno, identycznie. Nie będzie już dobrego jedzenia. Jeśli zjesz więcej, niż to dozwolone, twoje dzieci doniosą na ciebie rządowi, zostaniesz aresztowany, a potem rozstrzelany".

Praca przymusowa. Zniesienie osobistej wolności. Czarne uniformy. Brak żywności. Wszystko tam jest. I dzieci w roli donosicieli.

Dzieci były istotnym elementem rewolucji. Były przyszłością, jako niezepsute wpływem z zagranicy - małe niezapisane tabliczki, jak to wyraził Mao Tse-tung. Poddawane systematycznej indoktrynacji stanowiły łatwe w użyciu narzędzie, tak samo jak dzieci-żołnierze na całym świecie. Powszechne posługiwanie się dziećmi tłumaczy dyscyplinę panującą w szeregach Czerwonych Khmerów.

Na niektórych terenach rodziny dzielono. Dzieci powyżej sześciu lat wychowywano osobno, pozbawione kontaktu z najbliższymi. Kiedy czasami dostawały zezwolenie na odwiedziny u rodziców, budziły mieszane uczucia. Ich lojalność nie była już pewna. W obecności synów i córek rodzice musieli uważać na to, co mówią. W łonie rodziny, dokąd zazwyczaj nikt nie ma dostępu, Organizacja miała małych szpiegów.

Dzieci włączono bardzo wcześnie do systemu produkcji. Jugosłowiański film dokumentalny, nakręcony w Demokratycznej Kampuczy w 1978, wywołał na świecie zgodny chór protestów. W ujęciach z fabryk widać było dziesięciolatków wspinających się na stołki, aby móc obsługiwać maszyny.

Jan Myrdal po powrocie szwedzkiej delegacji stawał w obronie pracy dzieci. Porównywał ją z istniejącym kiedyś w Szwecji korpusem chłopców okrętowych. Czymś w rodzaju szkolenia z praktyką dla dzieci z klasy robotniczej.

To, że dzieci musiały pracować, nie oburzało tak bardzo Kambodżan jak ludzi z Zachodu. Kambodża była wtedy, podobnie jak teraz, w 90 procentach społeczeństwem wiejskim, gdzie dominują małe go-

spodarstwa. Od dzieci oczekuje się pomocy w codziennej pracy. A zatem jeżdżąc po prowincji, widzi się dzieci, które noszą wodę, pasą krowy albo zbierają ryż. Krok z pola do fabryki w kambodżańskiej świadomości nie jest zbyt duży. Przykładem wiary w dziecięcy potencjał był Instytut Kształcenia Naukowego i Informacji. Kształcono w nim dzieci na inżynierów. Pierwszych sześć miesięcy poświęcano na nauczanie podstaw matematyki i fizyki. Potem następowało po kolei sześć miesięcy praktyki, sześć miesięcy pracy w kolektywie i sześć miesięcy pracy w fabryce. Następnie półtora roku studiów i jeszcze jeden rok w fabryce. Proces kształcenia kończył się półtorarocznym kursem teorii. Dzięki temu rewolucyjnemu podejściu cała edukacja miała trwać sześć lat. Uczniowie, którzy zaczynali jako siedmiolatki, mieli być zatem gotowymi inżynierami w wieku lat trzynastu. Ta sama zasada dotyczyła tak zwanych bosonogich lekarzy, których kształciła Organizacja. Młode kobiety i mężczyźni, często dzieci, odbywali przyśpieszony kurs medycyny. W Demokratycznej Kampuczy dotkliwie brakowało lekarstw i małoletni doktorzy często musieli sięgać po medycynę ludową. Między innymi po mleczko kokosowe, stosowane jako lek uniwersalny. Zdarzało się nawet, że wstrzykiwano je chorym, z pożałowania godnym rezultatem.

126.

GLINĘ URABIA SIE NAJLEPIEJ, GDY JEST MIĘKKA!

127.

Walka się nie skończyła. Wkroczyła tylko w nową fazę z chwilą upadku Phnom Penh. Kraj był spustoszony i całe miasta obróciły się w ruinę. Wielkie areały leżały odłogiem. Infrastruktura nie działała. Sytuacja tyleż beznadziejna, co nagląca. Wszystko należało naprawić natychmiast - olbrzymie wyzwanie dla każdego społeczeństwa. A jednocześnie miano stworzyć kraj przyszłości. Bez żadnych pierwowzorów. Jego zręby musiano wznosić równolegle z odbudową. Walka trwała od dziesięcioleci. Jej cel tak długo krył się gdzieś w odległej przyszłości, że sama walka wysunęła się na pierwszy plan. Przeszkody i wyzwania opisywano w terminach wojskowych. Zwycięstwo tu niczego nie zmieniło. Rewolucyjna walka była stanem permanentnym. Wojna trwała dalej, tylko już na cywilnym polu walki. Przykładów z Radia Phnom Penh jest mnóstwo: “Tak samo jak walczyliśmy, aby przepędzić francuskich i japońskich kolonizatorów i - całkiem ostatnio - amerykańskich imperia-

listów, będziemy walczyć dalej, odbudowując kraj i broniąc go z tym samym rewolucyjnym heroizmem". Wzywano ludzi, by “walczyli" pługami i przeciw powodziom. Mieli “prowadzić ofensywy" w branży hodowlanej albo “na froncie" rozwoju produktów. Mieczy nie przekuwano na lemiesze, wbijano je od razu w ziemię.

Z właściwym rewolucyjnym żarem wszystkiego można było dokonać. Uświadomienie polityczne każdej jednostki było kluczem do sukcesu. Wszystko musiało dziać się w duchu rewolucji. A więc teraz już się nie “spało", lecz “odpoczywało" czyli robiło niedługą przerwę w nieprzerwanie toczącej się rewolucji. Żywność stała się “środkiem podtrzymywania woli walki" Ubrania i narzędzia były “powierzane" ludziom, którzy tym samym dostawali “wsparcie" od Organizacji. W możliwie najszerszym zakresie zastępowano pierwszą osobę liczby pojedynczej “ja" zaimkiem “my". A zatem zdanie “mam jedzenie" zmieniało się w zdanie “powierzono nam środki podtrzymywania woli walki". Podobno Margaret Thatcher motywowała wyprzedaż mieszkań komunalnych w Wielkiej Brytanii, mówiąc, że kto jest właścicielem swego domu, staje się bardziej konserwatywny. To lustrzany argument kolektywizacji. Jeśli własność prywatna prowadzi do egoizmu, to prowadzi do klasowego ucisku. Dlatego własność prywatna musi być zlikwidowana. Ale czy to wystarczy? Czy jeśli chcemy wyplenić egoizm, własność społeczna nie powinna obejmować wszystkiego?

Pewien były funkcjonariusz partyjny próbuje mi to wytłumaczyć: “Tępienie wszelkiej własności prywatnej, duchowej czy materialnej, zaczęło się po kwietniu 1975. Przedtem się o tym nie mówiło. Od roku 1976 przedstawiano to jako wymóg konieczny do spełnienia - ale dla nas to nie był żaden problem. Uważaliśmy, że to słuszne, a nasze życie, naszą egzystencję, oddaliśmy już przecież w służbę rewolucji". Jeżeli wszelka własność sprowadza się do egoizmu i ucisku, to czy prywatne myśli także ku temu nie prowadzą? Ego zamienia się w ostatnią placówkę kapitalizmu. Dlatego jeśli kolektywizacja ma mieć sens, musi być totalna. Dlaczego własność niematerialna nie ma być kolektywna, skoro ta materialna jest zbiorowa? Ponadto: czemu mają służyć prywatne refleksje? Organizacja podąża już jedynie słuszną drogą. Jeżeli wszyscy poprą linię partii, to nic nie może pójść źle. Rezonowanie jest nie tylko zbędne, ale też może opóźniać walkę. Nawet więcej - jest wręcz działaniem kontrrewolucyjnym.

Jeszcze raz *Rok 1984* Orwella. Jeszcze raz słychać kroki Winstona Smitha idącego do pracy w Ministerstwie Prawdy. Kiedy już nie ma słów na oznaczenie odmiennego zdania, czy bunt jest możliwy? Czy to, czego nie można nawet sformułować w myśli, jest jeszcze wykonalne? Już odpoczęliśmy, możemy plusdobrze rozwinąć następną ofensywę żniwną.

Będziemy dwaplusdobrzy. I walka trwa dalej.

128.

KAŻDE MIEJSCE PRACY TO DZIŚ PŁONĄCE POLE BITWY!

129.

CZŁOWIEK: Khieu Samphan (spogląda z góry na ludzi. Repatriantów z Europy i USA).

MIEJSCE: Khmersko-radziecki Instytut Techniczny. Budynek inspirowany Le Corbusierem. Kryptonim K-15, przy drodze z centrum Phnom Penh na lotnisko.

SŁOWA: Fragment miesięcznego przeszkolenia.

Spogląda z góry na ludzi i pyta: "Jak przeprowadza się komunistyczną rewolucję?". Spogląda z góry na ludzi, zszokowanych widokiem rodzinnego miasta wyludnionego, naznaczonego wojną. Odpowiada:

"Pierwsze, co trzeba zrobić, to zniszczyć własność prywatną. Ale własność prywatna istnieje zarówno w sferze materialnej, jak i niematerialnej. Ewakuacja miast była właściwym krokiem zmierzającym do likwidacji własności prywatnej. Ale niematerialne posiadanie jest groźniejsze, składa się na nie to wszystko, o czym myślicie, że jest »wasze«, wszystko, co w waszym przekonaniu istnieje ze względu na was - wasi rodzice, wasza rodzina, wasza żona. To wszystko, o czym mówicie: »To moje«, jest niematerialną prywatną własnością. Myślenie kategoriami typu »mnie« i »moje« jest zakazane. Kiedy powiecie »moja żona«, to jest błąd. Macie mówić »nasza rodzina«. To naród kambodżański jest naszą wielką rodziną. To dlatego was rozłączono: mężczyźni osobno, kobiety osobno i dzieci osobno. Wszyscy pozostajecie pod opieką Organizacji. Każde z nas, mężczyzna, kobieta czy dziecko, jest częścią naszego narodu. Wszyscy jesteśmy dziećmi Organizacji, mężczyznami

Organizacji, kobietami Organizacji. Ta wiedza, którą macie w swoich głowach, wasze idee, to też niematerialna własność prywatna. Aby zostać prawdziwym rewolucjonistą, musicie oczyścić swoje mózgi. Wasza wiedza pochodzi od kolonialistów i imperialistów, i musi zostać zniszczona. Wy, inteligenci, powracający z zagranicy, przywozicie ze sobą europejskie wpływy, coś, co możemy nazwać »przedłużeniem kolonializmu«. A zatem pierwsza rzecz, jaką musicie zrobić, żeby móc uczestniczyć w komunistycznej rewolucji, to dostosować się do poziomu zwykłych ludzi w Kambodży, zwykłych chłopów, i oczyścić wasze umysły. Jeżeli uda nam się zniszczyć wszelką materialną i niematerialną własność, ludzie staną się równi. Gdy tylko się zezwoli na prywatną własność, to natychmiast ktoś ma trochę więcej, ktoś inny trochę mniej, a wtedy nie są już równi. Ale gdy nie masz nic - zero dla niego i zero dla ciebie - to jest prawdziwa równość. Jeśli zezwoli się na choćby najdrobniejszą własność prywatną, to znika cała jednolitość i to już nie jest komunizm".

130.
WOLNOŚĆ TO BRAK DYSCYPLINY I BRAK MORALNOŚCI!

Khieu Samphan spogląda z góry na repatriantów. Ale co mówi? Które słowa są jego? Wśród tych ludzi siedział trzydziestoletni wtedy Long Vísalo. Zrobił doktorat z kartografii w Budapeszcie. Zostanie później ambasadorem na Kubie oraz wiceministrem spraw zagranicznych. Nie w rządzie Pol Pota, tylko w tym powołanym w 1979 przez Wietnamczyków. Tych, którzy Khieu Samphana zapędzili z powrotem do dżungli. Jest to zatem osoba, która będzie wrogiem Khieu Samphana i która pamięta, co powiedziano w tej gorącej sali, w tym modernistycznym budynku. Ponad dwadzieścia lat minęło od wygłoszenia tej mowy do chwili relacji.

Świadek powtarza, co z tego przemówienia zapamiętał, angielskiemu historykowi, a zatem jest to wersja tłumaczona. Anglik to potem opowiada mnie. Ja znów przekładam. Więc co potem zostaje? Z głosu? Z przesłania?

Wszystko, trochę czy nic? No? “Nauka i kultura zostały całkiem zniszczone przez amerykański imperializm i jego pachołków. Rozrywka, tempo i rytm muzyki i tak dalej, wszystko to opierało się na wrogich wzorcach. Tradycyjne, zdrowe i czyste cechy naszego ludu, jego dusza, były zupełnie nieobecne, porzucone. Zastąpiły je imperialistyczne, por-

nograficzne, bezwstydne, fanatyczne i zboczone obyczaje".

131.

"Ok Sakun nie żyje". Julio Jeldres jest pewien tego, co mówi. Julio Jeldres jest oficjalnym biografem króla Sihanouka i od 1968 znajdował się zawsze blisko centrum wydarzeń. Kieruje teraz pewną organizacją praw człowieka w Phnom Penh. Lata między swoimi biurami i misjami w Bangkoku, Paryżu i Sydney. Ok., Sakun nie żyje? Czy jest całkiem pewien? "Znałem go. Zmarł na raka w Paryżu, dwa lata temu". Jestem u końca drogi. Pytam o Sok Rima. Nazwisko nic mu nie mówi.
FIZYCZNA URODA PODMINOWUJE WOLE WALKI!

132.

[Radio Phnom Penh, 15 maja 1975]:

"Kiedy nasi walczący bracia i siostry z armii rewolucyjnej, synowie i córki naszych robotników i chłopów, wkroczyli do Phnom Penh i innych miast, kompletnie oniemieli, zszokowani widokiem długowłosych mężczyzn i młodzieńców w dziwacznych ubraniach, których nie można było odróżnić od kobiet. Nasze dziedzictwo narodowe, obyczaje, tradycje, literatura, sztuka zniknęły".

W sylwestra 1977 Demokratyczna Kampucza zerwała dyplomatyczne kontakty z Wietnamem. Co najmniej tydzień wcześniej Wietnam zaatakował południowe regiony kraju. Atak był zamierzony jako ekspedycja karna, mająca położyć kres krwawym przygranicznym wypadom Czerwonych Khmerów. Wojska wietnamskie szybko się potem wycofały. Do tej pory antagonizmy te były przed światem ukrywane. Oba kraje demonstrowały na zewnątrz ostentacyjną przyjaźń. Oficjalne zerwanie stanowiło więc krok nieodwracalny. Stosunek sił między krajami był jednoznaczny. Zjednoczone siły bojowe Wietnamu prawdopodobnie przewyższały liczebnie całą ludność Kambodży. Wietnamczycy mieli mnóstwo nowoczesnego uzbrojenia, zostawionego przez USA. Po dekadach wojny armia wietnamska była najlepiej wyćwiczoną armią w Azji Południowo-Wschodniej. Ale Pol Pot zdecydował się zagrać va banque.

Historia pokazywała, że kambodżańskie ustępstwa nie opłaciły się. Dlatego wybrał strategię odwrotną. Otwarcie wyzywając Wietnam i grożąc mu wojną, miał nadzieję zasiać niepewność wśród przywódców w Hanoi. Jeśliby konflikt się zaostrzył, liczył na to, że wszechpotężne

Chiny staną po stronie Demokratycznej Kampuczy i dostarczą niezbędnej pomocy wojskowej. W jednym z przemówień Pol Pot powiedział: “Większość państw świata oczekuje, że pokonamy i zniszczymy Wietnam, bo już zmiażdżyliśmy amerykańskich imperialistów". Zdawał sobie jednak sprawę, że to nie będzie łatwa walka. Zapowiadała się wojna na śmierć i życie. Jedna z dwóch nacji miała ulec zagładzie. Potrzebna była wszelka możliwa pomoc. Bezwzględna izolacja pierwszych lat dawała Wietnamowi międzynarodową przewagę. Demokratyczna Kampucza musiała teraz zadbać o swój image. Dotychczas prośby o zezwolenie na wizytę w kraju kategorycznie odrzucano. Teraz, w krótkim czasie, zaproszono wiele delegacji. Początkowo przyjmowano wyłącznie takich gości, po których spodziewano się pozytywnego nastawienia do kambodżańskiej rewolucji. Zaczęło się niedobrze. Jugosłowiańscy dziennikarze, którym wiosną 1978 pozwolono pojeździć po kraju i nakręcić film dokumentalny, pochodzili z przyjaźnie nastawionego kraju. Ale film nie spełnił oczekiwań Czerwonych Khmerów. Nie tylko praca dzieci wywołała na świecie protesty. Zdesperowane spojrzenia chłopów i zdjęcia niszczejących, opustoszałych miast budziły silne reakcje. Nieco później pokazano ten film funkcjonariuszom partyjnym w Phnom Penh. Mieszkali odizolowani w mieście i wszystko, co wiedzieli o reszcie kraju, pochodziło z Radia Phnom Penh. Radiowa propaganda, jak się okazało, nie przystawała do tego, co teraz zobaczyli.

Sytuacja na wsi była dla nich szokiem. Odpowiedzialnych za pokaz filmu policja bezpieczeństwa natychmiast aresztowała. W kwietniu 1978 przybyła delegacja amerykańskiej partii komunistycznej. Dan Burstein napisał po swoim powrocie w marksistowskim “The Cali": “Na własne oczy zobaczyłem społeczeństwo rządzone przez sam lud, a nie, jak wcześniej, przez feudalnych panów i zagraniczne interesy". Następnie przyśpieszono tempo. Z początkiem lipca przyjechała delegacja włoska, pod koniec miesiąca - grupa z Belgii. 29 lipca 1978 wylądowali Peter Bischoff oraz Svend Aage Madsen z duńskiej partii komunistycznej. 12 sierpnia przywitano czwórkę Szwedów. W grudniu 1978 podjęto jeszcze jeden krok. Zaproszono kilkoro amerykańskich dziennikarzy. W pierwszej turze Elizabeth Becker z “Washington Post" i Richarda Dudmana z “Saint Louis Post-Dispatch". W styczniu 1979 tę samą podróż miał odbyć Steve Heder z “New York Timesa". Wydarzenia przybrały jednak parokrotnie nieoczekiwany obrót. Elizabeth Becker i Richardowi Dudmanowi towarzyszył Malcolm Caldwell, szkocki profesor o wy-

raźnych lewicowych sympatiach.

Ostatniego wieczoru w Phnom Penh obudził ich hałas w willi, gdzie byli zakwaterowani. Jakiś nieznany człowiek z pistoletem wdarł się do pokoju Caldwella. Zabił go trzema strzałami, po czym popełnił samobójstwo. Oficjalnie reżim obwinił o to wietnamskich agentów. Nie jest jednak zbyt prawdopodobne, aby bez pomocy sforsowali oni granicę, dostali się do pilnie strzeżonego Phnom Penh, odnaleźli właściwy dom, właściwy pokój i właściwego człowieka. Nieoficjalnie szukano mordercy w szeregach własnej partii. To zabójstwo było szczególnie kompromitujące dla reżimu, który już był napiętnowany jako brutalny i krwawy. A tu na domiar złego zabito jednego z oficjalnie zaproszonych gości. Snuto domysły, komu jeszcze mogło zależeć na zszarganiu opinii Pol Pota. Niektórzy są zdania, że to minister obrony Son Sen knuł spisek przeciwko niemu. Inni znów twierdzą, że to sam Pol Pot zlecił to morderstwo po sprzeczce z Malcolmem Caldwellem. Z kolei Pol Pot dawał później do zrozumienia, że Richard Dudman był agentem CIA i że to on był tym, który strzelał. Śmierć Malcolma Caldwella pozostała zagadką. Potem Demokratyczną Kampuczę odwiedziła tylko jedna grupa, delegacja z Kanady. Wietnam już wtedy zaczął swoją operację "błyskawiczna wojna - błyskawiczne zwycięstwo".

Dziewięć dni po tym, jak Pol Pot przyjął Kanadyjczyków, 7 stycznia 1979 Phnom Penh zostało zdobyte. Czerwoni Khmerzy kontynuowali jednak tę swoją nową politykę otwartości. Zagranicznych gości zapraszano do partyzanckich baz w dżungli. Demokratyczna Kampucza zachowała miejsce w ONZ, a wietnamską inwazję potępiono. We wrześniu 1979 Jan Myrdal znalazł się z powrotem u swoich kambodżańskich gospodarzy.

136.

Delegacja amerykańskiej partii komunistycznej, która osiem dni kwietnia 1978 roku spędziła w Demokratycznej Kampuczy, wydała później album fotograficzny "The New Face of Kampuchea". Zdjęcia przypominają te, które można znaleźć w raporcie z podróży szwedzkiej delegacji "Kampucza między dwiema wojnami". Jeden z delegatów, David Kline, pisze w swoim wstępie: "Zobaczyliśmy kraj całkiem różny od tego czarnego obrazu, jakim karmią nas niezliczone teksty prasowe i programy TV. [...] Kampucza jest bez wątpienia najbardziej oczernia-

nym państwem na świecie. »Ludobójstwo«, »niewolnicza praca«, »głód«, »masowe egzekucje« - to tylko kilka z ulubionych pojęć, jakimi zachodnia prasa przerzuca się w opisach życia w Kampuczy. Te oskarżenia (rzucane zawsze przez osoby, które same nie odwiedziły tego nowego społeczeństwa) przypominają rozszalałą kampanię oszczerstw, jaka spotkała chińską rewolucję trzydzieści lat temu. Ale przywódców Kampuczy oskarża się nawet o takie zbrodnie na własnym narodzie, jakich nikt inny nie popełnił w historii ludzkości! Wymowny przykład: telewizja CBS doniosła jako o fakcie, że w Kampuczy wprowadzono oficjalny »okres godowy«. Podaje się, że wszyscy ci, którzy »flirtują« poza »okresem godowym«, zostają skazani na śmierć. Jakie podstawy ma CBS dla takiego fantastycznego twierdzenia?

Otóż CBS podaje, że »pewien uchodźca opowiadał o tym pewnemu kongresmenowi z Illinois«, a ten kongresmen następnie zdał relację CBS! Gdyby jakiś dziennikarz oparł swój raport na tego typu wiadomościach w jakimś innym kontekście, zostałby w redakcji wyśmiany - i to słusznie. Ale gdy w grę wchodzą kambodżańskie dreszczowce, to zwykła dziennikarska przyzwoitość, czyli sprawdzenie faktów, musi ustąpić antykampuczańskiej propagandowej agresji".

137.

[Jak migotanie białe]

Nie jest tłusty, ale zdecydowanie grubszy. Porównuję zdjęcia Saloth Sara, dowódcy partyzantów, ze zdjęciami premiera Pol Pota. Podobnie jest z innymi z wierchuszki. Zaokrąglili się. Nic dziwnego. Nie brakowało im jedzenia, w odróżnieniu od większości narodu, która żywiła się zupą ryżową. Wręcz przeciwnie. Są świadectwa na to, że szef dyplomacji Ieng Sary nigdy nie omieszkał przy okazji zagranicznych wizyt zaopatrywać się w asortyment wolnocłowy. Gęsie wątróbki, whisky i sery szwajcarskie.

Książę Sihanouk opowiada w swoich pamiętnikach, że gdy przebywał w domowym areszcie, dostarczano mu japońskie ciasteczka, australijskie masło, bagietki i kacze jaja. Ale, zastrzega, pewnego razu kiedy chciał zrobić sobie płonące naleśniki, jednak okazało się, że rum się skończył.

138.

[Paryż, Cité Universitaire 1971]

Pobierają się pół roku po tym, jak się poznali. Marita Wikander i

jej kambodżański chłopak Someth. Ona ma lat dwadzieścia osiem, on jest kilka lat młodszy. Poznali się w zorganizowanej walce przeciwko wojnie USA w Wietnamie. Para rewolucjonistów. On od pięciu lat członek lewackiej grupy kambodżańskich studentów w Paryżu. Ona - jedna z tych, którzy w 1968 okupowali Dom Korporacji Studenckiej w Sztokholmie.

Tydzień po ślubie on wyjeżdża na nowe stypendium, aby studiować agronomię w Korei Północnej. Marita Wikander zostaje, bo odmówili jej wizy wjazdowej. Nie będzie go przez dwa lata. Łączą się znowu, kiedy on dostaje pracę na placówce w Berlinie Wschodnim. Rodzi im się syn, Phnom Penh upada i chłopiec na drugie imię dostaje Sereika. Wyzwolenie.

Dwa lata w Berlinie Wschodnim. Ambasador, książę Sisowath Methavi, zostaje wezwany do kraju już pół roku po rewolucji. Ale potem jakby nie było dalszych planów dla poselstwa. Istnieje nadal, ale wydaje się zapomniane. Someth publikuje broszury informacyjne o Demokratycznej Kampuczy, lecz wyraźnie nie ma żadnych własnych materiałów. Przerabia tylko oficjalne raporty z Phnom Penh, żeby brzmiały bardziej zachodnio, bardziej strawnie. I świat wokół nich. Wszystko w ruchu. Po drugiej stronie berlińskiego muru trwają procesy Frakcji Czerwonej Armii. USA wycofały się z Indochin. Mozambik ogłasza niepodległość w czerwcu 1975. Angola, Surinam i Timor Wschodni w listopadzie. W tym samym miesiącu Hiszpania opuszcza Saharę Zachodnią, a hiszpański dyktator Francisco Franco umiera. W styczniu schodzi ze świata popularny premier Chin Czou En-laj. Pół roku później umiera także przewodniczący Mao.

Czy to nie było ogromnie frustrujące, widzieć to wszystko z perspektywy skostniałego Berlina Wschodniego? Brać udział, ale pozostawać na peryferiach rewolucji? W maju 1977 poselstwo zostaje zamknięte. Gunnar Bergström jedzie do Berlina Wschodniego, żeby pomóc. Gdy przybywa na miejsce, trwa już wielkie pakowanie. To, czego nie się zabrać, jest palone.

Później: Marita Wikander wraca z synkiem do Szwecji. Someth jedzie przez Pekin do Phnom Penh i słuch o nim ginie.

139.

Reflektory samochodów i motorowerów. Ryksze jak wielkie ciemne cienie. Po Czerwonych Khmerach nigdy z powrotem nie wpro-

wadzono w Phnom Penh przepisów drogowych. Lawiruję w wieczornym strumieniu aut. Ruch prawostronny to raczej tylko rekomendacja - jedzie się tą stroną, którą akurat jest wygodniej. Jako tako funkcjonująca anarchia. Brak oświetlenia ulicznego i wysoko, ponad niskimi dachami domów, widać gwiazdy. Noc jest ciepła i wszyscy zdają się gdzieś śpieszyć. Przystaję koło niewielkiej internetowej kawiarenki. Komputery są stare i strony ładują się bardzo powoli. Wentylatory kręcą się pod sufitem, a ja piszę list do Heddy Ekerwald. Zawiadomienie o śmierci. Waham się, dobierając słowa. Ok Sakun nie żyje. Należy uznać to za potwierdzone. Ten z rewolucjonistów, z którym zachowała przyjaźń przez te wszystkie lata. Straciła przyjaciela. A ja swojego najważniejszego świadka. Z moich trzech nazwisk pozostały dwa: Suong Sikoeun i Sok Rim.

140.

TOWARZYSZE, ORGANIZACJA PRZYMKNIE OKO NA WASZE DAWNE BŁĘDY, JEŚLI ZDEMASKUJECIE WROGĄ SIATKĘ!

Monsieur Sem częstuje papierosem. Grzecznie odmawiam, a on na to, że czasy się zmieniły. Siedzimy, każdy na swoim stołku, na chodniku, obok dworca taksówek za bazarem Domkor w Phnom Penh. Przed nami stare, teraz zamknięte, kino Monorom, w stanie daleko posuniętej ruiny. Czekam, aż szofer mojej taryfy zbierze pięć osób na tylne siedzenie. Ja wykupiłem całe siedzenie pasażera. To właściwie dwa miejsca. Kiedy wreszcie ruszamy, taksówkarz dzieli swój fotel z jeszcze jednym mężczyzną. Przed nami trzygodzinna jazda przez wertepy.

Monsieur Sem to jedno z tych przelotnych spotkań, które później łatwo egzotyzować. Niedowidzący, emerytowany urzędnik Ministerstwa Finansów. Emerytura na nic nie wystarcza, więc jeździ teraz taryfą, między Phnom Penh a swoim dawnym rodzinnym miastem Kampot. Używa nienagannej francuszczyzny, chociaż z lekkim kambodżańskim akcentem. Kiedy go chwalę za językową kompetencję, tylko śmieje się ochryple między dwoma pociągnięciami papierosa: “Pan raczy żartować, monsieur, tego języka używałem czterdzieści lat temu". Był urzędnikiem państwowym w Phnom Penh w 1975. Podczas ewakuacji wyruszył na północny zachód, do Phnom Kravan zamiast do Kampot. “Mówiłem, że jestem robotnikiem fabrycznym. W Kampot przecież

wiedzieli, kim jestem. Tam by mnie zdemaskowali". Wielka niespodzianka czekała go jednak w 1979, kiedy zobaczył pierwsze zdjęcie Pol Pota.

"Pol Pot to był Saloth Sar. Bo wie pan, kiedy studiowałem w Phnom Penh, w czasie wakacji brałem dodatkowe kursy. Dawano je w prywatnej szkole, Chamraon Vichea. Uczyłem się matematyki i francuskiego. On był moim nauczycielem francuskiego, Saloth Sar. Sympatyczny, ale... stanowczy". Znowu chichocze i wyjmuje z kieszeni na piersi długopis. "Niech pan spojrzy", mówi i pisze na dłoni "Pol" i "Pot". Potem rozwija, tak że w końcu jest ..Politique" i "Potentate". Uśmiecha się szelmowsko: "No, sam pan widzi, monsieur".

142.

Rewolucja zniosła nie tylko własność prywatną, religię i dawne granice klasowe. Zlikwidowała też przypadek. Nic więcej nie działo się już bez przyczyny. I wszystko, co negatywnie wpływało na walkę, sprowadzano do spisków. To mógł być pług, który się zepsuł, pęknięty worek ryżu, zgubiona motyka. Na każdym kroku dopatrywano się dywersji. Często karano za to śmiercią. Pozbawiony twarzy, kontrrewolucyjny Spisek był prawie równie magicznie wszechwładny i wszechobecny jak Organizacja. Między nimi toczyła się zażarta walka. Każdy musiał mieć się na baczności. Gdyby rewolucja rozluźniła się choćby na moment, w tej samej chwili byłaby stracona. Son Sen, minister obrony i człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnętrzne, powtarzał na kolejnych zjazdach partii, że nawet trywialne zdarzenia to drobne ukłucia wymierzone przeciwko rewolucji. Ten wychudzony okularnik, dawny belfer, podawał przykłady: drobne kradzieże, nocne pukanie do drzwi domów, to, że ktoś zrobił kupę na ścieżce. Wszystko to było dziełem dywersantów. Kto ośmielił się wątpić w te insynuacje, ten sam narażał się na podejrzenia. Taki tok myślenia stanowił skrajną konsekwencję pewnej wizji rzeczywistości, wizji obcej liberalnemu zachodniemu światu z początku XXI wieku.

Otoczka była wprawdzie komunistyczna, ale Son Sen i jego towarzysze zbliżali się do Marksa i Lenina częściowo z innej strony. (Albo Maxa-Lenina, jak można przeczytać w pewnych dokumentach). Na kształtowanie kambodżańskiego komunizmu decydujący wpływ miało rodzime dziedzictwo ideowe oraz impulsy z Chin. Podobnie jak na przykład Stalin, Pol Pot uważał, że historia nieubłaganie zmierza w

określonym z góry kierunku. Teorię marksizmu-leninizmu traktowano jako prawdę naukową, jako prawo natury. Rewolucja była zatem nie tylko konieczna - była nieunikniona. Dlatego Pol Pot lubił powtarzać, że kto wtyka rękę albo nogę w koło historii, temu to koło je urwie. Koło toczyło się, a on wiedział dokąd, mimo wszelkich znaków przeczących rewolucyjnej wizji historii. Nie zwątpił w nią nawet wtedy, gdy na początku lat sześćdziesiątych wypędzono go do dżungli, gdy kambodżańscy komuniści byli całkowicie uzależnieni od pomocy Wietnamczyków, a oprócz tego żałośnie nieliczni. Niewielu z nich rejterowało. Walka trwała dalej. I mimo że niemal wszyscy wykluczali rewolucję w Kambodży, jednak ją przeprowadzono. Rację miał Pol Pot, a nie wszyscy ci światowi eksperci i analitycy. Jedynie on zdołał trafnie przewidzieć rozwój sytuacji. Był to najwyższy dowód słuszności jego poglądów na historię. Miał w ręku klucz do historii. A skoro miał rację wtedy, kiedy wszyscy inni się mylili, jak mógłby mylić się w pozostałych kwestiach? Marksizm-leninizm nabrał cech niemal religijnych. Wbrew wszelkim kalkulacjom Czerwoni Khmerzy zwyciężyli. Tym samym zewnętrzne przesłanki zostały podporządkowane rewolucji. Już nic nie mogło jej powstrzymać. Gdy potem zbiory ryżu okazały się mniejsze, niż zakładano, gdy nic nie wyszło z olbrzymiego skoku w nowoczesność, to wcale nie zawiodło planowanie. Rewolucja była nieomylna. To, że rachuby opierały się na cyfrach sprzed dziesięciu lat, że kraj od tamtych czasów spustoszyły bomby i wojna, nie odgrywało żadnej roli. To w tym kontekście trzeba widzieć te kupy Son Sena na ścieżce. Problemy muszą być dziełem wroga. Spiskowców. Tych, którzy “ryją od środka". Wewnątrz partii, lecz także w każdym z osobna. Ludzie muszą dokonać rachunku sumienia i spotęgować wysiłek w walce. Winnych się potem zdemaskuje i wyeliminuje.

143.
TWOJA MIŁOŚĆ DO ORGANIZACJI MUSI BYĆ BEZGRANICZNA!

144.
[Z pamiętników księcia Sihanouka Prisonnier des Khmers Rouges]:

“[Premier Chin Czou En-laj] apelował do wodza Czerwonych Khmerów: »Nie powtarzajcie naszego błędu z Wielkim skokiem. Śpieszcie się powoli. To najlepszy sposób, aby zapewnić Kampuczy i jej narodowi rozwój, dobrobyt i szczęście«. W odpowiedzi na tę wy-

borną i wzruszającą, niemal ojcowską radę Khieu Samphan i Ieng Thirith uśmiechali się tylko sceptycznie i z wyższością. [...] Wkrótce po naszym powrocie do Phnom Penh Khieu Samphan i Son Sen powiedzieli mi, że Kampucza udowodni światu, iż czysty komunizm można osiągnąć jednym skokiem. Była to bez wątpienia ich odpowiedź na radę Czou En-laja. »Nasz naród przejdzie dzięki temu do historii. Będziemy pierwszym krajem, który stworzy idealne komunistyczne społeczeństwo, nie tracąc czasu na żadne etapy przejściowe«".

Nie przypominam sobie tego, jak Isoup Ganthy przemawiał na placu Sergela po naszych skandowanych okrzykach “Kissinger! Mor! Der! Ca!" Wspomnienie urywa się przedtem. Isoup Ganthy pracował w poselstwie Kambodży w Sztokholmie. Był żonaty z księżniczką i miał opinię kogoś w rodzaju playboya. Jako osiemnastolatek poznał o siedem lat starszego króla Sihanouka. Obaj lubili jeździć konno i zostali przyjaciółmi.

Dwadzieścia osiem lat później, wieczorem 17 kwietnia, przemawiał na placu Sergela jako szwedzki szef informacji rządu emigracyjnego. Nie przypominam sobie, żebym go słyszał. Miałem wtedy dwa i pół roku, i bardzo możliwe, że przedtem usnąłem. Powiedział, że przez cały czas trwania walki czuł poparcie narodu szwedzkiego. Podziękował Szwecji w imieniu księcia Sihanouka i wyzwolonej Kambodży. Tych półtora tysiąca osób zebranych na placu przyjęło to wiwatami. Nie pamiętam tego głosu. Ale znajduję go dwadzieścia dziewięć lat później. 146 stron rękopisu po francusku. Kartki są bez liniatury. Tytuł brzmi: “Wyznanie szpiega Isoup Ganthy'ego”. Charakter pisma cały czas staranny, chociaż te 146 stron powstało przy różnych okazjach w ciągu niespełna dwóch tygodni. Dwa tygodnie to bardzo długi czas w S-21, Santebal-21, czyli w “oddziale specjalnym" Santesok, jak nazywano policję bezpieczeństwa. Ruch FNL w 1974 zorganizował zbiórkę pieniędzy na kambodżańską rewolucję. Isoup Ganthy przyjął dwukrotnie 25 tysięcy koron. To znaczy, w 2008, blisko 15 tysięcy euro. Na tym się jednak skończyło. Demokratyczna Kampucza “liczyła na własne siły" i nie zgadzała się na żadną dobroczynność.

Przedtem jednak odezwał się do Szwedów Ok Sakun, stacjonujący w Paryżu. Uprzejmie prosił, by przeprowadzili zbiórkę na rzecz rewolucji.

Gunnar Bergström pamięta, że się zdziwił. “Bo właśnie przekaza-

liśmy im dosyć dużą sumę". Na placówce w Paryżu nic o tym nie wiedzieli. Dali do zrozumienia, że te pieniądze przypuszczalnie nie dotarły dalej niż do portfela Isoup Ganthy'ego. Bergströma poproszono, aby ewentualne przyszłe darowizny przesyłał bezpośrednio do Paryża. W grudniu 1975 Isoup Ganthy'ego wezwano z powrotem do Phnom Penh, na “doroczną konferencję dyplomatów". O nim i o paru innych wezwanych dyplomatach słuch potem zaginął. O szwedzkich pieniądzach mowa jest na tych 146 stronach parokrotnie. Isoup Ganthy upiera się najpierw, że je rozliczył jak należy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ale to jest dopiero początek. Gdy Isoup Ganthy wrócił do Phnom Penh, został wysłany wraz z innymi dyplomatami na plantację warzyw w Phum Tong. Aresztowano go 9 września 1976. To tam jego “wyznanie" się zaczyna. Te 146 stron powstało między 23 września a 4 października. Są zapisane ręcznie, pięknym charakterem pisma. Na ostatniej stronie jest sygnatura prowadzącego przesłuchanie. Isoup Ganthy spisuje historię własnego życia. Pisze także o innych ze swego otoczenia. O swojej żonie i sześciorgu dzieci. Wymienia możliwych zdrajców. Jednym z nich jest Ok Sakun. Pisze o własnym pobycie w Albanii. Potem o Sztokholmie. O gazecie “Aftonbladet" i Johanie Takmanie, który był posłem z ramienia VPK. O wytwornych przyjęciach z okazji rocznicy rosyjskiej rewolucji. Pisze o dyskretnych lunchach z agentami KGB w hotelu Reisen.

Santesok przesłuchiwał więźniów za pomocą “zimnych" albo “gorących" metod. Te “zimne" przypominały zwykłe policyjne przysłuchanie, tyle że z politycznej perspektywy. “Gorące" to były tortury. I jedne, i drugie stosowano właściwie wobec wszystkich więźniów. Potem był oddział specjalny, dokąd przekazywano tych najbardziej opornych. Mówiono o nim, że “obgryza więźniów, tak jak pies obgryza kości". Wzdragam się prawie przed dotknięciem tych zapisków, gdy wyobrażam sobie, w jaki sposób powstawały. Przy jakimś biurku, w jednej ze zniszczonych, opustoszałych szkolnych sal w Tuol Sleng, jak dziś nazywa się S-21. Nie da się stwierdzić, jak bardzo torturowano Isoup Ganthy'ego, nim wziął do ręki długopis. Czy między poszczególnymi zapisami. Ale wiem, że więźniowie głodowali. Po krótkim czasie wyglądali niczym szkielety, gdy tak leżeli skuci łańcuchami, w długich rzędach. Ton tak zwanego “wyznania" Isoup Ganthy'ego ulega dramatycznej zmianie od pierwszego zapisu, z 23 września, do ostatniego, z 4 października. Czy to rezultat tych “gorących" metod? Początkowo z

elegancką swobodą opowiada o swoich spotkaniach z dyplomatami i politykami. O podróżach po świecie i rozmowie z Olofem Palmę. O częstych kontaktach z dawnym przyjacielem księciem Sihanoukiem. Z przesłuchania na przesłuchanie zmuszony jest powtarzać tę swoją opowieść. Akcent przenosi się ze zdarzenia na zdarzenie. Nieomal słychać głosy śledczych. Co chcesz przez to powiedzieć, szmato pierdolona? Wyraźniej! Masz mówić jaśniej, słyszysz? Ty zdrajco jebany. Stul pysk, przestań jęczeć i zaczynamy od początku, jeszcze raz! A jak znów zaczniesz kręcić, pizdo - to zobaczysz!

W ostatnich zapisach robi błędy. Musi przekreślać, zaczynać zdania od początku lub wtrącać brakujące słowa. Ale treść też jest całkiem inna. Przyznaje się do kontrrewolucyjnej działalności. Do tego, że intrygował za plecami Sihanouka, że się zaprzedał zarówno sowieckim, jak i amerykańskim interesom. Pisze, że podczas kiedy kambodżański lud głodował i walczył z imperialistami, “[...] ja wydawałem pieniądze tego ludu, jego krwawicę, na zagraniczny wyjazd wraz z rodziną, na urlop nad Morzem Adriatyckim, luksusowym samochodem, napędzanym ludową benzyną". “Pieniądze ludu" poszły na “drogie wina", “telewizor" i “lokajów". Czy ma na myśli te pieniądze zebrane przez ruch FNL?

Jego zeznania stają się coraz mniej prawdopodobne. Widziałem narzędzia tortur w S-21. Poskręcane kable, grube kije i obcęgi. W archiwach są zdjęcia zakatowanych na śmierć więźniów, na które wolałbym nigdy nie natrafić. Isoup Ganthy'ego stracono w grudniu 1976, półtora roku po tym, jak na placu Sergela dziękował szwedzkiemu narodowi. Egzekucja następowała zawsze, gdy tylko uznano, że więzień już nie tai żadnych ważnych informacji. Ostatni zapis pochodzi z 4 października. To, co się działo potem, przez dwa miesiące, nie jest udokumentowane. Wszystko przemawia za kontynuowaniem tortur, wyznań i denuncjacji.

146.

ZACHOWAĆ CIĘ TO ŻADEN ZYSK! STRACIĆ CIĘ TO ŻADNA STRATA!

147.

Vann Nath siedzi przed swoim atelier. Mieści się ono na płaskim dachu dwupiętrowego domu, w którym mieszka z rodziną. Na parterze

hałasuje restauracja. Jest jednym z siedmiu, którzy przeżyli S-21. Włosy ma teraz białe i mówi cichym głosem, z namysłem. Pochodzi z Battambang, gdzie pracował jako artysta malarz. To właśnie talent do pędzla go ocalił. Na liście osób, które przybyły razem z nim do S-21, jest mały znaczek. Czerwona kreska przy jego nazwisku. Ta kreska odwlekała jego egzekucję tak długo, jak długo malował to, czego życzył sobie komendant Duch. Przede wszystkim portrety Pol Pota, kopiowane ze zdjęć. Vann Nath opowiada o swoim pierwszym przesłuchaniu: "»Z jakiego powodu zostałeś aresztowany?« - zapytał śledczy. Powiedziałem, że nie wiem.

»Organizacja nie jest głupia - mówi. - Nigdy nikogo nie aresztuje bez powodu. Więc się dobrze zastanów: co takiego zrobiłeś?«. »Nie wiem« - powtórzyłem". Vann Natha torturowano potem elektrowstrząsami tak długo, aż stracił przytomność.

148.

Szkolny budynek jakich mnóstwo w Kambodży. Drzewa ocieniają dziedziniec, słońce praży i wszystko jest bardzo ciche. Spokojne.

Dziś nazwa tej szkoły, Tuol Sleng, jest synonimem tortur i śmierci. Wymienia się ją jednym tchem z Auschwitz i Gułagiem. Za Czerwonych Khmerów szkoła nosiła krótką nazwę S-21. Bardzo niewielu wiedziało o jej istnieniu. Odpowiadali za nią minister obrony Son Sen i wicepremier Nuon Chea. Wysłano tu, według danych szacunkowych, jakieś czternaście tysięcy ludzi. Poddano ich torturom, przesłuchano, a potem stracono. Nie była to jednak jakaś szczególnie wyjątkowa instytucja. Na prowincji istniała cała masa więzień, w których torturowano i mordowano pomniejszych przeciwników rewolucji.

Jedynie ważnych więźniów wysyłano do S-21. Na przykład takich jak Hu Nim, minister informacji. Albo jego kolega z dzieciństwa, Koy Thoun, sekretarz partii w sektorze północnym. Wierchuszka partii zaprzeczała nie tylko istnieniu S-21, lecz także temu, że w Demokratycznej Kampuczy w ogóle są jakieś więzienia. Nie są już potrzebne, twierdzono. Wszelka przestępczość znikła z nadejściem rewolucji. Od roku 1979 S-21 jest muzeum. Kierownictwo muzeum zajmuje dziś te same pokoje, co kiedyś Duch i inni odpowiedzialni za S-21. Budynek po drugiej stronie ulicy był miejscem przesłuchań i tortur. Obecnie to schronisko turystyczne i popularna restauracja. Szkolne sale, dwadzieścia pięć lat temu pełne umierających więźniów, są dziś puste. W klasach

służących za muzeum wiszą powiększone zdjęcia aresztantów. Wyglądają jak zdjęcia paszportowe, a dołączone akta personalne jak jakieś legitymacje. Są ich tysiące, umieszczone na ścianach, szereg za szeregiem. Wszyscy gapią się prosto w obiektyw i spotykają spojrzenie patrzącego. Oskarżające, smutne, przerażone twarze. Dzieci, młode kobiety i mężczyźni, starcy. Głównie Khmerzy, garść Wietnamczyków i kilkoro białych. Kambodżański chłopak ma kartkę ze swoim numerem na nagiej piersi. Numer 17, tego dnia. Nachylam się bliżej. Kartka przypięta jest agrafką, przez skórę.

Wszyscy spotykają spojrzenie patrzącego i właśnie tam słowa się kończą. Tak wielu ich i tacy różni. Tacy żywi, ci wszyscy, którzy wiedzą, że niedługo umrą. W jednym z tych rzędów fotografii znajduję męża Marity Wikander, Sometha. Ze związanymi na plecach rękami patrzy gniewnie w obiektyw. System opierał się na donosicielstwie. Kiedy trzy osoby podały to samo nazwisko, to wystarczyło, żeby człowieka aresztować. Za pomocą tortur nietrudno było wydobyć listy kontrrewolucjonistów. Bezpieka musiała wkrótce zmienić swoje kryteria aresztowania, z trzech donosów na pięć, ponieważ liczba ofiar donosów przerastała możliwość przerobu.

Aresztowanie takich ludzi jak Someth nie budzi zdziwienia. Studiował i pracował za granicą, i według tajnej policji miał niezliczone możliwości, by się sprzedać służbom wywiadowczym albo innym wrogom. Grupa studentów zagranicznych nie była tak liczna. Wszyscy znali wszystkich. Pod wpływem tortur oskarżali się nawzajem i te same nazwiska pojawiały się na listach raz za razem. Jedno zdjęcie zostaje w pamięci. Mogę przywołać je w każdej chwili. To fotografia małego chłopca. Nie starszy jak pięć lat. Mały wróg ludu. Bardzo podobny do mojego młodszego brata, gdy był mały. Ta fotografia pozbawia mnie mojej ostatniej, bezwiednej obrony. Instynktownego podziału na my i oni. Siadam na schodach prowadzących do jednego z tych budynków i płaczę.

149.

[Reguły zapisane na czarnej tablicy w jednej z klas Tuol Sleng, używanych jako cele dla więźniów].

1. Musisz odpowiadać na moje pytania. Nie próbuj ich unikać.
2. Nie próbuj niczego ukrywać, wykręcać się tym czy tamtym. W żad-

nym razie nie wolno ci ze mną dyskutować.
3. Nie udawaj głupiego - próbowałeś działać na szkodę rewolucji.
4. Na moje pytania masz odpowiadać natychmiast, nie tracąc czasu na namysł.
5. Nie opowiadaj o swoim niemoralnym życiu ani o tym, jaki jest, twoim zdaniem, prawdziwy sens rewolucji.
6. Nie wolno ci krzyczeć, kiedy jesteś bity lub karany elektrowstrząsami.
7. Masz nic nie robić, tylko siedzieć cicho i czekać na moje rozkazy. Jeżeli nic nie mówię, masz być cicho. Kiedy rozkażę ci coś zrobić, masz to wykonać natychmiast, bez szemrania.
8. Nie próbuj ukrywać swojej zdrady pustym gadaniem o Kampuczy Krom.
9. Jeśli nie będziesz przestrzegać tych reguł, zostaniesz mocno, mocno wychłostany kablem.
10. Jeśli nie posłuchasz moich rozkazów, dostaniesz albo dziesięć batów, albo pięć elektrowstrząsów.

Pośrodku długi, wielometrowy pręt ze stali. Podłoga w szachownicę, matowe kafle w kolorze kości słoniowej i miodowo żółte. Okiennice zamknięte w nocy. Każdy więzień musi usiąść, z wyciągniętymi nogami. Klawisze wyciągają ciężkie żelazne skoble, pierścienie z obu stron. Kostki więźniów wciskane są w skoble, potem przewleka się stalowy pręt przez pierścienie z tyłu stóp. Jeden po drugim zostają nanizani. Siedząc, z nogami przed sobą, nawleczeni. Gdy pręt zostaje przewleczony przez ostatnie przymocowuje się go do podłogi kłódką. Wszyscy są teraz przyszpileni. By uwolnić siedzącego w środku, trzeba odczepić wszystkich innych. Rozmowy zabronione. Według przepisów trzeba dać więźniom zezwolenie na chociażby zmienić pozycję.

151.

W Demokratycznej Kampuczy nikogo nie stracono. Zostali “zmiażdżeni". Jak wszelki reakcyjny opór. W miarę jak trwały samonapędzające się czystki, Organizacja zabierała coraz więcej ludzi na “reedukację". Albo związane z awansem “przeniesienie". Po paru dniach dawny towarzysz przed swym nazwiskiem otrzymywał literkę “a". Można to przetłumaczyć jako “godny pogardy", “wstrętny", czy może “plugawy".

152.

LEPIEJ ZABIĆ PRZEZ POMYŁKĘ NIEWINNEGO, NIŻ ABY WRÓG MIAŁ UJŚĆ Z ŻYCIEM!

153.

Towarzyszkę Vichee poproszono, by spakowała swoje rzeczy. Zrobiła to z radością i pełna nadziei, ponieważ niespodziewanie dostała awans na szczebel regionu. Wyjechała bez pożegnania z dziećmi i przyjaciółmi, jak nakazywał wyzbyty sentymentów rewolucyjny zwyczaj. Tydzień później ogłoszono, że “wstrętna zdrajczyni Vichea (a'Vichea) została zmiażdżona wraz z całą swoją kontrrewolucyjną siatką".

154.

Stoję przy wejściu do S-21. Wysoki mur wokół terenu, zwieńczony kolczastym drutem. Nad moją głową wisiała przedtem tablica. Na niej widniał napis: “Umacniaj ducha rewolucji! Miej się na baczności przed strategiami i taktyką wroga, aby móc bronić kraju, ludu i Organizacji". Teraz już jej nie ma. Tu przystawały ciężarówki. Opuszczano tylne klapy i więźniów ze związanymi na plecach rękami spychano z platform. Ten moment zanim. Myślę, że to musiał być taki sam moment ciszy i odrętwienia, jak gdy pociągi zatrzymywały się w Auschwitz. Wyhamowanie, a potem ta chwila niepewnej drętwoty, zanim wszystko potoczy się dalej. Trwająca parę oddechów. S-21 i Auschwitz to były obozy zagłady. Różnica polegała na tym, że w S-21 usiłowali jeszcze coś wyciągnąć z więźniów, zanim ich zatłukli. Wymuszone torturami zeznania miały zawierać poszlaki. Może doprowadzić do samego jądra Spisku.

Ci, których wprowadzano przez bramy S-21, traktowani byli jako aktywni wrogowie. Dokonali występków przeciw rewolucji. W nazistowskich Niemczech więźniowie mogli otrzymywać jakieś funkcje w obozach śmierci. W S-21 było to nie do pomyślenia. Tam nawet strażnicy nie byli wyjęci spod podejrzeń. W ciągu ponad trzech lat istnienia S-21 sporą część z nich samych aresztowano i stracono. Wystarczyło zdrzemnąć się na posterunku, bić za słabo albo za mocno w trakcie przesłuchania. Albo gdy jakiś więzień zmarł od odniesionych obrażeń, nim serię przesłuchań uznano za zakończoną. W nazistowskich Niemczech wina leżała w genach. Dość łatwo było zidentyfikować domnie-

manych wrogów. Znaczyło to także, że nawet oddany i przekonany nazista mógł zostać deportowany, gdyby się okazało, że w jego żyłach płynie żydowska krew. Natomiast tak zwany czysty rasowo Niemiec mógł się czuć dosyć bezpieczny. Naziści upatrywali swoich wrogów w grupach. Żydach, Cyganach, homoseksualistach i tak dalej. W Demokratycznej Kampuczy i w większości komunistycznych dyktatur wrogiem mógł być każdy. Zbrodnia nie kryła się we krwi czy w genach, tylko w myśli. Tym samym wszyscy byli potencjalnie wrogami rewolucji. Nikt nie był bezpieczny.

Z drugiej strony, istniała teoretyczna możliwość ułaskawienia, której nie było w nazistowskich Niemczech. Przynależność klasowa nie jest, w odróżnieniu od “rasy", dana przez naturę. Jeśli bogaczowi zabierze się jego bogactwo, nie będzie mógł więcej uciskać nędzarzy. Ten, kto nie wierzy w rewolucję, teoretycznie może zostać przekonany. Na przykład w Wietnamie “reedukacja" obejmowała czasem autentyczne próby szkolenia sceptyków. Także sowieckie obozy w Gułagu nie były w pierwszym rzędzie fabrykami śmierci. Tam praca, czyli produkcja, była rzeczą główną, a wysoka śmiertelność raczej czymś w rodzaju przykrego efektu ubocznego. Godnego ubolewania, bo do realizacji planów potrzebna była siła robocza. S-21 to całkiem coś innego. Tu śmierć nie znała wyjątków.

Członkowie partii, którzy pracowali w pobliżu, a nie znali przeznaczenia S-21, mieli własne lakoniczne określenie. “To miejsce, gdzie się wchodzi, ale skąd się nie wychodzi".

155.
CHORZY JEDZĄ Z APETYTEM!

156.

Podobny jakby do Jezusa, ze swoją dużą, ciemną brodą. Co robi tam jego zdjęcie, na tej ścianie? Wśród fotografii w S-21 jest jedna przedstawiająca młodego białego mężczyznę. Przystojny, w stylu lat siedemdziesiątych. Zatrzymuję się chwilę przy jego smutnych oczach. Jak tutaj trafił? Jak go wciągnął ten kambodżański wir?

157.

W Sztokholmie Marita Wikander angażuje się w działania Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej. Gdy Towarzystwo

otrzymuje zaproszenie do Demokratycznej Kampuczy, ona jest jednym z kandydatów. Wiza zostaje wystawiona przez poselstwo Czerwonych Khmerów w Pekinie. Rozpoznają nazwisko i pytają Jana Myrdala, który już przebywa w Chinach. On potwierdza, że tak, to ta sama Marita Wikander. Zamężna z Somethem? Tak. Aha, w porządku, to już wszystko wiemy. Niewielka delegacja podejmuje pewną decyzję. Nie będą stawiać żadnych pytań o krewnych, którzy zniknęli po rewolucji. W domyśle dotyczy to także Marity Wikander. Wiele prywatnych osób prosiło ich, żeby pytali o przyjaciół, z którymi urwał się kontakt. Czy to nie nazbyt śliska sprawa, tak bezkrytycznie spełniać ich życzenia? Może te osoby reprezentują jakieś wrogie tajne służby? Może ci, których poszukują, to aresztowani agenci? Wniosek: dopytywać się o nich znaczyłoby skompromitować się samemu. Zatem: żadnych pytań.

158.

[Nuon Chea, wicepremier, w rozmowie z delegacją duńskiej partii komunistycznej, 1978]

"Po wyzwoleniu tajność działań to podstawa. Tajne jest na przykład, którzy towarzysze są wybierani na czołowe stanowiska. Tajne jest, gdzie ci przywódcy mieszkają. Trzyma się w tajemnicy miejsca i czas zebrań, i tak dalej. Po części ze względu na ryzyko infiltracji, a po części dlatego, że to naczelna zasada. Jak długo istnieje walka klas i imperializm, tak długo tajność działań pozostanie najistotniejsza. Tylko pracując tajnie, możemy kontrolować sytuację i zwalczać wroga, który nie jest w stanie połapać się, kto jest kim".

Poruszamy się w cieniu. Krążymy po obrzeżach, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi. Podkopujemy i oddychamy w tym samym rytmie rewolucji. Ukrywamy nasze prawdziwe twarze i intencje. Zamieniamy się tożsamościami. Nasze oblicza są łudząco podobne. Nie da się nas nawet skutecznie policzyć. A czego wróg nie widzi, sam sobie dopowiada.

Kształty się wypaczają, proporcje gubią się w urojeniach. Ale kiedy teraz przyglądam się wam, towarzysze, kątem oka, dyskretnie, to zastanawiam się, skąd mam wiedzieć? Wyszlifowaliście te same talenty co ja. Wszyscy doszliśmy tu dzięki tym samym, zdradliwym metodom. Skąd mam teraz wiedzieć, że nie gracie dalej i nie zwracacie się ukradkiem przeciwko mnie? Skąd mam wiedzieć, że wasze kłamstwo jest moim?

160.

[Zapisek w notatniku z S-21]

"Celem tortur jest uzyskanie odpowiedzi. Nie robimy tego, ot tak sobie. Więzień musi cierpieć, żebyśmy dostali szybką odpowiedź. Masz go złamać, zastraszyć, zadręczyć. Nigdy nie stosuj tortur, żeby wyładować swoją złość. Masz go bić, żeby go zastraszyć, ale nie może ci umrzeć. Zanim zaczniesz, masz sprawdzić stan jego zdrowia, zbadać pałkę. Nie śpiesz się - jeśli on umrze, razem z nim zginie informacja".

161.

Ten gość ze zdjęcia w S-21 podobny do Jezusa nazywał się James Clark.

Zanim tam trafił, kiedy jeszcze był zwykłym surferem w latach siedemdziesiątych w USA, miał parę lat młodszego przyjaciela Dona Bittnera. Teraz Don Bittner siedzi przy prymitywnym barku, na wysokim krześle. Zbliża się dziewiąta rano, a on otwiera sobie pierwsze piwo tego dnia. Jadalnia jest pusta. Salka nie ma jednej ściany i wychodzi na ogród. Trochę nocnego chłodu zalega jeszcze pod palmami. Wentylatory na razie wiszą nieruchomo. Popijam swoją poranną kawę. To tanie schronisko turystyczne w Kampot. W mieście, które za czasów kolonialnych było najważniejszym portem przeładunkowym w Kambodży. Położone pięknie, o jeden meander od ujścia do morza. Jakby zgubione, jakby zapomniane.

Don Bittner jest tu ze względu na Jamesa Clarka. Choć jeszcze bardziej ze względu na swego kuzyna Lance a Mc-Namarę. James Clark i Lance McNamara zniknęli wiosną 1978. Pod koniec lat siedemdziesiątych tajlandzka marihuana osiągała na rynku światowym najwyższe ceny. Lance McNamara i James Clark mieli awanturnicze usposobienia, a oprócz tego przyzwoitą łódź. Czemu by nie przepłynąć Pacyfiku, nafaszerować łajby gandzią i nie zbić na tym majątku? Koło Kampot zostali ostrzelani. Zatrzymała ich jedna z łodzi patrolowych Czerwonych Khmerów. Aresztowano ich i odesłano do S-21 pod zarzutem szpiegostwa. Zrobiono im zdjęcia, torturowano ich i stracono. W protokołach nie zachowały się daty ich śmierci. Ale bardzo możliwe, że Amerykanie jeszcze żyli podczas szwedzkiej wizyty. Dopiero w 1980 Don Bittner dowiedział się, co się stało. Mówi, że Lance McNamara był jego najbliższym przyjacielem i że dlatego musiał tu przyjechać. Żeby poszukać ukochanego kuzyna, który zniknął. Może to wszystko stanie się trochę

bardziej zrozumiałe. Może odnajdzie jakiś spokój. Kiedy pięć lat temu wchodził do S-21, nie był przygotowany na to, co go czeka. Skonfrontowany ze zbryzganymi krwią kafelkami, narzędziami tortur i stosami czaszek, załamał się nerwowo. Od tamtej pory chodzi na terapię.
A teraz jest z powrotem. Drugie podejście.

Tłumacz pyta, czy Sous Thy to Sous Thy. Ten mówi “tak" i dalej skubie przy swoich pieprzowcach. Niechętny spotkaniu. Poranne słońce zaczęło już przypiekać. Przy najbliższym skraju pola stoi na palach prosty dom. Migają tam dziecięce cienie. Tłumacz pyta, czy Sous Thy to ten Sous Thy, co służył jako strażnik w S-21. Cisza, która następuje, może oznaczać tylko jedno. Don Bittner daje tłumaczowi zdjęcie swego kuzyna. Tłumacz wyjaśnia, życzliwym tonem, z czym przyszli. Pokazuje fotografię. Sous Thy powstrzymuje ruch dłoni i patrzy bez wyrazu na tę czarno-białą twarz. Te długie włosy i brodaty uśmiech. Potem jakby nogi się pod nim ugięły. Osuwa się i pozostaje tak, siedząc na ziemi. Wzrok ma rozbiegany, mruga spazmatycznie, jakby nie umiał opanować swoich oczu. Mówi, ledwie słyszalnie, że nie wie. Mówi, że nie wie, co się stało z Amerykanami. Trzymani byli osobno. Oni i inni cudzoziemcy. Tłumacz pyta o coś, ale Sous Thy kręci głową. Nie chce niczego więcej mówić. Don Bittner prosi go, żeby powiedział, co widział. Kiedy widział tego mężczyznę na zdjęciu? Sous Thy kręci głową. Krzewy pieprzowca z czerwonymi owocami. Trzej mężczyźni w jednym wieku, dwaj stoją, jeden siedzi w suchym, nagrzanym słońcem piachu.

163.

ORGANIZACJA JEST MÓZGIEM NARODU!

Ciężki, szary upał nad miastem. Na korytarzu nie ma nikogo, tylko Marita Wikander. I dawny przyjaciel, kolega Sometha ze studiów we Francji. Były matematyk, który pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Przypadek, moment, kiedy nie są pod nadzorem. Zakazane pytanie.

Someth? Przyjaciel jest zakłopotany. Może wystraszony? Nie, niczego nie wie. Chociaż... Someth został podobno wysłany na prowincję, do pracy. Ale nie, nic więcej.

165.

Gunnar Bergström już skończył pięćdziesiąt trzy lata, ale nietrudno go rozpoznać na podstawie tych zdjęć, które mam. Na fotografiach widać dwudziestosiedmiolatka: przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej. W tle kambodżański pejzaż. Teraz otwiera drzwi swego mieszkania w Vallentunie pod Sztokholmem. Przybrał na wadze, ani wylewny, ani opryskliwy. Kawa już gotowa, kupne ciasteczka leżą na półmisku. Członkowie rodziny hałasują za ścianą. Mój magnetofon to łapie. Słyszę ich później, gdy spisuję nagrany wywiad. Głosy, fragmenty rozmów, dźwięk z telewizora. Siedzimy przy stole jadalnym. Za oknem ciemna zieleń późnego szwedzkiego lata. Siedzimy przy stole jadalnym i rozmawiamy o podróży, do której zdaniem Gunnara Bergströma nie powinno było dojść, przynajmniej nie na tych warunkach. Została tam, zamknięta w swoim czasie, jak trudno chwytny anachronizm. W swoim ówczesnym kontekście zrozumiała, dziś nie tak łatwa do oceny.

Zaczynamy ostrożnie. Pytam, czy mieli jakieś instrukcje przed podróżą. Czy Czerwoni Khmerzy narzucili im jakieś ograniczenia, jeszcze przed przyjazdem. Mówi, że nie było żadnych reguł, co im wolno, a czego nie wolno. Czy o co mogą pytać, a o co nie. Lecz było jasne, że nie będą pytać o męża Marity Wikander, Sometha. Tego, który był nazbyt obciążony swoimi “rewolucyjnymi obowiązkami", żeby się z nimi spotkać. Mówi, że poprosili o wywiady z księciem Sihanoukiem i z żoną Pol Pota, Khieu Ponnary. Prosili także o możliwość dłuższego pozostania w jakimś kolektywie. Nie da się na podstawie krótkich wizyt ocenić sytuacji za fasadą pogodnych powitalnych fraz. Odmówiono im.

Ale ta podróż nie jest bynajmniej jednoznaczna, nawet teraz, parę dekad później. Opowiada, że ruch drogowy na prowincji zdawał się płynąć jak co dzień. I o ich pierwszym dniu w Phnom Penh. Jak w dwóch samochodach pojechali na południe od miasta. On, jako przewodniczący, sam w pierwszym wozie. Pozostali Szwedzi w drugim. Przez szyby aut widzieli ludzi mieszkających w ruderach, czasem na gołej ziemi. Opowiada, jak zdziwił się, że pokazują im taką nędzę. Nieprzywykli do tego gorąca i egzotycznych okolic, trzęśli się po ledwie przejezdnych drogach między polami ryżu. Opowiada o Maricie Wikander i Heddzie Ekerwald, jak w pierwsze popołudnie chciały wyjść, obejrzeć opustoszałe Phnom Penh. Jak już po paru minutach wróciły

oburzone. Zatrzymali je strażnicy przy blokadzie drogi. Delegacja zgłosiła swoje zażalenia. Choć bez większego przekonania. Zanosiło się, że będzie to właśnie taka ściśle kontrolowana propagandowa wizyta, jakiej pragnęli uniknąć. Lecz skargi dały pożądany efekt. Później już mogli chodzić po miastach, jak chcieli. Jeden z szoferów zawsze im towarzyszył, nieuzbrojony. To lepiej odpowiadało ich oczekiwaniom. Kambodżańscy rewolucjoniści, których Gunnar Bergström zdążył poznać w tamtych latach, różnili się od Wietnamczyków. Mówi, że łatwiej się z nimi obcowało. Że nie byli tak wyczuleni na punkcie prestiżu. Podkreślali, jak ważne jest, aby zachować pokorę, pamiętać o warunkach, w jakich żyją inni Kambodżanie. Poza tym byli raczej maoistami niż komunistami sowieckimi. Tarcia ideologiczne ze szwedzkimi przyjaciółmi były niewielkie. Gunnar Bergström doświadczał tej samej naturalnej swobody w kontaktach z ludźmi w trakcie tej podróży. Nie widział żadnego strachu ani przesadnego respektu dla funkcjonariuszy partii. Raczej przeciwnie. “Atmosfera była bezstresowa": zamiast pracować intensywniej, gdy nadchodzili cudzoziemcy, robotnicy opierali się na łopatach. Uśmiechy, przyjazne uściski dłoni. Ale wszędzie sami chłopi. Gdzie jest ludność miejska? Oni wolą pracować niż rozmawiać z zagranicznikami, odpowiadali przewodnicy. Gunnar Bergström kręci głową. “W to przecież nawet wtedy nie wierzyłem".

166.
[Baśń o helikopterze]

Któregoś dnia Czerwoni Khmerzy znaleźli kilka porzuconych amerykańskich helikopterów. Nikt nie wiedział, jak się je obsługuje, bo wszyscy piloci pracowali na polach ryżowych. To nic, powiedzieli partyjniacy. Rewolucja nauczy nas latać. Jeden po drugim próbowali uruchomić helikopter, ale bez rezultatu. Płaty śmigła pozostawały nieruchome. W końcu najbystrzejszemu z nich udało się wykombinować, co trzeba zrobić. Śmigłowiec wzbił się w powietrze z młodym człowiekiem przy drążkach. Latanie to żadna sztuka, wołał do swoich towarzyszy na ziemi. Ci nagrodzili owacjami jego rewolucyjną postawę.

Polatawszy trochę, młody mężczyzna postanowił wylądować. To okazało się trudniejsze. Jakkolwiek regulował pokrętłami i ciągnął za drążki, maszyna wciąż chciała się tylko wznosić. Kiedy paliwo się skończyło, śmigłowiec zanurkował i rozbił się o ziemię. Pozostali towarzysze odbyli naradę. Postanowili ściągnąć z pól ryżowych jakiegoś

pilota, który by im pokazał, jak się startuje i ląduje. Po pewnym czasie znaleziono pilota. Powiedział, że chętnie nauczy partyjniaków, czego trzeba. Posadzili go u steru i stanęli kręgiem wokół helikoptera. Popatrzcie, tak się robi, towarzysze, powiedział pilot i uruchomił maszynę. Potem wzbił się pod niebo, wybrał kurs na Tajlandię i tyle go widzieli.

167.

Te nieuniknione, codzienne spotkania. Nigdy ani słowa. Spojrzenia ześlizgują się z twarzy tego drugiego. Senh odgarnia zaczesane włosy i pokazuje bliznę na ciemieniu. Opowiada, że któregoś dnia nazbierał trochę liści, żeby je dodać do zupy ryżowej. Saing go przyłapał i rąbnął kolbą karabinu. Ten ruch. Uderzenie. Takie samo, jak wtedy, kiedy później Saing miażdży tył głowy ojca Senha. Ciało, które zwala się ciężko wśród innych. Ciepło. Ten głuchy odgłos. Nocne dźwięki.

Spotykają się co dzień, w tamtej wsi pod Takeo. Saing, były strażnik z lokalnego więzienia Czerwonych Khmerów - Kraing Ta Chan. I Senh, który próbował powiększyć swoją rację żywnościową i dlatego został aresztowany za “sabotaż gospodarczy". Który został pobity, lecz w odróżnieniu od swojego ojca przeżył. Ich domy dzieli tylko paręset metrów, ale Senh i Saing nigdy ze sobą nie rozmawiają. W Kraing Ta Chan zginęło, według szacunków, blisko dziesięć tysięcy ludzi. To jedno z tych więzień, które oficjalnie nie istniały. Radzą mi, żebym spotkał się z Saingiem na posterunku policji. Może się zrobić... trochę... nieobliczalny... kiedy mu się przypomni o przeszłości. Siedzi w małym, obskurnym policyjnym kantorku i uśmiecha się. Uśmiecha się bezustannie, kiedy oświadcza, że nie wie, o czym Senh mówi. Twierdzi, że nie boi się zemsty tych, którzy przeżyli. Nikogo nie zabił. Czy kogoś uderzył? No, może i tak. Ale był przecież więziennym strażnikiem. Zwykłym, prostym strażnikiem, nikim więcej. Pozostali mieszkańcy wsi, wszyscy napływowi, przybyli po 1979, zaakceptowali jego wersję historii. Gdyby naprawdę robił takie rzeczy, o jakich opowiada Senh, to przecież już dawno ktoś by go zamordował, nie?

168.

[Jak migotanie białe]

Wreszcie się spotykają w cztery oczy, tam, pod tym wielkim obrazem z wizerunkiem Angkor Wat. W tym samym budynku, gdzie pół roku wcześniej Pol Pot przyjmował szwedzką delegację. Dom Numer

Jeden, jak go nazywano. Okazały kolonialny budynek nad rzeką. Niegdyś rezydencja francuskiego gubernatora. W tym dawnym centrum kolonialnej władzy spotykają się Pol Pot i książę Sihanouk. Ostatnie trzy lata Sihanouk spędził w areszcie domowym. Pozbawiony wszelkiego kontaktu ze światem. Chociaż pod względem materialnym niczego mu nie brakowało. Klimatyzacja działała prawie cały czas, wszystkie porzucone piwnice winne w Phnom Penh stały otworem, aby zaspokoić jego wymagania.

Ale Pol Pota do tej pory nie mógł spotkać. Dopiero teraz, na dwa dni przed wkroczeniem do Phnom Penh wietnamskiej armii inwazyjnej. Z oddali słychać kanonadę, Pol Pot wita go lekkim ukłonem, dłonie złożone w geście uszanowania. Zwracając się do Sihanouka, używa specjalnego khmerskiego, którym mówi się tylko w kręgach dworskich. Sihanouk przyzna później, że zauroczył go ten człowiek, który konsekwentnie próbował zniszczyć wszystko, w co on wierzył. Ta wyszukana grzeczność, sposób, w jaki mówił, nie-głośno, ale jednocześnie z żarem.

Ten ujmujący uśmiech. Lokaje serwują herbatę z ptifurkami i świeżo wyciskany sok pomarańczowy. Gdy tylko coś się skończy, natychmiast jest dyskretnie uzupełniane. Pol Pot tłumaczy, we właściwy sobie spokojny, miły sposób, że Wietnamczycy są wciągnięci w zasadzkę. Nie wykonuje zamaszystych gestów, podkreśla tylko pewne argumenty ledwie widocznym ruchem prawej dłoni. Mówi, że kambodżańska obrona pozornie się załamała, ale to jest przemyślana część strategii. W ciągu trzech miesięcy ostatni Wietnamczyk będzie wyrzucony z kraju. Jednak może okazać się konieczne, aby Sihanouk opuścił stolicę, tymczasowo. I pyta zaraz, czy Wasza Wysokość miałby coś przeciwko temu, żeby udać się do ONZ-u i szukać tam wsparcia dla swojego kraju w tej trudnej chwili? Czy zechciałby zmobilizować światową społeczność do potępienia wietnamskiej agresji? Czy mamy sobie wyobrazić, że Sihanouk sięga po jeszcze jedno ciasteczko, które zjada w zadumie, namyślając się? Czy siedzi wychylony do przodu, na krawędzi krzesła, i odpowiada natychmiast? A może ani jedno, ani drugie? Rozmawiali przez parę godzin. Może już dość ma ciasteczek i siedzi wygodnie rozparty w fotelu?

Lecz odpowiada, że tak. I chwilę później rozstają się, aby już nigdy się nie spotkać. Sihanouk jeszcze raz wychodzi w swój ukochany blask reflektorów. Pol Pot wycofa się do swojej ukochanej strefy cienia.

W oddali huk dział. W ustach smak soku z pomarańczy.

169.

Zdaje się, jakby pot od razu oblewał całe ciało. Po jakiejś minucie spływa kroplami z nasady włosów. Od kilku dni Phnom Penh ciągle nękają przerwy w dostawie prądu. Mój wentylator zwalnia bez ostrzeżenia i zatrzymuje się po paru zdechłych, końcowych obrotach. Kontrast jest totalny. Nieruchome powietrze zdaje się dwa razy gorętsze od tego, którym dmuchał na mnie wentylator. O wiele bliżej tych czterdziestu stopni pokazywanych przez termometr. Poza tym szybkie jak piorun komarzyce mogą teraz spokojnie lądować. Nie zbliżają się do ciała powoli, kołysząc się wte i wewte, tak jak ich szwedzkie siostry. Pikują ostro, nawet nie hamując. Zabić ich prawie się nie da. Są za szybkie. Podmuch wentylatora je dezorientuje, a bez dryfu jestem dla nich łatwym celem.

Pot tworzy kroplę na czubku nosa. Coraz więcej swędzących jak diabli ukąszeń komara. Coraz trudniej pisać. Myśli się robią niezborne. Zasób słów jakby topnieje. Siedzę w tym dusznym skwarze i myślę o francuskich urzędnikach kolonialnych. Tych, którzy pracowali tu w epoce nie znającej elektrycznych wentylatorów. Tych, którzy pochodzili z chłodnych miejsc, jak Nantes czy Brest, i lądowali tu na całe lata, na peryferiach kolonialnego mocarstwa. Jak oni wytrzymywali? Potem mi wstyd. Typowy białas, zaraz myślę o innych Europejczykach. W tym samym miesiącu trzydzieści lat temu mieszkańców miasta wokół mnie ewakuowano. Ten sam nieznośny żar co teraz. Ale oni szli pieszo wiejskimi drogami, często bez wody i jedzenia. Noce pod gołym niebem, bez moskitiery, w malarycznych lasach. Niektórzy wędrowali kilka dni, inni całymi tygodniami. Wielu przypłaciło to życiem. Jak wielu, nikt nie wie. Ci, z którymi rozmawiam, którzy też wędrowali w słońcu i kurzu, mówią, że zmarli leżeli po rowach. Nikt nie liczył. Jeden z szacunków mówi, że w kwietniu 1975 zmarło na drogach 20 tysięcy ludzi.

170.

ZŁOTO, SREBRO, NASZYJNIKI I BRANSOLETY TO ŁAŃCUCHY, KTÓRE SKUWAJĄ CI RĘCE I NOGI!
TOWARZYSZE, ONE KRĘPUJĄ RĘCE REWOLUCJI! SĄ NAJSUROWIEJ ZAKAZANE!

171.

[Jak migotanie białe]

Rok 1981 dobiega końca, a oni są zgodni. Pol Pot i jego najbliższy człowiek Nuon Chea walczyli wspólnie o wprowadzenie komunizmu przez bez mała trzydzieści lat. Wygrali wszystko, a następnie wszystko stracili. Teraz podjęli rozstrzygającą decyzję. Siedzą razem w cieniu masywu górskiego Phnom Thom, w Biurze 131. To nowa baza Czerwonych Khmerów w walce przeciwko wietnamskiej armii okupacyjnej. Prosta, ale dobrze strzeżona i zaopatrzona w tajskie towary konsumpcyjne. Biuro 131 leży w zachodniej Kambodży, pod tajską granicą. Tylko trzydzieści kilometrów od Tratu, lokalnej tajskiej nadbrzeżnej metropolii. Tajlandczycy to ich nowi sojusznicy. Za nimi stoją USA i Chiny. Żadne przymierza nie są zbyt śmierdzące, gdy trzeba ograniczyć wpływy Związku Radzieckiego. Pol Pot i Nuon Chea postanowili zlikwidować kambodżańską partię komunistyczną. Nie istnieje już ani partia, ani Organizacja. Stanęli u kresu drogi. Czy czują ulgę? Dwaj starzejący się mężczyźni. Zbliżają się do sześćdziesiątki. Ale teraz zaczynają od nowa, uwolnieni od swojej dawnej ideologii.

Zamiast niej lansują niezwiązaną politycznie Armię Narodową, której jedynym celem jest kontynuacja wojny partyzanckiej przeciw Wietnamowi. Cisza w dżungli. Wrażenie bliskości morza. To coś w powietrzu. I te noce, które w tych okolicach są chłodne. Żołnierze otrzymali z Chin zielone mundury. Czerń nie jest już oczywistym kolorem dla Czerwonego Khmera. W pewnej rozmowie parę lat później Pol Pot wyjaśnia: “Wybraliśmy komunizm, żeby wyzwolić nasz kraj. Pomagaliśmy Wietnamczykom, bo byli komunistami. Ale teraz ci komuniści walczą przeciwko nam. Dlatego musimy zwrócić się do mocarstw zachodnich i obrać ich drogę".

172.

To tylko kropka na mapie. Zdaje się, że nie prowadzą do niej żadne drogi. Malai, głosi napis. Ale jak się tam dostać, skoro nie ma żadnej drogi? Kropka Malai leży tuż przy granicy, w niedostępnej północno-zachodniej Kambodży. Może da się tam dotrzeć wyłącznie od tajskiej strony?

W Malai jest podobno Suong Sikoeun. Przynajmniej był jeszcze dwa lata temu, jak słyszał pewien dziennikarz. Wcześniej mieszkał w

Pailin, ale się przeniósł. Podobno. Suong Sikoeun to postać kluczowa. Był jednym z najbliższych ludzi ministra spraw zagranicznych i odpowiadał za sporą część zagranicznych wizyt w Demokratycznej Kampuczy. To on czekał na lotnisku, kiedy lądował samolot szwedzkiej delegacji. A więc dwa lata temu widziano go w Malai? Trzeba zaryzykować. Wyruszam autobusem jadącym z Phnom Penh do Battambang. Nie pierwszy raz jadę drogą krajową numer 5. Tyle że ostatnio, przed dwoma laty, na tej trasie nie kursowały autobusy. Wtedy na drodze było więcej dziur niż asfaltu. Przed maską otwierały się wyrwy większe od samochodu. Czasami szybciej jechało się rowem na poboczu niż dawną jezdnią. Podróż rozklekotaną taryfą zajęła jedenaście ciężkich godzin. Teraz szosę zreperowano za pożyczkę z Banku Światowego. Autobus toczy się bez przeszkód do Battambang, trwa to dwa razy krócej. Poziom wody w rzece Stung Sangker jest ciągle wysoki po deszczu.

Wzdłuż jej miękkich zakoli niszczeje stara, kolonialna zabudowa Battambang. Ulice są szerokie, samochodów i motorowerów wciąż jeszcze niewiele. Rytm życia niespieszny. Jednak entuzjazm przy stacji taksówek jest spory. Chcą mnie wieźć do Tajlandii. Czy może chciałbym wracać do Phnom Penh?

Przecież ja dopiero co przyjechałem. No tak, ale może jednak, mister? Phnom Penh? Tak? Mają tu inny dialekt. Jakby łatwiejszy do zrozumienia niż phnompeńskie maltretowanie spółgłosek. Entuzjazm wyraźnie przygasa, kiedy pytam o Malai. Można się tam dostać? No, niby można. Ale czego ja tam będę szukał? Jakiś chudy mężczyzna oferuje, że zawiezie mnie prosto na wschód, do Pailin. Ma tam szwagra z motorowerem, a ten może podrzucić mnie do Malai. Ale to co najmniej dziesięć godzin na motorowerze po wąskich ścieżkach w dżungli. Dziesięć godzin, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Inny mógłby pojechać na północny zachód, a potem odbić w Sisophon. Tam jest droga na Malai. Jaka to droga? Taka sobie, ujdzie. Czy to jest “roztańczona droga", pytam, cytując zasłyszany dowcip. Wszyscy się śmieją. O, tak, jak najbardziej roztańczona. Lepsza niż masaż, rzuca któryś.

173.

[We śnie]

Budzi mnie jakiś głos. Jest całkiem ciemno. Nie da się stwierdzić, czy ten głos jest w pokoju, czy tylko w mojej głowie. Powtarza cicho: ..Koj Thuon". Ale przecież, myślę oszołomiony, on nie żyje, przecież

go zamordowali w S-21. Głos nie ustaje, teraz prawie natarczywy. Czuję nagle, jakby ktoś wziął mnie ostrożnie za ręce i pomógł mi usiąść. Wyglądam przez okno. Pylący srebrem blask księżyca i głębokie cienie. Pod jakąś brzozą stoją sąsiedzi. Kopią tam duży, płytki dół. Nieco dalej leżą zabici ludzie, w bezładnej kupie. Sąsiedzi zastygają w pół ruchu. Motyki, łopaty nieruchome. Odwracają głowy i gapią się prosto na mnie, za szybą. Wielkie drewniane marionetki, malowane szerokie uśmiechy w krzykliwych kolorach.

174.

NA STANOWISKU PRACY AŻ DO ŚMIERCI!

Opuszczamy Battambang o świcie. Świat wydaje się szary, ludzie to cienie niosące towary na targ. Albo z targu. Taryfa jest stara i przypuszczalnie z Tajlandii, bo ma kierownicę po niewłaściwej stronie. Jedno koło już jest wymienione na zapasowe. Klimatyzacja jak zwykle nie działa i wszystkie szyby są opuszczone. Ze wstecznego lusterka zwisa banknot z narysowanymi tuszem magicznymi symbolami. Ma za zadanie przyciągać pieniądze. Swój ciągnie do swego. Gaz do dechy, jak zwykle. Szofer trzyma rękę na klaksonie. Wzbijają się gipsowe obłoki kurzu, pejzaż jest płaski. Słońce wschodzi szybko, a wzdłuż pobocza stoją oznaczenia pól minowych - tablice z białymi czaszkami na czerwonym tle.

Człowiek, którego szukam, Suong Sikoeun, ożenił się z Francuzką, Laurence Picq. Podobno była jedynym człowiekiem z Zachodu, który przemieszkał w Demokratycznej Kampuczy te trzy i pół roku istnienia państwa. Swoje przeżycia opisała później w książce “AM del du ciel”. Wspomina w niej o wizycie szwedzkiej delegacji; widziała ich przelotnie na jakimś pokazie tańca. Lecz opisuje także ucieczkę z Phnom Penh po wietnamskiej inwazji w 1978. Jak dziesiątki tysięcy dzieci, kobiet i mężczyzn uciekały w panice, na piechotę, w stronę tajskiej granicy. Pisze o równinie ze stwardniałymi, wyschniętymi źdźbłami ryżu. O palącym słońcu. Właśnie te pola teraz mijam, trzęsąc się na wybojach.

Malai leży u podnóża góry o tej samej nazwie. Mała, biedna mieścina, z targiem i niskimi, zakurzonymi domkami. Jedna z ostatnich twierdz Czerwonych Khmerów. Zdemobilizowani, ale bynajmniej nie

rozbrojeni, dalej tu mieszkają. Dwa kilometry od granicy z Tajlandią. Ludzie przystają i patrzą na białego na tylnym siedzeniu taryfy. Jakiś mężczyzna na motorowerze tłumaczy, nabzdyczonym tonem, gdzie jest siedziba gminy. Taksówka podjeżdża do trzypiętrowego budynku. Bramka w murze jest otwarta. Wyblakła flaga zwisa smętnie z masztu pośrodku małego, wyschniętego klombu. Nie ma żywego ducha. Wchodzę po schodach. Drzwi głównego wejścia stoją otworem. Wewnątrz pusto: ani ludzi, ani mebli. Niektóre z malowanych na niebiesko drzwi są zamknięte. Pukam, lecz żadnej odpowiedzi. Piętro za piętrem, wszędzie wieje pustką. Z najwyższego piętra roztacza się widok na okolicę. Cień góry wznosi się wysoko, tu i tam stoją grupy wielkich drzew o szerokich koronach. Jakieś sto metrów dalej przechodzi niespiesznie kobieta ze wzrokiem utkwionym w ścieżkę. Wciągam powietrze, żeby zawołać i zapytać. Ale coś jest w tej ciszy, w tym powolnym rytmie. Schodzę na dół. Kroki rozbrzmiewają echem.

Z powrotem przy targowisku, znajduję mały bar. Tajlandzka telenowela na cały regulator skupia na sobie leniwą uwagę nielicznych gości. Przysiadam ze szklaneczką gorzkiej kawy i pytam właścicielkę o Suong Sikoeuna. Kręci głową i ściąga swojego męża. Jemu to nazwisko także nic nie mówi. Pyta przy stoliku obok. Nie, wszyscy kręcą głowami. Następny stolik. Trzej mężczyźni w mundurach, wpatrzeni w telewizor. Owszem, mówi ten najwyższy rangą. Wie, kto to jest Suong Sikoeun. Spojrzenia przeskakują między mną a właścicielem baru. Czego chcę od Suong Sikoeuna?

176.

Na próbę. Zamieniam: zło. Piszę: brak empatii.
Pytanie: czy to będzie bardziej, czy mniej zrozumiałe?

Wyobrażamy sobie południowy skraj plaży Occheuteal w Kompong Som. Wyobrażamy sobie kilometry białego piasku i ciepłego morza. Niebo zachmurzone. Czy jasnobłękitne? Kolor nieba określa kolor fal.

Wyobrażamy sobie ukrytą lagunę ze starym, królewskim przybrzeżnym pałacem.
Poza tym: młody przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej, Gunnar Bergström.
Oraz: Sok Rim, jeden z dwóch przewodników delegacji.
Sok Rim częstuje whisky. (Wszędzie w trakcie podróży te małe, dobrze

zaopatrzone lodówki). Gunnar Bergström grzecznie odmawia. Sok Rim nalewa sobie.

Rozmawiają o rewolucji. O jej postępach i problemach. O coraz bardziej negatywnym obrazie Demokratycznej Kampuczy na świecie. Sok Rim pyta, czy Gunnar Bergström uważa, że kambodżańskiej rewolucji udało się już stworzyć nowego człowieka. Światłą i solidarną jednostkę, która ma być dzieckiem społeczeństwa bezklasowego. Gunnar Bergström sugeruje ostrożnie, że wymaga to trochę dłuższego czasu niż trzy lata.

Sok Rim nie jest do końca zadowolony z tej odpowiedzi. Ciągnie dalej:
"Wprowadziliśmy już przecież dyktaturę partii". "Chciałeś powiedzieć chyba: dyktaturę proletariatu?". "Nie rozumiem". "Dyktaturę proletariatu. Wprowadziliście chyba dyktaturę proletariatu?". "Ale ja, towarzyszu, nie rozumiem. Przecież to jest to samo". Stół jadalny przy oknie. Późne lato i opróżnione kubki po kawie. "On był raczej na bakier z marksizmem, ten Sok Rim", mówi Gunnar Bergström i bierze ciasteczko z półmiska.

Na bakier był też Pol Pot. Przejęcie władzy przez Czerwonych Khmerów dziś Gunnar Bergström nazywa "rewolucją zza biurka", gdzie garstka osób o "ksenofobicznym światopoglądzie" kreśliła utopie "kompletnie bez myśli o ludziach". Ale wtedy było inaczej. Inny kontekst i inne oczekiwania. To, że miasta należy wysiedlić, Gunnar Bergström, jak twierdzi, rozumiał już wcześniej. Chociaż nie tak brutalnie. Bo rewolucja jest przecież rewolucją ludu. Wspólną koniecznością. Że ludność miejska mogłaby protestować, nie przyszło mu do głowy. "Myślałem, że przecież wszyscy jesteśmy częścią rewolucji, więc jeśli mówią, że musimy opuścić miasta, to jest to także nasza wola". Przy odrobinie cierpliwości wątpiącym można by otworzyć oczy, pokazując, jak racjonalna jest ewakuacja. Ale zarazem był świadomy, że nie istnieje coś takiego jak idealna rewolucja. Tak radykalnego przewrotu nie można dokonać, nie popełniając błędów. Należało po prostu "przeprosić trochę", jeśli "zasadnicza część jest dobra".

Rewizja poglądów zaczęła się po powrocie. Jesień minęła wprawdzie na odczytach o Demokratycznej Kampuczy, w sumie 2330 słuchaczy w 39 miejscach. Zakiełkowało jednak w nim ziarno zwątpienia. Na przykład co do społeczeństwa bez pieniędzy, jakie spotkał. Piękna myśl,

lecz w praktyce czyniła z ludzi przywiązanych do ziemi niewolników. Nawet jeżeli w teorii miało być tak, że zawsze starczy dla wszystkich jedzenia i miejsca pod dachem, to ludziom trudno byłoby ruszyć się nawet z jednego kolektywu do drugiego. “To zakłada olbrzymie nadwyżki i sytuację, w której nie ma zbyt wielu drani wyzyskujących system". Jesienią 1978 świadectw uchodźców było coraz więcej. Znani na świecie zwolennicy Czerwonych Khmerów zmieniali stanowisko.

“Gromadzili świadectwa uchodźców, które nie stały w sprzeczności z tym, co widziałem. Oni nie twierdzili, że wszyscy przymierają głodem, ani nic takiego. Te opowieści poszczególnych zbiegów mogły się zgadzać z tym, co ja widziałem. To były takie rzeczy, które zdołałbym zauważyć tylko wtedy, gdybyśmy mogli pomieszkać dłużej w jakiejś kooperatywie. Że ludzie znikają po nocach, takie sprawy. I wtedy pomyślałem sobie: stop, nie dajmy się nabrać. To, co oni opowiadają, da się pogodzić z tym, co myśmy widzieli". Rok później Gunnar Bergström otrzymał pracę w kolektywie órttrask, w południowej Laponii.

Jako członek szwedzkiej partii komunistycznej, SKP, musiał ubiegać się o partyjne zezwolenie na opuszczenie Sztokholmu. Nie było wcale oczywiste, że je dostanie. Sztokholm zaliczał się do tak zwanych ważnych miejsc. Ale kolektyw Órttrask pracował z młodymi narkomanami, co uważano za “ważną działalność". Zgody na przeprowadzkę udzielono. “Ale wtedy już chciałem wystąpić z SKP. Postanowiłem nawet, że jak mi zabronią tam się przenieść, to i tak pojadę. A potem i tak wystąpiłem". Został w tym kolektywie przez dwanaście lat. Dlatego ominęło go wiele z publicznych rozliczeń z Czerwonymi Khmerami.

“Właściwie powinienem był aktywniej uczestniczyć w tej debacie, jakie z tego wszystkiego płyną wnioski. Po pierwsze, jeśli chodzi o samą Kambodżę, co się wydarzyło? A po drugie, na przyszłość, kiedy ktoś znowu tak bezkrytycznie w coś uwierzy?". Rozliczenie z Czerwonymi Khmerami musiał za to przeprowadzić sam z sobą. “Myliliśmy się co do recepty, ale nie co do samej wizji. I ja od tamtej pory borykam się z tym, jak tę wizję doścignąć, żeby to się w ten sposób nie wykoleiło. Już nigdy więcej nie zaakceptuję takich wyjątków od zasady wolności słowa i druku, od praw i wolności obywatelskich. Gdzieś od marksizmu do Lenina, już tam są wbudowane jakieś błędy, bo każdy kraj się wykoleił. Inna rzecz, że nie wszyscy poszli aż tak daleko, ale tak czy inaczej każdy kraj się wyłożył i jakieś wnioski z tego przecież należy wy-

ciągnąć. Ja w dalszym ciągu czuję się lewicowcem, ale to musi być możliwe bez popadania w skrajność, w tę absolutną przepaść, w którą myśmy wpadli. Więc się borykam z tym problemem wte i wewte. Wpadłem w pułapkę, ale jednak się z niej wydostałem".

Dodaje jeszcze: "Myślę, że jeden z pierwszych, którzy by po rewolucji wylądowali za kratkami, to sam Myrdal, jestem tego pewien. On chyba tego nie rozumie". Pytam, czego najbardziej żałuje w związku z tą podróżą. "Powinniśmy byli forsować tę sprawę z mężem Marity, zamiast się zachowywać tak typowo, jak w wielu innych kwestiach w tamtych czasach, że »o tym się nie mówi«. Ja wtedy miałem wrażenie, że ona nie chce o nim mówić, ale powinienem był stawiać sprawę jaśniej. Sama i tak przecież nie wytrzymała, pytała o niego, i ja na jej miejscu też bym to robił. Tyle że ja wtedy specjalnie nie łamałem sobie tym głowy, a ona zdawała się taka zdecydowana i bojowa. I oczywiście należało pomóc tym wszystkim, co prosili, żeby o kogoś pytać". Następuje krótka pauza. Odgłosy telewizora zza zamkniętych drzwi. "Co się stało, to się nie odstanie. Nie da się tego odwrócić, jednocześnie jasne, że człowiek opowiedział się po niewłaściwej stronie. I w zasadzie przyczynił się, choćby bardzo pośrednio, do ludobójstwa. Tylko co ja dziś na to poradzę?".

179.
[Jak migotanie białe]

To najskromniejszy ślub z możliwych. Żadnej ceremonii, tylko wzniesiony toast. Brzęk szklanek z sokiem pomarańczowym.
Pan młody: Pol Pot, lat 59.
Panna młoda: Meas, 11 lat.
Pozostali obecni: naczelny dowódca Son Sen, prezydent Khieu Samphan. Ktoś jeszcze, najwyżej parę osób. Gdyby prowadzono jakiś rejestr ślubów, zapisano by w nim "Trat 1984". Baza w Kambodży jest stracona po ostatniej wietnamskiej ofensywie. Ta, K-18, leży w Tajlandii. Bronią jej, czy może otaczają nadzorem oddziały tajskich komandosów. Nieco ponad dziewięć miesięcy później rodzi się córka Pol Pota. Otrzyma imię Sitha, po bohaterce słynnego religijnego eposu Reamker.

180.
[Baśń o stalowym pręcie]

Pewien chłopiec został adoptowany przez naczelnika kolektywu. Ten chłopiec miał dwanaście lat i był sierotą. W kolektywie dostał jedzenie, ubranie i rower. Naczelnik pytał czasem chłopca, w obecności innych członków kolektywu: “Kochasz swoją klasę? Kochasz swój naród? Kochasz Organizację? Miałbyś odwagę zmiażdżyć wroga?". Chłopiec odpowiadał na każde pytanie, że tak, a jego opiekun kiwał z uznaniem głową. Któregoś dnia naczelnik przyszedł po chłopca. Wziął go ze sobą na skraj wsi. Tam czekał żołnierz z więźniem. Więzień miał ręce związane na plecach i klęczał. Wychudzony i brudny. Naczelnik zwrócił się do chłopca, mówiąc: “Masz przed sobą wroga. To on zamordował twoich rodziców". Chłopiec nie ważył się nawet drgnąć. Wbił wzrok w ziemię.

Naczelnik powiedział: “Jeżeli nie masz odwagi zabić wroga stojącego przed tobą, to dlatego że sam jesteś wrogiem. Sprzeciwiasz się Organizacji". Chłopiec zrobił wtedy krok naprzód i wymierzył więźniowi policzek. Potem zdjął jeden sandał i bił więźnia po twarzy, aż ten zalał się krwią. Nazajutrz naczelnik znów przyszedł po chłopca. Znowu stanęli przed związanym więźniem. Naczelnik wręczył chłopcu stalowy pręt długości metra i powiedział: “Jeżeli nie masz odwagi go zabić, to sam jesteś wrogiem Organizacji". Wtedy chłopiec zatłukł więźnia. Odtąd naczelnik zabierał chłopca prawie co dzień. To był czas, kiedy wielu aresztowano. Czasem, kiedy chłopiec się nudził, sam szedł do naczelnika i pytał, czy nie przybył jakiś nowy więzień.

181.

Suong Sikoeun pamięta, jak pierwszy raz zobaczył Pol Pota. Nie przypomina sobie bliższych okoliczności, ale miał wtedy dziewiętnaście lat i był rewolucjonistą. To było jakieś spotkanie zakończone potańcówką. Pol Pot miał lat trzydzieści parę, właśnie wrócił z Paryża i tańczył l'occidentale, to znaczy z ręką wokół talii partnerki. Pamięta go doskonale: “Bardzo wytworny, bardzo elegancki!". Dziś Suong Sikoeun mieszka po sąsiedzku, przez drogę, z bratankiem Pol Pota, lecz z dala od Paryża i Pekinu. Z dala od szczytów kariery. Siedzi w cieniu, pod swoim domem na palach, na składanym krześle. Pierwsze, co robi po podaniu mi ręki, to rozpina koszulę. Twarz ma odcień szarości, a przez mostek przebiega długa, jasnoróżowa blizna - niedawno, dzięki “finansowemu wsparciu ze strony dawnych przyjaciół", przeszedł w Phnom Penh operację. Serce bije z mozołem. Na niskim stoliku obok niego leży francuski ..L'Express" i “Cambodia Daily". Ubogo tu i pełno kurzu, a

oni wszyscy wciąż są tutaj. Jak bratanek Pol Pota, Hong, po sąsiedzku, przez drogę. Jak Suong Sikoeun, siedzący pod domem na składanym krześle i czujący, jak mu szwankuje serce. Jak jego żona, która podaje nam kawę ugotowaną na deszczówce. Jego życie to opowieść o ambitnym i zdolnym Kambodżaninie, rocznik 1937. Dom jego rodziców stał nieopodal Kratie, we wschodniej Kambodży. Jego kuzyn przewodził lokalnej falandze Khmer Issarak, zbrojnego ruchu oporu przeciwko kolonialnej Francji.

Szybko stało się jasne, że mały Sikoeun ma głowę do nauki. Jako pierwszy ze wsi dostał się do gimnazjum i znalazł się w internacie w Kompong Cham, stolicy sąsiedniej prowincji. Tam w czasie wolnym uczestniczył w grupie tanecznej prowadzonej przez jednego z nauczycieli, starszego o pięć lat Hu Nima. Hu Nim był dużo później ministrem informacji Pol Pota i został stracony w 1977. Ale oni nie rozmawiali o polityce. Wtedy nie. Wtedy tańczyli. W gimnazjum uczyli się o rewolucji francuskiej. Suong Sikoeuna fascynowała postać Robespierre'a. Jego bezkompromisowość. “Zająć wyraźne stanowisko, nie iść na żadne kompromisy. Niczego nie robić połowicznie". Mówi, że to była postawa imponująca młodemu człowiekowi. “Zrobiłem z tego coś w rodzaju prywatnej ideologii".

Przyznaje, że dopiero czterdzieści lat później zrozumiał, że ta polityka nie sprawdza się w Kambodży. Ale całe lata, wszystkie te lata wcześniejsze, poświęcił bezkompromisowej rewolucji.

182.

Granice zostały zamknięte. Linie telefoniczne zerwane. Telegrafy umilkły. Co się działo w tym kraju zwycięskiej ludowej rewolucji? W praktyce istniały tylko dwa źródła informacji. Jedno to oficjalne radio Demokratycznej Kampuczy. Drugie to ludzie, którym udało się zbiec do Tajlandii. Problem w tym, że te dwa źródła nie były zgodne. Według oficjalnych doniesień kraj stawiał czoło poważnym trudnościom, ale szybko je przezwyciężał. Uciekinierzy, z drugiej strony, opowiadali o głodzie, niewolniczej pracy i masowych mordach. Świat się wahał.

Co sądzić? Wielu komentatorów spodziewało się rzezi przy zdobywaniu Phnom Penh, ale miasto zajęto prawie bez walki. Mogło to świadczyć o tym, że Czerwoni Khmerzy nie są tacy krwiożerczy, jak utrzymywali niektórzy. Inna rzecz to doraźne egzekucje, które zdaniem

większości były nieuniknione. Gdy sytuacja już okrzepnie, one też ustaną. Ale ewakuacja miast? Co można o niej powiedzieć? Czy to “marsz śmierci", jak twierdzili uchodźcy? Czy dobrze zorganizowana i racjonalna akcja, jak utrzymywał reżim? Czy ci uchodźcy to przypadkiem nie są zepsute mieszczuchy i rządowi żołnierze, którzy zbiegli przed sprawiedliwą chłopską rewolucją?

Ponieważ agencje informacyjne nie mogły mieć w Demokratycznej Kampuczy własnych korespondentów, wciąż krążyły te same skąpe wiadomości. Pogłoski i domysły podnoszono czasem do rangi prawd. Na przykład “Sydney Morning Herald" opublikował w maju 1976 zdjęcia Czerwonych Khmerów, którzy rozstrzeliwują cywilów. Te fotografie były jednak sfałszowane. Podobnie głośny włoski wywiad z głową państwa, Khieu Samphanem, okazał się wyssany z palca. Doniesienia kontrolowano skrupulatnie, i z lewa, i z prawa. Obie strony starały się zdyskredytować informacje przeciwników. Czy pozytywne artykuły nie były idealizowaniem komunistycznej dyktatury, która wpadła w amok?

Czy negatywne raporty nie były próbami oczernienia ludowej rozprawy z kapitalizmem? Tę debatę na całym świecie żywił ten sam cienki strumyczek doniesień. Szwedzcy dyskutanci mogli więc czerpać argumenty równie dobrze z Francji, jak z USA. Ostatecznie chodziło nie tyle o to, co się mówi, ile o to, komu należy wierzyć.

183.

Słynny amerykański lingwista Noam Chomsky włączył się do debaty o Demokratycznej Kampuczy w czerwcu 1977. Podczas wojny USA w Wietnamie występował jako jeden z jej najostrzejszych krytyków. Retorycznie sprawny językoznawca bardzo skutecznie podważał zarówno rządową, oficjalną wersję, jak i medialny obraz wojny. Wspólnie z Edwardem S. Hermanem napisał teraz analizę trzech książek traktujących o kambodżańskiej rewolucji. Artykuł nosił tytuł “Przeinaczenia z czwartej ręki”. Książki, które poddali krytyce, to: Cambodia: Starvation and Revolution, Murder of a Gentle Land i Cambodge: L'année zéro.

W 1977 rewolucja miała dopiero dwa lata. Te trzy pozycje należały do pierwszych, jakie opublikowano o Demokratycznej Kampuczy. Miały one tym większe znaczenie, że informacje o tym, co się dzieje w kraju, były tak skąpe. Te publikacje próbowały osadzić skrótowe depesze w jakimś szerszym kontekście. Owe trzy książki przedstawiały jed-

nak dwa diametralnie różne obrazy Demokratycznej Kampuczy. "*Cambodia: Starvation and Revolution*" została napisana przez dwóch amerykańskich znawców Azji Południowo-Wschodniej, Garetha Portera i George'a C. Hildebranda, i opublikowana przez małe marksistowskie wydawnictwo. Na 126 stronach opisuje się politykę Czerwonych Khmerów jako, z grubsza biorąc, słuszną i racjonalną. Porter i Hildebrand opierali się w dużej mierze na własnych doniesieniach reżimu. Książkę "*Murder of a Gentle Land*" napisali John Barron i Anthony Paul. Amerykańscy dziennikarze z konserwatywnego miesięcznika "Readers Digest", gdzie tekst pierwotnie został opublikowany. Większość swojego materiału zaczerpnęli z raportów uchodźców. Mówi się tu o ludobójstwie, nieludzkich cierpieniach i marszach śmierci z wyludnianych miast.

Także katolicki misjonarz François Ponchaud przeprowadził wywiady z uchodźcami. "*Cambodge: L'année zéro*" składa się przede wszystkim z ich opowieści, ale w odróżnieniu od amerykańskich dziennikarzy z "*Reader's Digest*" misjonarz nie potrzebował tłumacza. Po dziesięciu latach pracy w Kambodży mówił płynnie po khmersku. W analizie tych trzech książek Noam Chomsky i Edward S. Herman skoncentrowali się na źródłach, z jakich czerpali autorzy. Zaczęli od pracy Portera i Hildebranda. Było to "solidnie udokumentowane studium zniszczenia Kambodży przez USA, podnoszenia kraju z ruin przez kambodżańskich rewolucjonistów oraz pozytywny obraz ich programu i polityki, oparty na dużej liczbie źródeł".

Następnie przyszła kolej na dziennikarzy z "*Reader's Digest*". Książka "*Murder of a Gentle Land*" została zbyta jako trzeciorzędna propaganda. "*Reader's Digest*" uchodził za periodyk antykomunistyczny i to już rzutowało na charakter jego publikacji. Barron i Paul głosili między innymi, że Khieu Samphan jest impotentem i że gwałtowność Czerwonych Khmerów bierze się w gruncie rzeczy z jego seksualnej frustracji.

Francois Ponchauda potraktowano z nieco większym respektem. Ale Chomsky i Herman znaleźli tam kilka faktograficznych błędów, które ich zdaniem podważały wiarygodność autora. Fakt, że ostatnie dwie książki opierały się na relacjach uchodźców, stanowił według nich poważny problem. Jeśli chce się korzystać z relacji uchodźców, trzeba to, zdaniem Chomsky'ego i Hermana, robić bardzo ostrożnie.

Po pierwsze, uchodźcy mogą mieć wiele powodów, żeby w swych zeznaniach przesadzać. Wszak muszą uzasadnić swoją prośbę o azyl. Po drugie, podawane przez nich informacje są prawie niemożliwe do sprawdzenia. Wniosek z tego taki, że Porter i Hildebrand dają prawdziwszy obraz rewolucji niż pozostałe dwie książki. Zwycięża twarda oficjalna statystyka przeciwstawiona miękkim i uwikłanym w sprzeczności świadectwom uchodźców.

Jednak ten głos Chomsky'ego i Hermana nie był ostatnim słowem w dyskusji. Obie opowieści pozostały. Z jednej strony zwycięska chłopska rewolucja, z drugiej - komunistyczne państwo terroru. Debata toczyła się dalej, przynosząc nowe głosy i repliki. Jej temperatura wzrastała. "Gdy jakiś uchodźca opowiada, że widział w Kampuczy pociągi z ludźmi upchanymi jak sardynki, to newsem staje się tłok, a nie to, że zniszczone przez wojnę koleje w Kampuczy najwyraźniej już odbudowano". Hedda Ekerwald pisze o medialnym obrazie Czerwonych Khmerów w pierwszym numerze gazetki Towarzystwa Przyjaźni, "Kampucza". Krytyka sposobu, w jaki zachodnia prasa przedstawia rewolucję, będzie potem stałym tematem na łamach pisma. Hedda jest jedną z tych, którzy swoje teksty sygnują własnym nazwiskiem. Inni wolą pisać pod pseudonimem. Czyżby nie mieli odwagi otwarcie udzielić poparcia tej najbardziej radykalnej rewolucji naszych czasów? Czy może uważają, że są częścią tej samej walki co Pol Pot, nacechowanej pasją do kryptonimów i konspiracji?

To, że trwała kampania prasowa przeciwko Czerwonym Khmerom, dla ich zwolenników nie ulegało wątpliwości. Takie przekonanie wyraził sam książę Sihanouk już parę tygodni po rewolucji 1975. Wtedy, gdy jeszcze stał na czele zwycięzców, potępił w "Le Monde" to, co uznawał za jednostronne, negatywne dziennikarstwo. W swoim artykule Hedda Ekerwald wyjaśnia te mechanizmy: "Serwis informacyjny o Kampuczy jest znakomitym przykładem, jak funkcjonują imperialistyczne mass media. Sposób ich działania jest stosunkowo niezależny od »dobrej czy złej woli« poszczególnych dziennikarzy. Gazety to jednostki gospodarcze, które konkurują nie za pomocą informacji, tylko »newsów«. Nie jest istotne, czy dany news jest prawdziwy, tylko czy jest aktualny. [...] Przy jakimś zdarzeniu najwięcej szpalt w gazetach dostaje agencja, która jako pierwsza znajdzie się na miejscu i wyśle tekst i zdjęcia. Lądują one na pierwszych stronach, gdy zdarzenie jest

aktualne. Podczas wojny USA z Wietnamem, Laosem i Kampuczą znaczyło to, że wersja jednej ze stron konfliktu docierała do prasy jako pierwsza. Dopiero później pojawiały się prawdziwe raporty, ale wtedy to już nie były newsy. Ten, kto przychodzi pierwszy, trafia na czołówki gazet i do dzienników telewizyjnych, natomiast przychodzący później trafia na wewnętrzne strony, do artykułów w periodykach albo emitowanych późną porą programów radiowych i telewizyjnych". I dalej: "Dziennikarze z zachodniej prasy codziennej są, tak samo jak ty i ja, przesiąknięci imperialistycznym sposobem patrzenia na ludy Trzeciego Świata. Na skutek wielu różnych wpływów, jakim byliśmy poddawani od wczesnego dzieciństwa, łatwiej nam dziś traktować te narody jako upośledzone względem nas niż jako równouprawnione. Będziemy jednak zmuszeni zmienić swój sposób patrzenia na walkę Trzeciego Świata o nowy ład ekonomiczny, podobnie jak kiedyś zmieniła nas dekolonizacja. Medialna nagonka na Kampuczę sprawia, że zapomina się o krwawej wojnie USA i o zwycięstwie wolnych ludów. Ta kampania prasowa służy także jako osłona dla kontrrewolucji. Podkopuje ona morale w szeregach ruchu antywojennego w Stanach, wśród tych setek tysięcy ludzi, którzy zwycięstwo ludów Wietnamu, Laosu i Kampuczy uznają za własne. Ruch antywojenny w Stanach Zjednoczonych jest traktowany przez władze jako zagrożenie. Należy go rozbić i osłabić moralnie, zanim skieruje swoją aktywność na stosunki panujące w USA. Kampucza jest niebezpieczna dla zachodnich koncernów prasowych i agencji informacyjnych, stanowi bowiem bezpośrednie zagrożenie dla ich ekonomicznych i politycznych fundamentów. Kampucza jest, z drugiej strony, wzorem dla wszystkich krajów Trzeciego Świata dzięki swojej konsekwentnej gospodarczej i politycznej niezależności oraz dzięki swojej antyimperialistycznej polityce zagranicznej, solidarnej z Trzecim Światem.

Kissinger, osobiście współodpowiedzialny za amerykańską agresję na Kampuczę, tę wojnę, która pochłonęła około 800 tysięcy ludzkich istnień, wyraził ubolewanie nad cierpieniami, jakie ludowi tego kraju zadają Czerwoni Khmerzy. Nie wystarczy wykrzywić się z pogardą nad takim cynizmem. Musimy zapewnić sobie dostęp do wiarygodnych informacji i z tej pozycji domagać się od codziennych gazet rzetelnego informowania o Kampuczy!".

185.

Dostaję list. W liście jest kserokopia pewnego rysunku satyryka Larsa Hillersberga. Tytuł rysunku brzmi: “Członkowie Szwedzko-Kampuczańskiego Towarzystwa Przyjaźni wybierają się do Kampuczy, zakupiwszy niezbędne wyposażenie". W tle widać samolot, na pierwszym planie pięć osób z walizkami. Postać stojąca z przodu ma Myrdalowskie wąsy. Pięciu mężczyzn, bez Heddy i bez Marity. Wszyscy mężczyźni mają założone końskie klapki na oczy - to one, jak się zdaje, są tym “niezbędnym wyposażeniem". Nadawcą listu jest Bengt Albons, korespondent dziennika “Dagens Nyheter" w Phnom Penh w 1975. Kilka dni przed wkroczeniem Czerwonych Khmerów opuścił miasto. Z obawy o swoje życie. W następnych latach wielokrotnie pisał o sytuacji w Demokratycznej Kampuczy. Głównie zwyczajne doniesienia prasowe, czasami głębsze analizy. Wcześniej był członkiem zarówno F N L, jak i Clarte, i znał tak Maritę Wikander i Heddę Ekerwald, jak i Jana Myrdala, i Gunnara Bergströma. Spotykamy się w jego biurze w redakcji “Dagens Nyheter". To mała klitka zawalona książkami i papierami. Dziennikarz opowiada o swoich ostatnich dniach w Phnom Penh, o śmiertelnym strachu i o Stadionie Olimpijskim pełnym przymierających głodem uchodźców. A potem o powrocie pięć lat później, w marcu 1980. O ocalałych Kambodżanach, rozkopujących masowe groby w poszukiwaniu złotych zębów. Rozmawiamy o medialnym obrazie Demokratycznej Kampuczy. Tym, który Noam Chomsky i Towarzystwo Przyjaźni uznali za tak stronniczy i zmanipulowany. Wzdycha ciężko. “Niestety, nie mogę powiedzieć, że wszystko to, co sam pisałem, było zawsze kryształowe".

A następnie z emfazą, chociaż może bardziej do siebie niż do mnie:

“Jak można być takim cholernym idiotą? To jest największy błąd w mojej karierze, że nie dość serio traktowałem opowieści uchodźców z Kambodży! To przez ten mój bagaż z czasów FNL".

186.

[Widziałam to, co widziałam]

Ming Teng porusza się po pokojach z pewną naturalną swobodą. Jej przyjaciółki w rozmowie ze mną podkreślają, że była kiedyś bardzo piękna. Uderza mnie przede wszystkim jej bezpośredni sposób bycia. Tak bardzo odróżniający ją od innych Kambodżanek w jej wieku. Sie-

dzimy w jakiejś szopie w Kampot, gdzie robią jej manikiur i pedikiur. Obecnie mieszka w USA, ale często odwiedza ojczyznę. Noc zapadła nad małym miasteczkiem nad rzeką, między morzem a górami. Ulice są prawie puste. W naszej szopie świeci na ścianie samotna jarzeniówka. Ona jest jedną z tych, których spotykam w trakcie moich wojaży po zniszczonych drogach i zakurzonych miasteczkach. Jedną z tych, którzy chcą mi opowiedzieć swoją historię. Tego typu świadectwa mają małą wartość naukową. Nie reprezentują żadnej określonej grupy, tylko same siebie. Nie wybierałem ich ze względu na wiek, pochodzenie czy to, gdzie spędzili lata 1975-1979. Nie wysłuchuję ich, żeby wyjaśnić jakąś sekwencję zdarzeń lub okoliczności. Tylko przypadkiem jestem tam, a oni mają ochotę mówić. Zamiast zadawać jakieś dalsze pytania, milczę. Ming Teng opowiada, że urodziła się w Kompong Speu, w zachodniej Kambodży, i że jej rodzice pochodzili z Chin. Należy do tak zwanych Sino-Khmerów. Nazywano ich czasem Żydami Indochin. Przez wieki funkcjonowali jako miejscowi lichwiarze i kupcy. Jako grupa mają opinię przedsiębiorczych i zamożnych. Populacja Sino-Khmerów w Kambodży, około 435 tysięcy osób, była solą w oku rewolucji. Napiętnowano ich jako kapitalistów, nieważne, czy byli bogaci, czy nie. Ponadto uważano ich za obcokrajowców, nawet tych osiadłych od wielu pokoleń. Zakazano im mówić we własnym języku. Oblicza się, że w latach 1975-1979 zginęło 50 procent Sino-Khmerów. Kiedy Ming Teng dorosła, przeprowadziła się do krewnych w Phnom Penh. W roku 1975 miała dwadzieścia osiem lat, męża i dwoje dzieci. "Kiedy przyszli Czerwoni Khmerzy, pracowałam w jednej cegielni w Phnom Penh. Przedtem mieli bardzo dobrą opinię. Jeśli zakradli się do jakiejś wsi i zabrali tamtejszym chłopom paprykę czy cytronelę, to zawsze zostawiali pieniądze. Nie wiem, czemu tak później się zmienili, czemu zmuszali nas do takiej ciężkiej pracy. Nie sądzę, żeby przywódcy naprawdę wymagali tyle, ile żądali od nas niżsi partyjniacy.

Kiedy przyszli do Phnom Penh, kazali nam od razu opuścić miasto, bo Amerykanie mają bombardować. Ja powiedziałam, że nie będą wcale bombardować, i nie chciałam iść. Wtedy mi zagrozili bronią. Nie wolno było niczego ze sobą brać, bo to miało potrwać tylko trzy dni. Kazali mi wracać do mojej rodzinnej wioski. Mój brat trafił do Czerwonych Khmerów w 1972. Poszedł do lasu przynieść drewno, kiedy go wzięli do niewoli. Spotkałam go potem w Kompong Speu. Nie dostawaliśmy tam do jedzenia ryżu, tylko krupy pszeniczne. Nie dało się ich

zmiękczyć gotowaniem i mój synek płakał, bo złapały go skurcze żołądka. Mój mąż cały opuchł, bo w jedzeniu nie było witamin.

W Kompong Speu musieliśmy karczować las i uprawiać maniok i banany. W październiku powiedzieli nam, że mamy być przeniesieni. Ja byłam w ciąży, a mój mąż był chory. Przewieźli nas do Kompong Chnang, chińską ciężarówką - mogłam przeczytać, jaka to marka, Żółta Rzeka. Musiałam przenieść dzieci i męża z ciężarówki do pociągu. Tam wszędzie była woda, więc zaniosłam ich na jeden wzgórek. Widziałam wtedy chińskich ekspertów pracujących przy kolei. Mój mąż zapytał ich, dlaczego nam nie pomogą, swoim chińskim krajanom. Odpowiedzieli, że głowy mamy pod kambodżańskim niebem, a stopy na kambodżańskiej ziemi. To oznaczało, że mamy robić to, co nam każą Kambodżanie. Od tamtej pory nienawidzę Chin. Po trzech dniach czekania powieźli nas pociągiem do Svay Sisophon. Potem wozem, ciągniętym przez woły, do jakiejś wsi. Musiałam iść obok wozu, bo powiedzieli, że mogę poronić, jak będę się tłuc po tej wyboistej drodze. Wtedy mój mąż, bardzo chory, też odmówił jechania na wozie. Dzieci nam się zgubiły, więc przepłakałam całą noc. Miały wtedy po pięć i sześć lat. Potem na szczęście się znalazły. Mój mąż był bardzo osłabiony i mówił, że najlepiej będzie umrzeć. Powiedziałam wtedy, że akurat jesteśmy na dole, ale życie kołem się toczy - kiedyś znowu będziemy na wierzchu.

A on na to, że przecież był w Chinach i widział komunizm. Mówił, że wie, jak to wygląda. Przez pięć czy sześć miesięcy mieszkaliśmy we wsi P'ean Tmal. Tam było trochę lepiej, ale mąż zmarł z głodu w listopadzie 1975. Dwadzieścia dwa dni później urodził się mój najmłodszy syn. Potem wysłali nas do Thma Kaul, na zachodzie. Blisko gór. Życie tam było bardzo nędzne. Musiałam chodzić bardzo daleko po wodę. Raz, kiedy przyniosłam wodę, usłyszałam z domu płacz mojego synka. Pobiegłam do niego. Gdy się nim zajmowałam, obok przechodził ktoś z rybą. Ten ktoś nie pomyślał, że woda, która tam stoi, jest czysta, świeżo przyniesiona, i umył w niej rybę. Ja tego nie zauważyłam, więc później wzięłam tę wodę i wlałam do dużej bani z wodą do picia. Oskarżyli mnie, że próbuję wytruć ludzi we wsi. Wściekłam się, bo przecież nie zrobiłam niczego umyślnie. Przyszedł miejscowy szef partii i też mnie oskarżył. Ale wtedy wstali trzej starsi kambodżańscy doktorzy, praktykujący medycynę naturalną, i zaświadczyli, że jestem dobrym człowiekiem. Powiedzieli, że jeśli ja jestem wrogiem, to oni też

są. I jeśli mam zostać zabita, to ich też muszą zabić. Szef partii powiedział wtedy, że tym razem daruje mi życie. Ale nie był zadowolony, bo mu się sprzeciwiłam.

W 1977 mieliśmy bardzo mało żywności. Pracowałam przy jednej grobli i nosiłam ziemię. Dzieci były chore i zrozumiałam, że muszę spróbować współpracować z Czerwonymi Khmerami, żeby polepszyć naszą sytuację. Mieliśmy wtedy nowego naczelnika, który mnie lubił, bo bardzo ciężko pracowałam. Dał mi robotę przy krojeniu materiału na ubrania, bo kiedyś się tym zajmowałam. Nikogo nie uczyłam, jak to robić, bo wymyśliłam sobie, że póki tylko ja jedna to umiem, to mnie nie będą mogli zabić. W Phnom Penh nauczyłam się kiedyś trochę wietnamskiego. Dlatego rozumiałam, co mówili w radiu w 1979. Czerwoni Khmerzy mnie pytali, czy rozumiem, ale wyczułam w tym pułapkę i się nie przyznałam.

A oni spakowali cały ryż, zarżnęli krowy, świnie i kurczaki. Któregoś dnia, przed nadejściem Wietnamczyków, wszyscy Czerwoni Khmerzy zniknęli. Wzięli ze sobą młodych nieżonatych mężczyzn i niezamężne kobiety. Nie bałam się Wietnamczyków. Nie byli brutalni, chociaż później zabrali z magazynów wszystko, co zgromadzili Czerwoni Khmerzy. Pytali mnie, czy nie chcę z nimi jechać na południe, ale dali mi tak mało czasu na spakowanie, że musiałam odmówić. Potem Czerwoni Khmerzy odzyskali wioskę. Przesłuchiwali nas, czy jesteśmy sympatykami Wietnamu. Powiedziałam, że nie - gdybym była po stronie Wietnamu, to bym przecież uciekła razem z Wietnamczykami, kiedy się wycofywali! Ale jak potem Wietnamczycy znowu odbili wioskę, to wyjechałam od razu.

Najpierw do Svay Sisophon. Na drodze leżało wielu zabitych, którzy weszli na miny. Szliśmy po trupach, bo wymyśliliśmy, że tak będzie bezpieczniej, niż mijać je bokiem, gdzie mogło być więcej min. Oprócz trójki swoich dzieci miałam ze sobą dwóch małych bratanków i bratanicę. Musiałam wyglądać jak jakaś kwoka z kurczętami. Udało mi się skontaktować z ojcem, który był w Battam-bang. Mama zmarła parę miesięcy wcześniej. Czyli za Pol Pota straciłam męża, matkę i jednego szwagra.

W 1979 usłyszeliśmy, że Tajlandia otworzyła granicę, więc próbowaliśmy się tam dostać. Jednak Tajlandczycy odwieźli nas do obozu Czerwonych Khmerów. Udało nam się uciec, ale zbłądziliśmy w lesie.

To był koszmar. Błąkaliśmy się przez trzy doby, aż w końcu usłyszeliśmy pianie koguta. Ten głos koguta zaprowadził nas do tajskiej wioski. Tam było dobrze, dopóki nie przyszli tajscy żołnierze. Ci byli najgorsi ze wszystkich. Gwałcili nas, bili, pozabierali nasze rzeczy. Potem nas znów odwieźli do Czerwonych Khmerów. Później udało nam się dostać do obozu dla uchodźców. Miałam krewnych, którzy wcześniej uciekli do Francji, więc chciałam tam. Ale Francuzi długo z tym zwlekali, dlatego kiedy pojawiła się możliwość wyjazdu do USA, to skorzystałam. To było straszne. Ja z trójką małych dzieci, bez języka, nie znałam tam nikogo".

Siedzi w milczeniu dłuższą chwilę. Kobieta u jej stóp maluje jej paznokcie na kolor lilaróż. "Nie mogę wszystkiego opowiedzieć. Jak o tym mówię, to mnie ogarnia straszny żal, bo wtedy powracają te wspomnienia".

187.

W książce, która zyskała uznanie w oczach Chomsky'ego i Hermana, "*Cambodia: Starvation and Revolution*", czytamy między innymi:

"Wyprowadzenie ludności z Phnom Penh uratowało bez wątpienia życie wielu tysiącom Kambodżan [...] to, co przedstawiano jako destruktywną i wsteczną politykę, motywowaną doktrynalną nienawiścią, było w istocie racjonalnie opracowaną strategią, rozwiązującą nabrzmiałe problemy, w obliczu których kraj stanął po wojnie".

188.

MIMO ZMĘCZENIA MUSISZ STALE PODĄŻAĆ NAPRZÓD!

Jesienią 1976 rozwój sytuacji w Demokratycznej Kampuczy jest przedmiotem debaty w Szwedzkim Radiu. W dyskusji bierze udział Birgitta Dahl, wówczas członkini Riksdagu z ramienia socjaldemokratów. Potem została przewodniczącą parlamentu. Wtedy, półtora roku po przejęciu władzy przez Czerwonych Khmerów, mówiła: "Wszyscy przecież wiemy, że wiele, może nawet większość tego, co teraz opowiada się i wypisuje o Kambodży, to kłamstwa i spekulacje. Ewakuacja Phnom Penh była bezwzględnie konieczna. Koniecznie należało szybko uruchomić produkcję żywności, a to wymagało od ludności wielkich ofiar. Ale przecież nie to stanowi dzisiaj nasz problem. Problem leży w tym, że istotnie brak nam informacji, bezpośrednich świadectw, aby odeprzeć wszystkie kłamstwa rozsiewane przez wrogów Kambodży".

190.

Wyjmuję fotografię Sok Rima. Suong Sikoeun musi coś wiedzieć. Bądź co bądź był odpowiedzialny za delegacje składające wizyty. Musi wiedzieć, kto je oprowadzał po kraju. To, że Ok Sakun nie żyje, nie jest dla niego nowością: “Zmarł w Paryżu, dwa lata temu. Na raka". Zdjęcie Sok Rima jest zamieszczone w gazetce “Kampucza", w numerze poświęconym podróży Szwedów, który wziąłem ze sobą. Stoi, pozując obok szwedzkiej delegacji, razem z Ok Sakunem, szoferami i kucharkami. Wszystkiego razem trzynaście osób - całe podróżujące towarzystwo, które przejechało ponad tysiąc kilometrów przez Demokratyczną Kampuczę, oprócz Marity Wikander, która robi zdjęcie. Sok Rim ma chyba około czterdziestki, okrągła, nieco jowialna twarz pod daszkiem czapki. “Ten tu?", pyta Suong Sikoeun, wskazując zamazany uśmiech Sok Rima. Kręci głową przecząco. “Nie, nie wiem, co się z nim stało. Ale zdaje się, że on pochodził z sektora wschodniego, więc szanse, żeby przeżył, są raczej niewielkie". Uśmiecha się krzywo. Potem kartkuje dalej, do strony za środkową rozkładówką, gdzie zamieszczono wywiad Szwedów z Pol Potem. Na towarzyszącym mu zdjęciu Pol Pot siedzi w szarym, urzędniczym mundurze. Po lewej stronie Gunnar Bergström, w krawacie, z podwiniętymi rękawami koszuli. Dalej Jan Myrdal w swojej szarej marynarce. Następnie Hedda Ekerwald w ciemnej sukience i Marita Wikander w białej bluzce i kraciastej spódnicy. Po prawej ubrany na czarno minister spraw zagranicznych Ieng Sary. Na niskich stoliczkach porcelanowe filiżanki. Z herbatą? Kawą?

U sufitu błyszczy kryształowy żyrandol. Za fotelem Pol Pota, trochę niewyraźnie, widać postać tłumacza. Suong Sikoeun zamiera, przygląda się bliżej. “To przecież ja! Widzicie? Nie przypominam sobie, żebym tłumaczył dla Szwedów". Przywołuje żonę i podsuwa jej gazetę. “Popatrz, to ja. Prawda?". Oboje patrzą na zdjęcie, a potem na siebie nawzajem, on z dumą, ona z podziwem.

Wiosną 2005 w budynku ABF w Sztokholmie odbywa się debata o rewolucjach w Kambodży i Wietnamie. W dyskusji bierze udział Birgitta Dahl. Mówi: “To kłamstwo, że popieraliśmy Pol Pota".

192.

Nie co dzień słyszy się katolickich misjonarzy chwalących Czer-

wonych Khmerów. Ale też François Ponchaud nie przypomina typowego katolickiego misjonarza. "Chciałbym zupełnie szczerze podziękować Pol Potowi za to, że zburzył katolicką katedrę w Phnom Penh. Bardzo dobrze się stało". Książkę François Ponchauda "*Cambodge: L'-année zéro*" opublikowano w 1977. Zachodni zwolennicy Czerwonych Khmerów poddali ją ostrej krytyce, ale stała się swego rodzaju punktem zwrotnym. W niezbyt obszernym tomie François Ponchaud opisał sytuację w Demokratycznej Kampuczy, opierając się na opowieściach uchodźców i oficjalnych doniesieniach. Ton jest rzeczowy i z perspektywy lat książka imponuje. Mimo że była pisana w chaotycznym okresie, niemal bez dostępu do bezstronnej informacji, stanowi w zasadzie adekwatny opis rewolucji Czerwonych Khmerów. W swoim czasie odbiła się głośnym echem. Zanim w roku 1975 François Ponchaud w ostatnim konwoju białych został wywieziony z Kambodży, przemieszkał w tym kraju dziesięć lat. Mówił płynnie po khmersku i długie okresy spędzał na prowincji. Chłopskiemu synowi odpowiadał taki tryb życia. Po książce stał się niechętnym liderem tych, którzy potępiali Pol Pota. "Cały czas miałem nadzieję, że rewolucja zwycięży, nie z przyczyn ideologicznych, tylko dlatego, że reżim Lon Nola był doszczętnie skorumpowany. Nie pozostawiał cienia nadziei. Jedyną nadzieję na przyszłość dawało zwycięstwo Czerwonych Khmerów. Wiedzieliśmy, że rewolucja będzie brutalna, ale nie sądziliśmy, że aż tak. Myślałem sobie, że teraz bywają bezwzględni, lecz po zwycięstwie przecież złagodnieją".

Siedzimy w budynku misji katolickiej na peryferiach Phnom Penh. Francois Ponchaud już dawno temu tu wrócił, do swojej drugiej ojczyzny. W porównaniu z tym, co było kiedyś, dziś jego kościół cienko przędzie. W latach sześćdziesiątych w mieście istniało mnóstwo kościołów. Ale ta wielka katedra to, według niego, była ohyda. "To kompletny idiotyzm postawić olbrzymią katedrę naprzeciwko Wat Phnom, najświętszego miejsca Kambodży. Sięgała wysokości stupy na Wat Phnom. Kambodżanie jej nie znosili. Poza tym większość chrześcijan w Phnom Penh to Wietnamczycy.

Kiedy tu przyjechałem pierwszy raz, w 1965, francuscy księża mawiali, że skoro tylko Kambodża otrzyma nacjonalistyczny rząd, katedra zostanie zburzona. To całkiem zrozumiałe, że zburzyli właśnie ją - i nie zniszczono żadnych innych francuskich czy europejskich budow-

li!". Według Francois Ponchauda jego książka powstała przypadkiem. Po deportowaniu wszystkich cudzoziemców z kraju on wrócił do Francji. Coraz bardziej irytowały go wszelkie niedorzeczności o Kambodży publikowane we francuskiej prasie. W końcu, zniecierpliwiony, napisał list do "*Le Monde*", w którym wytknął im szereg oczywistych błędów. Kilka dni później zadzwonił redaktor naczelny "*Le Monde"*. Poprosił go o napisanie trzech tekstów traktujących o jego doświadczeniach z Czerwonymi Khmerami. Kiedy gazeta zorientowała się, jak szeroką wiedzą dysponuje, włączono w ten projekt wydawnictwo. "Nie byłem żadnym aktywistą, nie miałem politycznych poglądów, które bym chciał propagować. Usiłowałem tylko być uczciwy i stać po stronie narodu Kambodży. To wszystko". Przez jego małe biuro przechodzą ciągle rzemieślnicy. Jedna półka jest zapełniona książkami o Kambodży i Czerwonych Khmerach. Stoją tam także segregatory z korespondencją. Między innymi kilka długich listów od Noama Chomsky'ego, datowanych w latach 1977 i 1978. "Noam Chomsky napisał, że moja książka jest *quite interesting* ale że on podczas lektury znalazł w niej około dwudziestu błędów. Odpowiedziałem, że owszem, książkę napisałem w 1976 i nie jest wykluczone, iż zakradło się tam trochę nieścisłości. Pod paroma względami mogłem się pomylić. A on to potraktował jako przyznanie z mojej strony, że książka nie jest zgodna z prawdą. Tylko że ja się nie myliłem w żadnym zasadniczym punkcie. Niestety, wypada dodać. Ani wtedy, ani teraz nie można powiedzieć, że ta książka jest niezgodna z prawdą. Tymczasem w tym, co on pisał, były poważne błędy".

Taktyka Noama Chomsky'ego rozpowszechniła się wśród sympatyków Czerwonych Khmerów na Zachodzie. Jeśli jakieś świadectwo zawierało kilka błędów faktograficznych, całą opowieść odrzucano jako kontrrewolucyjną propagandę. "W 1978 roku zostałem zaproszony do Oslo na publiczne przesłuchanie w sprawie Demokratycznej Kampuczy. Dosyć brutalnie mnie zaatakowano i kolportowano pewien artykuł, w którym moją książkę zmieszano z błotem. Następnie przeprowadził ze mną wywiad Torben Retboll. Powiedziałem znowu, całkiem szczerze, że niewykluczone, że się w paru punktach pomyliłem. Bo całkiem bezbłędnie i szczegółowo opisać rewolucję, czy to kambodżańską, czy francuską, to nie takie proste. Na drugi dzień w gazetach przeczytałem, że »Ponchaud przyznaje, że się mylił«. Mówiąc szczerze, z ludźmi tego pokroju, z tymi maoistami, nie dało się sensownie dyskutować". Rewo-

lucja odniosła zwycięstwo i przegrała. Francois Ponchaud dalej zajmuje się tym, co pozostało. Między innymi jest osobiście zaangażowany w renowację ciągnących się kilometrami kanałów nawadniających, skonstruowanych z polecenia Czerwonych Khmerów. Ludzie dostają kilka kilo ryżu za każdy odtransportowany metr sześcienny ziemi i szlamu. "Kanały są trochę za płytkie i miejscami zaniedbane. Raz, kiedy tam przyjechałem, przywitali mnie pieśniami roboczymi z czasów Czerwonych Khmerów i powiedzieli, że jest tak, jak za Pol Pota. Ja im na to, że wstyd mi. »Harujecie jak niewolnicy, żeby mieć co do garnka włożyć, a tam stoi koparka, która w jedną chwilę wykonałaby waszą całodzienną pracę. Wstyd mi, że tak to musi wyglądać w XXI wieku«. Ale oni mi mówią, że »nie, nie, nie można tak myśleć. Jakbyś użył koparki, to pieniądze trafiłyby do jej właściciela, a my byśmy zostali bez jedzenia«. Kopali tak przez dwa miesiące i odwalili kawał roboty. Rozmawiałem później z innym naczelnikiem gminy i zaoferowałem mu finansową pomoc, gdyby zechciał odremontować pewną tamę zbudowaną przez Czerwonych Khmerów. Odrzucił moją ofertę. »To był projekt Czerwonych Khmerów, a tych mamy już dosyć«. Odpowiedziałem mu: »jasne, ale woda nie jest ani czerwona, ani niebieska, ani biała. Gdybyście mieli zmienić zdanie, jestem do waszej dyspozycji«. Po jakimś czasie odezwał się do mnie. Dziś mają czterysta hektarów pod uprawę, zamiast wcześniejszych trzystu". Milknie na chwilę.

"Robota Czerwonych Khmerów nie była głupia, tylko ta ich ideologia. I to, jak traktowali ludzi. Komunistyczne brednie. Ale nie wszystko, co robili, było głupie".

193.
ORGANIZACJA MA W SWOIM WŁADANIU I WODĘ, I ZIEMIE!

Wygląda jak ktoś pierwszy lepszy, ale nie jest. Właśnie przekłada nogę nad siodełkiem lekkiego motocykla. Wypucowanego na glanc. Na przegubie lewej ręki ma zegarek. Jest młody, ubrany zwyczajnie, lekko się uśmiecha. Inny mężczyzna szykuje się, by usiąść za nim. Kilka metrów dalej przechodzą ludzie ubrani na czarno, prowadzą rowery. Na jednym jest kanister z benzyną. Zdjęcie zrobiła Marita Wikander koło przystani promowej w Prek Kdam. Ładnie uchwycony ruch. Uśmiech, mężczyzna wsiadający na motocykl. To mogłoby być byle gdzie i kiedykolwiek. Przystań promowa z ludźmi, którzy przeprawiają się na

drugą stronę rzeki w różnych sprawach.

Ale jest pewien szczegół, który zmienia wymowę obrazu. Ten zegarek. To klucz do tego zdjęcia. W roku 1978 zwykli ludzie nie nosili zegarków. W Demokratycznej Kampuczy były one symbolem statusu, dostępne tylko dla zaufanych. Mniej więcej jak długopisy. Rangę funkcjonariusza partii wyznaczała liczba długopisów wetkniętych do kieszonki na piersi. Ten uśmiechnięty młody człowiek, wyglancowany motocykl. To nie jest ktoś pierwszy lepszy. Czy Szwedzi to rozumieli? Czy też widzieli w nim zwykłego wiejskiego chłopaka, któremu rewolucja powierzyła motor? Zdjęcie Marity Wikander znajduje się w ich książce “Kampucza między dwiema wojnami”. Zdobi także okładkę gazetki Towarzystwa Przyjaźni, “Kampucza", numer 3-4/1978. Prawie cały numer jest poświęcony podróży szwedzkiej delegacji. We wstępniaku odpiera się faktyczną i potencjalną krytykę wizyty w Demokratycznej Kampuczy Pol Pota: “Wiosną rozeszły się pogłoski o planowanej wizycie i znaleźli się tacy, którzy negowali sens tej podróży, zanim do niej doszło. Jeden z publicystów napisał, że sam brał udział w takich politycznych grupowych wycieczkach, więc doskonale wie. Protestujemy przeciw takim ogólnikowym wypowiedziom. O wiele bardziej sensownie, chociaż trudniej jest badać każdą sytuację z osobna, odpowiadając sobie na pytania: Co tu widzę? Jakie z tego mogę wyciągnąć wnioski? O czym nie mogę się wypowiadać? Właśnie w ten sposób delegacja próbowała klasyfikować i oceniać to, cośmy widzieli w trakcie naszej dwutygodniowej podróży po Demokratycznej Kampuczy. Mogliśmy stwierdzić, że ludność tam, gdzie przejeżdżaliśmy, miała jedzenie, ubranie i dach nad głową. Mogliśmy także skonstatować, że zniszczenia pozostawione przez wojnę z imperializmem USA mają wręcz trudny do wyobrażenia zasięg".

Autor wstępniaka, prawdopodobnie Gunnar Bergström, pisze, że mogli zatrzymywać się i rozmawiać z kim chcieli. Że po miastach poruszali się swobodnie. Rzekomo zburzone pagody stały nienaruszone. Ludzie nie pracowali pod groźbą użycia broni, bo i tak mówiono. “Przytłaczająca większość ludności Kampuczy to byli przed wojną biedni chłopi, a dla biednego chłopa rewolucja oznacza, że jego dzieci mogą się najeść do syta i chodzić do szkoły i że on sam już nie tkwi po uszy w długach. Poza tym w ciągu najbliższych lat każda rodzina otrzyma nowy dom, drewniany, kryty dachówką. O dachu krytym dachówką, chro-

niącym przed deszczem, ubogi chłop mógł kiedyś tylko pomarzyć". Autor zostawia sobie jednak furtkę: "Koniecznie należy zaznaczyć, choć to właściwie oczywiste, że nie byliśmy w całym kraju i, przede wszystkim, nie byliśmy tam zaraz po wyzwoleniu. Nie mówimy także po khmersku. Oznacza to, że są fakty, do których nie ma dostępu w takiej podróży jak ta właśnie odbyta. Takie są jej ograniczenia. Oznacza to, że nie wiemy, tak jak naoczni świadkowie, czy poszczególne ekscesy istotnie miały miejsce. Oznacza to, że nie zabieramy głosu w sprawie konkretnych sytuacji znanych z relacji uchodźców, które mogą być zgodne z prawdą". Następnie stwierdza się, że dokonano wielkiego postępu. Istnieją szanse, aby Demokratyczna Kampucza stała się samowystarczalna i "stanęła na własnych nogach". "Widzieliśmy wielkie systemy irygacyjne, umożliwiające nawadnianie olbrzymich areałów. Widzieliśmy, jak zaczynają powstawać nadwyżki produkcji rolnej, na eksport. Zostało jeszcze wiele dyskusji, wiele ciężkiej pracy i wiele nowych decyzji do podjęcia. Mogliśmy jednak skonstatować, że Kampucza ma szansę, aby wkrótce wykonać wielki krok naprzód i stać się nowoczesnym krajem rolniczym. Następny cel, czekający na swoją kolej, to uprzemysłowienie. Dzisiejsza Kampucza to bardzo biedny kraj rolniczy. Mogliśmy się naocznie przekonać, że owa zmiana szybkimi krokami - o której tyle się mówiło w raportach stamtąd - jest możliwa".

195.

"Rozumie pan, myśmy niczego nie podawali w wątpliwość, bo byliśmy bez reszty oddani rewolucji. Człowiek nie stawiał sobie zbyt wielu pytań. Mieliśmy wielkie zaufanie do naszych przywódców i w głowie nam nie postało, że partia może się mylić. Czytał pan może listy Bucharina do Stalina? Dokładnie tak żeśmy czuli. To dość niesamowite. Ja czułem dokładnie to samo co on. Nawet gdyby partia stwierdziła, że jestem zdrajcą, to byłem gotów powiedzieć: »Jeżeli partia uznała mnie za zdrajcę, to jestem zdrajcą. Nie myślę dostatecznie jasno, aby samemu to dostrzec, aby przejrzeć swoją własną zdradę«. Tak było. Fanatyzm. Jak ci żołnierze ajatollaha Chomeiniego, co się rzucali pod irackie czołgi, żeby szybciej dostać się do raju! To było mniej więcej tak samo".

Suong Sikoeun sączy ze szklanki swoją kawę z deszczówki. Ścieżką koło domu przechodzi jakiś sąsiad. Już starszy pan, siwy i krótko ostrzyżony, w dużych okularach. Ubrany w czarny chłopski mundur, z ramienia zwisa mu niebiesko-biała chłopska chusta. Jest jak

wyjęty prosto z jakiejś propagandowej broszury Czerwonych Khmerów. Jakim cudem Suong Sikoeun, który trzynaście lat mieszkał i studiował we Francji, mógł stać się tak zaślepiony? On, produkt systemu edukacyjnego, w którym pytanie jest co najmniej równie ważne jak odpowiedź. Udziela bardzo francuskiej odpowiedzi: wygłasza mały wykład, pedagogicznie podzielony na trzy części. Po pierwsze, on i wielu innych partyjnych intelektualistów sami nie brali udziału w wojnie. Uważali, że są coś winni tym, którzy cierpieli, walczyli i ginęli pod gradem bomb.

Dlatego teraz, gdy rewolucja zwyciężyła, muszą dać z siebie odpowiednio więcej. Po drugie, on, ze swoim francuskim wykształceniem, był potencjalnym wrogiem klasowym. Musiał więc jakoś skompensować także to. Przeprasza, robi krótką przerwę. Jest jeszcze bardzo osłabiony po operacji. Wszystko zastygło w bezruchu w południowym skwarze, przyroda prawie ucichła. Po trzecie, mówi dalej, pokonując reżim Lon Nola wspierany przez USA, partia objawiła swoją nadzwyczajną taktyczną przewagę. Chociażby to, jak użyła imienia księcia Sihanouka, aby zdobyć masowe poparcie wśród ludu, i jak potem prowincja zakręciła miastom dopływ żywności. "Teoria maoistowska, ale bardzo twarda. Zamach w roku 1975 nie miałby szans z innym przywódcą niż Pol Pot. W końcu Phnom Penh zostało jednak zdobyte bez walki". Co można było podawać w wątpliwość po takim zwycięstwie?

196.

Podnosi się z ziemi, zszokowana. Granatowo-biały szkolny mundurek jest zakurzony, dłonie zdarte. Przed nią piętrzy się maska luksusowego jeepa. Spod zderzaka wystaje przednie koło roweru. Za przyciemnianą szybą widać kierowcę. Przygląda się młodej kobiecie. Jego twarz to skamieniała maska bez wyrazu. Gapie przystają, zaciekawieni wypadkiem. Ruch wolno toczy się dalej przez skrzyżowanie, ale w samym centrum tej sceny panuje osobliwa cisza. Dziewczyna robi parę kroków w stronę trotuaru. Lekko utyka. Zatrzymuje się więcej ludzi. Nikt nic nie mówi. Powoli, powoli jeep znów zaczyna jechać. Prawa strona unosi się trochę, kiedy koła miażdżą rower. Trzask kruszonych lamp, zgrzyt zgniatanej ramy. Kierowca patrzy prosto przed siebie. Wszystko rozgrywa się jakby w zwolnionym tempie, lecz zaraz potem auto znika w chaosie bulwaru.

Młoda kobieta stoi wciąż na chodniku. Gapie ruszają jeden po

drugim, każdy w swoją stronę. Oto Phnom Penh trzydzieści lat po przejęciu władzy przez Czerwonych Khmerów. Tutejsza korupcja należy teraz, tak jak wtedy, do najwyższych na świecie. Aparat prawny już dawno przestał funkcjonować, a przepaść między bogatymi a biednymi jest olbrzymia. Kto ma pieniądze, ten robi, co chce. Jest zwyczajnie bezkarny. Z wściekłością myślę sobie, że temu skurwielowi z jeepa przydałoby się trochę fizycznej pracy na polu ryżowym. Żeby dotarło do niego, jak żyje większość ludzi w tym kraju. Że zwykły chłop musiałby harować przez tysiąc dwieście lat, żeby uciułać na takie auto. Że rower tej dziewczyny ma wartość miesięcznej pensji nauczyciela. Można odnaleźć podobieństwa między tamtym czasem a teraz. Ale wyraźna różnica jest taka, że dzisiaj brakuje wiary w sensowność politycznej opozycji. Brak też wybitnych intelektualistów, którzy byliby w stanie pokierować oporem. Dzisiejsi młodzi to dzieci tych, którym udało się przeżyć Demokratyczną Kampuczę, bo zgięli kark, trzymali język za zębami i pilnowali swego. Ci, którzy podnosili głowy, sprzeciwiając się Organizacji, spoczywają teraz w jednej z wielu zbiorowych mogił. Ci, z którymi dyskutuję o polityce, są często krytycznie nastawieni wobec rządu. Premier jest bardziej ojcem chrzestnym niż demokratą. Ale te rozmowy kończą się jednak najczęściej przypomnieniem, że mimo wszystko mamy pokój. A nawet marny pokój jest lepszy od każdej wojny. Oni wiedzą. Przeżyli przecież superfortece B-52, gwałty żołnierzy Lon Nola, zbiorowe mordy Pol Pota i brutalną wietnamską okupację. Widzieli, jakie siły zostają rozpętane, kiedy próbuje się zrobić porządek z burżujami.

197.

NIE MA JUŻ WIĘCEJ ŻADNEJ SPRZEDAŻY, ŻADNEGO HANDLU, ŻADNYCH SKARG, ŻADNYCH RABUNKÓW, ŻADNEJ GRABIEŻY, ŻADNEJ PRYWATNEJ WŁASNOŚCI!

[Notatka z Biura 870, sporządzona prawdopodobnie przez PolPota]:
"Rewolucja jest jasnoczerwona, pełna wiary, cudownie mocna i cudownie przenikliwa. Cały świat nas podziwia, wysławia nas i uczy się od nas".

198.

Jan Myrdal po raz pierwszy odwiedził Kambodżę już w 1967. On i Gun Kessle otrzymali od księcia Sihanouka prywatne zezwolenie na

wjazd.

Trasa podróży przypominała tę, jaką miał przebyć z Towarzystwem Przyjaźni jedenaście lat później. Odwiedził między innymi Angkor Wat, Kampot i port w Sihanoukville. Podróż zaowocowała książką "Ansikte av sten" (Twarz z kamienia), o historii imperium Angkoru, z ilustracjami Gun Kessle. Podczas tych jedenastu lat, które dzieliły pierwszą wizytę od drugiej, Sihanouk został obalony, kraj był bombardowany przez USA, rozdarty wojną domową, aż do zwycięstwa rewolucji. W sierpniu 1978 Myrdal przyjechał już do innego kraju. Zaraz po powrocie do Szwecji pisze w "Folket i Bild/Kultur-front": "[poprzednim razem] wjeżdżałem do sielskiego, prowincjonalnego Phnom Penh. Kolonialnego francuskiego miasta z szerokimi alejami i wielkimi willami. Na bazarze tłoczyły się kobiety i kiedy później pisałem o tym mieście, zastanawiałem się, ile z tych kobiet będzie jeszcze żyło w chwili, gdy tekst wyjdzie drukiem. Ponieważ wojna stała wtedy u granic Kambodży i nikt nie pytał, czy ta wielka wojna nawiedzi także ten ubogi kraj, tylko kiedy. Teraz, po wojnie, jadę tą samą drogą. Tym razem kraj jest nie tylko ubogi. Jego bieda została przez pięć lat zmielona żarnami metodycznych wojennych zniszczeń. [...] Na prowincji nie zachował się ani jeden cały dom sprzed wojny. Duże miasta są opuszczone i niemal bezludne". Rok później, w 1979, podróżował po strefie przygranicznej, pozostającej jeszcze w rękach Czerwonych Khmerów. Jako wysłannik dziennika "*Svenska Dagbladet*". Pierwotny pomysł był taki, aby przebyć tę samą trasę co rok wcześniej z Towarzystwem Przyjaźni. Ale wietnamskie władze okupacyjne odmówiły mu udzielenia wizy wjazdowej.

Jego ostre potępienie inwazji było dobrze znane w Hanoi. Po tej podróży napisał książkę "*Kampuchea, hôsten 1979*" [*Kampucza, jesień 1979*]. Między swoimi podróżami debatował o sytuacji w tym kraju na łamach wielu gazet i czasopism. W starych wycinkach wokół jego słów do dziś trzaskają iskry, USA i Kościół katolicki to ewidentni wrogowie. Ale gdy z czasem coraz bardziej narasta krytyka Pol Pota, Myrdal zwraca oręż przeciwko komunistom wiernym Moskwie i innym ludziom lewicy, którym nie w smak ta chłopska rewolucja. Linia jego argumentacji jest dość konsekwentna, mimo że współczesność była wtedy tak samo zmienna i trudna do interpretacji jak dziś. Podstawą jest narodowa niepodległość. Społeczny przewrót Czerwonych Khmerów zmierzał ku temu, aby raz na zawsze uwolnić kraj od obcej dominacji.

Kambodża ma niewielkie zaludnienie w stosunku do potencjalnego areału upraw i innych bogactw naturalnych. Wielkie jezioro Tonie Sap uchodzi za najbogatsze w ryby w całej Azji, a stosując właściwe nawadnianie i nawożenie, można by uzyskiwać dwa, lub nawet trzy zbiory ryżu rocznie. Istnieją zatem, zdaniem Jana Myrdala, wyjątkowo dobre warunki dla gospodarczej samowystarczalności. A więc kiedy Czerwoni Khmerzy próbowali odizolować kraj od świata, nie było to wcale absurdalne. Była to raczej logiczna, chociaż drastyczna, decyzja kraju, który pragnął spróbować pójść własną drogą. Lud przejął władzę i miał decydować sam o sobie. Jasne, że w trakcie odbudowy przydałaby się pomoc z zewnątrz. Ale taka pomoc nie byłaby bezwarunkowa. Zawsze istnieje jakiś ukryty cel, zawsze jakiś haczyk do połknięcia. Aby mieć pewność, że wola ludu będzie panować suwerennie, odcięto wszelkie wpływy z zagranicy. Przynajmniej dopóty, dopóki nowy system nie okrzepnie. To była reakcja na świat, w którym USA i dawne kolonialne mocarstwa wyznaczyły reguły gry. Reguły, które, według Jana Myrdala, uznał także Związek Radziecki. Była to gra prowadzona kosztem biednych krajów. Kiedy jeden z najmniejszych wstał od tego stołu i powiedział, że nie chce już więcej przegrywać, należy temu przyklasnąć. Szanse na samowystarczalność były nie tylko błogosławieństwem. Na wschodzie i na zachodzie leżały kraje mające dużo więcej gąb do wyżywienia na metr kwadratowy pola ryżowego.

Jan Myrdal przykładał Demokratyczną Kampuczę do długiej osi czasowej. Zwłaszcza Wietnam rozrastał się w ciągu stuleci kosztem swoich sąsiadów. Gdzie są dzisiaj, pyta Jan Myrdal retorycznie, Czarnowie i ich królestwo? Historia współczesna pokazuje także, twierdzi publicysta, że ani mocarstwa, ani społeczność międzynarodowa nie troszczą się o niepodległość Kambodży. Amerykańskie naloty bombowe pozostały bezkarne, podobnie jak częściowa okupacja w 1970. Nikt też później nie kiwnął palcem, kiedy Wietnam, wspierany przez Związek Radziecki, obalił uznawany przez świat rząd Demokratycznej Kampuczy i rozpoczął okupację. Jeśli pozwala się na coś takiego, pisze Myrdal, to cóż stoi na przeszkodzie, aby ten sam los spotkał Szwecję, nieduży kraj na północnej rubieży Europy, jeśli mocarstwa tak zadecydują? Kambodża to niebezpieczny precedens dla innych krajów szukających nowych rozwiązań dla starych problemów.

Następnie Myrdal komentuje zbrodnie, o jakie oskarża się Czer-

wonych Khmerów. Zaczyna od zarzutu ludobójstwa: "To prawda, że w Kambodży dokonano z całą premedytacją zbrodni ludobójstwa. To było świadome ludobójstwo, a jego sprawcą były Stany Zjednoczone. Ten fakt jest udokumentowany. Wielu ludzi zmarło w Kampuczy po wyzwoleniu na skutek chorób i głodu. Także za to główną odpowiedzialność ponoszą Stany Zjednoczone, ponieważ klęska głodu została świadomie użyta jako broń". Kambodżańska rewolucja musi być rozpatrywana w swoim historycznym kontekście, pisze Myrdal. Według niego przewroty społeczne same w sobie są często gwałtowne. Zabija się ludzi. Takie są smutne konsekwencje. Myrdal porównuje to z rozstrzeliwaniem kolaborantów po wyzwoleniu Francji pod koniec drugiej wojny światowej. Ilu ich było? Tysiące? Dziesiątki tysięcy? Setki tysięcy? Najczęściej działo się to bez procesów, rozstrzeliwano ich bez ceregieli, na ulicach. W szkolnych podręcznikach historii pomija się to milczeniem.

Inny przykład to rewolucja francuska 1789 roku, zakończona krwawym terrorem Robespierre'a. Dzisiaj te wydarzenia uznaje się za przełomowe dla rozwoju nowoczesnej demokracji. Ceną za wolność jest zdaniem Myrdala ludzkie życie. Kiedy staje się ona zbyt wysoka? W jego pismach nie znajduję na to odpowiedzi. Poza tym Myrdal rozpoznaje mechanizmy i wzory przemocy z chłopskich rewolt w średniowiecznej Europie. W swojej przedmowie do broszury "*Kampuchea och kriget. Skriftstllning 11*" [*Kampucza i wojna, Pismo 11*], która wyszła w 1978 roku po powrocie szwedzkiej delegacji, pisze: "Wiadomo, że wojny chłopskie i wojny wyzwoleńcze są okrutne. A kiedy blisko co szósty mieszkaniec zginął na wojnie, nikt nie ma prawa oczekiwać, że zdrajcy i spekulanci, którzy tę wojnę wywołali i którzy na niej zarabiali, będą potraktowani pobłażliwie. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że wielu z nich zostało straconych, jeżeli nie udało im się zbiec. Ale uważam to za słuszne. Nigdy nie uroniłem ani jednej łzy nad losem quislingów i kapusiów. Bo to, co działo się w Kampuczy, to w zasadzie zupełnie to samo, co miało miejsce przy wyzwalaniu Francji". Jan Myrdal twierdzi też, że Czerwoni Khmerzy nie mieli z początku dostatecznej kontroli nad wydarzeniami lokalnymi. Dopiero po upływie paru lat udało im się okiełznać żądzę zemsty zbuntowanych chłopów. Utrzymuje też, że w ramach Organizacji dochodziło do wewnętrznych tarć. Między innymi tajna policja miała być kontrolowana przez pewną grupę prowietnamską. Poza tym istniały powody, by krążące pogłoski o ludobójstwie traktować ze sceptycyzmem.

W sierpniu 1979 w dzienniku "*Svenska Dagbladet*" Myrdal pisze: "Była to krwawa wojna chłopska, a zatem czasem dochodziło do okrutnych ekscesów. Ale te cyfry, które podawali Wolni Khmerzy (Khmer Serei), nim zjednoczyli się z rządem Pol Pota we wspólnej, narodowej walce przeciw Wietnamczykom, i które teraz podaje Hanoi, są wyssane z palca. Mogę tu przypomnieć, że wedle informacji, które w oczach prasy i Ministerstwa Spraw Zagranicznych długo uchodziły za wiarygodne, w roku 1971, podczas krwawej rozprawy w ówczesnym Pakistanie Wschodnim, dzisiejszym Bangladeszu, armia pakistańska miała wymordować 3 miliony ludzi. Z tego, co dziś widzimy, faktyczna liczba ofiar wynosi przypuszczalnie około 40 tysięcy".

W numerze "*Clarte*" z 2003 roku Myrdal powraca do wątku zabijania, teraz z dwudziestopięcioletniej perspektywy: "A co z mordowaniem? To, że niczego takiego nie widziałem, nie ma znaczenia; nie może służyć zaprzeczeniu ani potwierdzeniu. Zakładam jednak, że było dużo zabijania i okrucieństw. W Indiach widziałem, jak ubodzy chłopi krajali lichwiarza na plasterki: Palec za ciotkę! Stopa za siostrę! Ręka za ojca! Gwałcącego pana przybili do drzewa. Partia nie umiała temu zapobiegać. Idea, aby wroga klasowego niszczyć indywidualnie, cieszyła się popularnością i była trudna do wykorzenienia". Ewakuacja Phnom Penh i pozostałych miast to według Jana Myrdala "mądra polityka". W książce "*Kampuchea - Krigen. Politiken. Diplomdlin*" [Kampucza: wojny, polityka, dyplomacja], wydanej w 1983, rozwija ten tok myślenia. Istniało kilka praktycznych argumentów przemawiających za pośpieszną ewakuacją miast: ryzyko amerykańskich nalotów, wrogowie rewolucji, podżegacze, którzy z pomocą CIA ukrywali się w miastach, oraz klęska głodu, zagrażająca, kiedy skończą się szczupłe rezerwy żywności. Wszak ryż nie rośnie na ulicach, pisze Myrdal. Ważniejsze były jednak motywy ideologiczne. Phnom Penh stanowiło rakowatą, nieproduktywną narośl, twierdzi.

"Ale to nie jest tak, że tylko panowie w miastach żyją z chłopskiej pracy jako właściciele ziemscy i/lub wysocy urzędnicy zdzierającej z ludu podatki machiny państwowej; także większa część pracującej ludności miejskiej pośrednio pasożytuje na chłopach. Pracuje ona bowiem, służąc panom wyzyskującym chłopów. Nawet miejska biedota, miejscy żebracy i nędzarze żyją z jałmużny dawanej im przez właścicieli ziemskich i biurokratów. Miasta to pasożyty". "Ale ewakuacja Phnom Penh

wyznaczyła tylko emocjonalny ton; ewakuacja była zjawiskiem jednorazowym. Powoli ludność zaczęła wracać także do miast. Zmienił się jednak ich społeczny charakter. Miasta miały stać się produktywne.

Piętno miały nadawać im nowy przemysł i nowe uczelnie - już nie urzędnicy państwowi i właściciele ziemscy, ale ich słudzy i cały obsługujący ich personel". Według Jana Myrdala radykalna polityka zaczęła przynosić pozytywne skutki w roku 1978. Tak to ocenia po podróży Towarzystwa Przyjaźni i nazywa to czasem świtania. Władze centralne okrzepły i dzięki temu były w stanie stłumić przemoc w regionach. Myrdal pisze: "Był to okres szybkiego rozwoju i wielkich nadziei na przyszłość. W ciągu najbliższych paru lat Demokratyczna Kampucza miała osiągnąć wyraźne postępy". Ten ewentualny rozwój został udaremniony przez inwazję Wietnamu w 1979. Owe nadzieje na przyszłość to, zdaniem Myrdala, także powód, dla którego żaden inny kraj nie próbował powstrzymać Wietnamczyków. Demokratyczna Kampucza była niebezpieczną obietnicą sprawiedliwszego świata. Czerwoni Khmerzy pokazali, że można pójść inną drogą niż ta wytyczona przez mocarstwa. To ich czyniło groźnymi. Uchylili wrota do krachu panującego systemu. Dlatego, uważa Jan Myrdal, duża część społeczności światowej powitała inwazję z radością, chociaż oficjalnie ją potępiano.

OWOC DOJRZEWA NA WSI, ALE JEST JEDZONY W MIASTACH!

201.

Żona Suong Sikoeuna przynosi nam więcej tej kawy z deszczówki. Pod stołem, obok nas, przechodzi kura z niemłodymi, wyliniałymi kurczętami. Nieufnie, łypiąc okiem. Suong Sikoeun wyjaśnia, że wszelkie decyzje dotyczące Szwedów i ich podróży po kraju podejmowano w komitecie centralnym partii. Także życzenia szwedzkich gości wyrażane podczas wizyty przekazywano wyżej i o ich dalszych losach rozstrzygano na najwyższym szczeblu. Ale on nie zna żadnych szczegółów tych decyzji. To, że znajdował się w pobliżu centrum władzy (cztery długopisy w kieszeni na piersi), nie odgrywało żadnej roli. Nie dowiadywał się niczego ponad to, co konieczne dla wypełniania jego zadań. Nie umie też dokładnie wytłumaczyć, co szwedzkiej delegacji pokazano i dlaczego.

Mówi, że nawet on sam nie wiedział, jak wyglądała sytuacja w

kraju, mimo że towarzyszył większości z tych nielicznych dyplomatów, których przyjmowano. Nie wyobrażał sobie, że jest aż tak źle. Przerywam mu. Coś przecież, monsieur, musiał pan chyba przeczuwać? Zajmował pan dość wyjątkową pozycję. I czystki w pana własnym miejscu pracy, Ministerstwie Spraw Zagranicznych, też przecież były zakrojone na dużą skalę. No tak, przyznaje i ciągnie dalej z półprzymkniętymi powiekami:

"Zdaje się, że zacząłem wątpić w marcu 1977, kiedy towarzyszyłem w drodze do Siem Reap szwedzkiemu ambasadorowi z Tajlandii". To był Jean-Christophe Óberg?. "Tak, jechałem razem z nim. Był ze mną Nikan, brat ministra obrony Son Sena i szef protokołu MSZ. Ambasador chciał zobaczyć zachód słońca nad Angkor. I miał rację. To było naprawdę wspaniałe. Wybrała się z nim także jego żona i zostaliśmy tam dość długo". Pauza. "W drodze powrotnej zepsuł nam się jeden samochód, na drodze krajowej numer 6. Podeszła do nas dziewczynka, jakieś dwanaście lat, i zapytała, czyją ze sobą zabierzemy do Phnom Penh. To pytanie zadała Nikanowi. On ją spytał dlaczego. Powiedziała: »My tu tak mało jemy. Tylko bobor, zupę ryżową, jedną chochlę dwa razy dziennie«. Trochę pochlipywała - wyraźnie było widać, że jest niedożywiona. A znajdowaliśmy się w prowincji Battambang, słynącej z najżyźniejszych ziem w Kambodży". Sięga po kawę i popija z namysłem, raz po raz.

"To obudziło we mnie pierwszy raz zwątpienie. A potem jeszcze to znikanie ludzi. Nie tylko wśród inteligencji, głównie wśród zwykłych członków partii, tych, którzy mieli zapewniać funkcjonowanie ministerstwa". "Ale - dodaje - zawsze zdawało mi się, że rząd ma poparcie narodu".

202.

Historyk Herman Lindqvist pisze w popołudniówce "*Afton-bladet*" w kwietniu 2005, tydzień przed trzydziestą rocznicą upadku Phnom Penh. Był tam wtedy, 17 kwietnia 1975, jako jeden z tych zagranicznych dziennikarzy, którzy schronili się we francuskiej ambasadzie. Pisze z pełnym autorytetem naocznego świadka - szwedzkiego naocznego świadka. Pisze więc: "zabijano każdego z jakimś wykształceniem, wykańczano każdego, kto miał okulary". To dość osobliwe stwierdzenie, bo to nieprawda i Herman Lindqvist wie, że to nieprawda. Ale tak właśnie wygląda opowieść o Czerwonych Khmerach.

Zabójcy okularników, prosto z dżungli. Niedocieczeni w swoim okrucieństwie i irracjonalności.

Czerwoni Khmerzy, mimo swych wykształconych we Francji przywódców, byli ruchem antyintelektualnym. Często, choć nie zawsze, noszenie jakichś oznak, że się jest piśmiennym, było niekorzystne. Okulary sygnalizowały, że dany człowiek jest zbrukany imperialistycznie nacechowaną wiedzą. Nie oznaczały jednak bezwzględnego wyroku śmierci. Na przykład minister obrony Son Sen nosił szkła w ciemnych oprawkach. Takie pogłoski krążyły także w latach pięćdziesiątych, podczas wojny przeciw francuskim władzom kolonialnym. O kambodżańskiej partyzantce Khmer Issarak mówiono, że zabija wszystkich tych, którzy noszą okulary i nie mają na dłoniach odcisków od ciężkiej, fizycznej roboty. Delikatne dłonie i binokle kojarzono z miejską klasą wyższą, to znaczy z tymi, którzy współpracowali z Francuzami.

Ale to też nie było konsekwentne. Może to prawda. Może to nieprawda.

Opowieści o tym, że Czerwoni Khmerzy pozabijali wszystkich starców, że muzyka została zakazana i że kobiety kambodżańskie przestały miesiączkować, były nieprawdziwe. Towarzyszyły im inne pogłoski, na pozór równie niedorzeczne, o tym, że wymarła jedna piąta narodu.

Umożliwiło to obrońcom Czerwonych Khmerów na Zachodzie kwestionowanie masowych mordów. Jeżeli trzy z czterech pogłosek są najwyraźniej nieprawdziwe, to tej czwartej też niezbyt łatwo dać wiarę. A teraz na odwrót: gdy okazało się, że te masowe mordy, w całej swojej grozie, to nie wymysł, lecz prawda, prawdziwe stały się też tamte pozostałe pogłoski. Czarno-biały obraz przysłania koniec końców wszystko. Jak więc wyciągnąć jakąś naukę z historii?

203.

Nikt nigdy nie ustali, ile ludzi zmarło w ciągu tych trzech i pół roku pod rządami Pol Pota. Masowych mogił jest wiele i nikt ich nie zliczył. Teraz znikają w dżungli. Ile ciał w nich leży, nikt nie wie i nikt się nie dowie.

Szacunkowe liczby wahają się od 750 tysięcy do 3 milionów. Liczbę zamordowanych szacuje się różnie: od kilkuset tysięcy do ponad miliona.

Powodem tych rozbieżności jest brak wiarygodnej statystyki.

Szacunki są oparte na domysłach, opartych na domniemaniach. Ostatni mniej lub bardziej wiarygodny spis ludności przeprowadzono w 1962. Wówczas kraj liczył 5,7 miliona mieszkańców. Później jedynie można snuć domysły w kwestii przyrostu populacji. Może 2,2 procent rocznie? W 1969 USA rozpoczęły swoje bombardowania. Ilu wtedy było Kambodżan? Ilu zginęło od bomb w następnych latach? Niektórzy mówią 50 tysięcy, inni 500 tysięcy. Potem wojna domowa. Ilu w niej zginęło? I jak szacować przyrost populacji podczas wojny domowej? Rodzi się więcej czy mniej dzieci? Jak duża jest ich śmiertelność? Potem przejęcie władzy przez Czerwonych Khmerów. Ile dzieci przyszło na świat w ciągu tych lat? Jak wyglądała średnia długość życia? Znowu śmiertelność dzieci? I wszystkie te egzekucje, wykonywane po kryjomu, a może nawet, na prowincji, poza kontrolą państwa? Ile pochłonęły ofiar? A później inwazja Wietnamu. Ilu wtedy zginęło? A w klęsce głodu, która nastąpiła potem? Ilu uciekło od tych wszystkich plag do innych krajów, tak że w Kambodży tego nie odnotowano? 750 tysięcy czy 3 miliony zmarłych? Czy to ważne, która z tych cyfr jest prawdziwa? Nie można powiedzieć, że 2 miliony 250 tysięcy ludzi w tę czy w tamtą to nieważne. Ale czy te zbrodnie byłyby mniejsze, gdyby zginęło “tylko" 750 tysięcy?

204.
[Z popołudniówki “*Expressen*", 31 lipca 1978, dwanaście dni przed wylądowaniem szwedzkiej delegacji w Phnom Penh]:

Ieng Sary, szef dyplomacji Demokratycznej Kampuczy: “Niby dlaczego mielibyśmy masakrować swój własny naród? Ten, kto tak robi, jest przestępcą. Chcemy w przyszłości zapraszać do nas dziennikarzy, żeby sami mogli przekonać się, co tu się dzieje. Jesteśmy narodem, który dopiero co otrząsnął się z wojny".

205.
[Jak migotanie białe]

Pod nim roztacza się równina. Słońce zachodzi, a on siedzi na tarasie, tuż za żelazną balustradą. Z gałęzi drzew zwisają puste orzechy kokosowe. Rosną w nich białe orchidee. Przed chwilą wdychał tlen i jego oddech jest nieco lżejszy. Widzi teraz, jak słońce zachodzi nad krajem, który podbił dwadzieścia lat temu. Pol Pot ma prawie siedemdziesiąt lat. Włosy siwe. Cierpi na raka i problemy z sercem. Koc otula

nogi starca. Za horyzontem, w Phnom Penh, zasiada pierwszy w Kambodży rząd wybrany przez lud.

Na stole przy nim stoi lampka koniaku sprowadzanego z Tajlandii. Coraz więcej z jego partyzantów dezerteruje. Opuścił go nawet sekretarz. Zostało tylko paru najstarszych sprzymierzeńców. Ieng Sary. Khieu Samphan. Ta Mok. Son Sen. Finansują walkę zbrojną, sprzedając drewno z lasów deszczowych i kamienie szlachetne z niedostępnych rejonów, które jeszcze kontrolują. Czemu nie daje za wygraną? Czy porównuje to z beznadziejną sytuacją na początku lat sześćdziesiątych, gdy wszystko wydawało się stracone? Ale co chce tym razem osiągnąć? Nie ma już ideologii, w imię której by walczył. Co zrobiłby z władzą, gdyby, wbrew wszelkim oczekiwaniom, udało mu się ją odzyskać? Prowadzi dalej walkę odruchowo? Bo to jedyne, co mu pozostaje?

206.

Dostaję mejl od Heddy Ekerwald. Pisze, że nie chce udzielić mi wywiadu. Ton nie jest nieżyczliwy, ale Hedda tłumaczy, że ma niedobre doświadczenia z wywiadami. Czasem chodziło w nich raczej o potwierdzenie jakiejś tezy niż o poprawne zreferowanie tego, co mówiła.
Pisze, że popierała walkę Czerwonych Khmerów przeciwko terrorowi lotniczemu USA oraz późniejszą rewolucję. Że widziała, jak militarne supermocarstwo dewastuje kraj, i dlatego wspierała walkę narodowo-wyzwoleńczą. Pisze, że zawsze opowiada się po stronie słabszych, tego the underdog. Podczas swojej wizyty w Kampuczy w 1978 nie widziała żadnych zaszczutych, zniewolonych ludzi ani zaniedbanego, głodującego kraju. Widziała szkoły i fabryki, szpitale i nowo zbudowane domki jednorodzinne. Lecz także “przymusowe kooperatywne stołówki".

W ciągu następnych lat, podczas trwającej dekadę wietnamskiej okupacji, docierają do niej rozmiary zbrodni Czerwonych Khmerów. Nie chce tego nazywać “etnicznym ludobójstwem", lecz “stalinowskim terrorem z policyjnymi szpiclami, zniknięciami, torturami i skrytobójstwami".

Pisze, że dziś traktuje reżim Czerwonych Khmerów jako najgorszy spośród tych, które po drugiej wojnie światowej terroryzowały własny naród. Wśród ofiar tego terroru znaleźli się także krewni jej kambodżańskich przyjaciół. Pisze o swoim rozdarciu. Że trudno było jej powiązać własne przeżycia z podróży w 1978 roku z opowieściami in-

nych. Ze świadectwami o trwającym w tym samym czasie terrorze. Że trudno było pojąć, że to pierwsze mogło współistnieć z drugim. I, dodaje na zakończenie: “smutno było przyjąć do wiadomości, że ofiary terroru szerzonego przez wojenną machinę USA same potem terroryzowały swoich bliźnich".

207.

Mey Mak nalega, by nasze spotkanie odbyło się w tajemnicy. Wyraźnie nie na rękę mu publiczne pokazywanie się z białym. Ludzie mogliby zacząć gadać. Był sekretarzem i ochroniarzem Pol Pota. Obecnie jest przewodniczącym okręgu wyborczego Pailin. Mandat otrzymał od partii rządowej, tej, którą zwalczał z bronią w ręku przez prawie dwadzieścia lat. Wszystko opiera się na lojalności. Ta w żadnym razie nie może być kwestionowana. A ludzie mają długie języki. Dlatego spotykamy się w najdalszym kącie jakiejś opustoszałej restauracji. On jest ubrany w szary poliestrowy uniform bez kołnierza, ulubiony strój osób urzędowych. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że człowiek z jego pozycją jest bardzo dobrze sytuowany. Jednak umawia się ze mną na spotkanie tylko pod warunkiem, że kupię mu kartę telefoniczną, aby mógł doładować sobie komórkę. Tłumaczy mi opryskliwie, że w Kambodży wymienia się prezenty przy każdym spotkaniu. Zrozumiałem? Potem chce, żebym zafundował mu śniadanie.

Mey Mak wydaje się człowiekiem bez wyrazu twarzy. Zza wielkich okularów nie zdradza żadnych emocji. Powieki pozostają wciąż wpół przymknięte. Tylko ton głosu ujawnia stan jego ducha. W Demokratycznej Kampuczy był kontrolerem ruchu lotniczego. Nie miał pojęcia o ruchu lotniczym, nauczył się wszystkiego sam z jakiegoś pozostawionego podręcznika. Jednak w latach 1975-1979 na lotnisku w Phnom Penh nie lądowało zbyt wiele samolotów. Jedyna regularna linia to ta do Pekinu, raz na dwa tygodnie. Pytam o tych, którzy oprowadzali Szwedów. Znał ich może? Ok Sakuna? Sok Rima? Suong Sikoeuna? Tak, Sikoeuna zna. Opowiada o wietnamskiej inwazji w 1979. Uciekał na północ i po drodze spotkał grupę żołnierzy, Czerwonych Khmerów. Aresztowali właśnie Suong Sikoeuna, który w ostatniej chwili opuszczał Phnom Penh. “Suong Sikoeuna wiele razy widywałem na lotnisku, kiedy przyjmował zagranicznych gości. Teraz miał ręce związane za plecami. Ci idioci za chwilę mieli go rozstrzelać, bo myśleli, że jest wietnamskim szpiegiem. Rozkazałem natychmiast go uwolnić. No więc

tak, znam go, uratowałem mu życie". Odwraca głowę w stronę kilku nowo przybyłych gości. Śmieją się, pogrążeni w rozmowie, nie widzą nas.

Tłumaczy, że Pol Pot został zdradzony, kiedy mu odebrano przywództwo partii w 1997. Krótko przed obaleniem Pol Pot rozkazał zabić swojego byłego ministra obrony Son Sena wraz z całą jego rodziną. Według oficjalnej historii Pol Pot kazał rozjechać trupa Son Sena ciężarówkami. Tego było za wiele dla Ta Moka, wojskowego dowódcy, który wydał rozkaz aresztowania Pol Pota. Same kłamstwa, twierdzi Mey Mak. Pol Pot wysłał kilku żołnierzy, żeby sprowadzili Son Sena na jakieś zebranie. To było wszystko. Padł strzał i wszyscy chwycili za broń. W zamęcie, jaki potem się rozpętał, Son Sen niestety zginął. Pol Pot był załamany, mówi Mey Mak. Całkiem przybity. Zdrajcą jest Ta Mok. Historia jeszcze raz wprawiona w ruch. Kto dziś może zaświadczyć o prawdziwych motywach i faktycznym przebiegu zdarzeń? Obaj, Son Sen i Pol Pot, nie żyją. Pozostały informacje z drugiej ręki i świadkowie, którzy widzieli fragmenty i teraz próbują ułożyć je w całość. Przypominam o celu naszego spotkania. Kiwa głową i wyciąga z kieszeni komórkę. Kartkuje swój notesik z nazwiskami, z bliska, jak krótkowidz, a potem wystukuje numer.

Po paru wylewnych, chociaż uniżonych powitalnych frazach, wręcza mi telefon. “Khieu Samphan", mówi.

208.

Ponad rok po tej podróży przewodniczącą Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej, następczynią Gunnara Bergströma, zostaje Marita Wikander. To ona wygłasza przemówienie inauguracyjne na wielkiej konferencji poświęconej Kampuczy, urządzonej w Sztokholmie w listopadzie 1979. Konferencja staje się międzynarodowym protestem przeciwko wietnamskiej okupacji oraz hołdem na cześć Czerwonych Khmerów. Zebrali się reprezentanci trzydziestu czterech krajów. Obecna jest także Ieng Thirith, pani minister spraw socjalnych Demokratycznej Kampuczy, żona ministra spraw zagranicznych Ieng Saryego i szwagierka Pol Pota. Przy mikrofonie Marita Wikander: “My wszyscy, zgromadzeni tu, w Sztokholmie, na konferencji Kampucza 1979, jesteśmy głęboko zaniepokojeni sytuacją w Kampuczy. Upłynęło ponad dziesięć miesięcy, odkąd armia wietnamska rozpoczęła swoją ofensywę na Kampuczę, mającą na celu okupację kraju. Ta oczywista agresja doprowadziła Kampuczę do stanu zapaści, w której ponad milion ludzi

zmarło od głodu i chorób lub zostało zabitych przez wojska wietnamskie. Narodowi i ludowi Kampuczy grozi dziś zagłada. Lecz kampuczański ruch oporu toczy zaciekłą walkę przeciwko najeźdźcy, a na arenie międzynarodowej wietnamska agresja spotkała się z głośnymi protestami". Następnie odczytuje wypowiedź prezydenta Czerwonych Khmerów, Khieu Samphana.

209.

Zdjęcie podium tego dnia. Pięciu ubranych w garnitury mężczyzn w średnim wieku, z USA, Japonii, RPA i Indii. Po lewej Jan Myrdal wertuje swoje papiery. A na lewo od niego siedzi Marita Wikander. Na samym skraju. Jest w białej bluzce, w ręce ma długopis. Ktoś z uczestników konferencji prawdopodobnie coś mówi, bo trójka z członków prezydium wydaje się skoncentrowana na jednym punkcie na sali. Marita Wikander jest jednym z tych trojga. Ale wygląda raczej na zatopioną w myślach. Spojrzenie jakby przygaszone. Czy wie już w tym momencie, że jej mąż nie żyje, czy jeszcze ma nadzieję, że jest wśród tych, którzy “toczą zaciekłą walkę"? Poniżej, przed nią, siedzą Ieng Thirith i Ok Sakun, wówczas reprezentant Czerwonych Khmerów w Genewie. Mieszkają u Marity i niebawem będą pozować do zdjęcia przed jej domem w dzielnicy Bandhagen. Zdjęcia, które odnajdę dwadzieścia pięć lat później w kartonowym pudełku. Marita Wikander zostaje wybrana przewodniczącą międzynarodowego sekretariatu, który się konstytuuje. Będzie on w dalszym ciągu wspierał walkę Czerwonych Khmerów przeciw wietnamskiej okupacji. Widzę Maritę i Jana Myrdala na zdjęciach z jakiejś konferencji w Tokio, gdy lata siedemdziesiąte przeszły już w osiemdziesiąte.

210.

Mam fotografię Khieu Samphana, na której on, szeroko uśmiechnięty, ściska dłoń Mao Tse-tunga. Zrobiono ją w 1975. Kiedy odtwarzam ją sobie w pamięci, Mao Tse-tung wydaje się o wiele większy, piętrzy się jak niewzruszony kolos nad Khieu Samphanem. Khieu Samphan uśmiecha się i ściska dłoń olbrzyma. Gdy później znowu znajduję to zdjęcie, zdumiewa mnie, jak pamięć spłatała mi figla. Mao Tse-tung i Khieu Samphan wydają się równego wzrostu. Poza tym obraz zachowany w pamięci się zgadza. Twarz Mao jest zwiotczała, całkiem pusta, Khieu Samphan z promiennym uśmiechem.

Jednak gdy otwiera drzwi swojego domku na skraju Pailin, już się nie uśmiecha. Teraz on ma twarz bez wyrazu. Dwaj mali chłopcy, może jego wnuki, grają w grę telewizyjną. Wyłączają szybko grę i telewizor i znikają gdzieś w głębi domu. Prawą ręką, tą, którą na zdjęciu ściska dłoń Mao Tse-tunga, Khieu Samphan zaprasza mnie, żebym usiadł w jednym z foteli ze skaju. Siedzimy, każdy w swoim ciemnoszarym fotelu, i jakiś chłopak przynosi nam wodę. Khieu Samphan siedzi tu i wyczekuje. Nie na mnie, lecz na jedną z dwóch kapryśnych wizytantek: kambodżańską sprawiedliwość albo śmierć. Khieu Samphan wcześnie się wyróżniał. Był jednym z nielicznych, których rekomendowano do nowo otwartego gimnazjum w Kompong Cham. Chodził o rok niżej od Saloth Sara. Koledzy z klasy uważali Khieu Samphana za bardzo zdolnego. Kontynuował naukę w prestiżowym Lycee Sisowath w Phnom Penh i w nagrodę za osiągnięcia dostał stypendium do Francji. Po raz pierwszy dał o sobie usłyszeć, kiedy w 1959 w Paryżu obronił doktorat.

Jego dysertacja to dość radykalna analiza gospodarki Kambodży, kładąca nacisk na autarkię. W Paryżu należał do grupy lewicujących kambodżańskich studentów. Obracał się w gronie przyszłych Czerwonych Khmerów, jak Hou Youn, Hu Nim, Son Sen i Ieng Sary. Po powrocie do Phnom Penh kandydował do Zgromadzenia Narodowego. Został wybrany dużą liczbą głosów i zasłynął jako Monsieur Propre - nieprzekupny.

Aparat państwowy Sihanouka był przeżarty korupcją, lecz Khieu Samphan stanowił wyjątek. Jeździł do pracy na starym niebieskim motorowerze, podczas gdy inni posłowie wozili się limuzynami. Bezpieka miała go na oku jako lewicowego radykała. Któregoś dnia w centrum Phnom Penh otoczyli go nieznajomi mężczyźni. Pobili go i zostawili leżącego na chodniku, rozebranego do naga. W połowie lat sześćdziesiątych Sihanouk dokonał kolejnej wewnątrzpolitycznej wolty i lewicowej opozycji zaoferował miejsce w rządzie. Khieu Samphan został sekretarzem stanu odpowiedzialnym za reformy gospodarcze. Podjął się swoich zadań z wielką pasją - jego doktorat traktował właśnie o tym. Lecz gdy odmówił przyjmowania łapówek od wpływowych osób, wyleciał na bruk.

Sihanouk zrobił potem jeszcze jeden radykalny zwrot i stworzył rząd prawicowo-konserwatywny. Khieu Samphan obawiał się o swoje życie. Jako jeden z ostatnich lewicowych opozycjonistów zszedł do

podziemia w 1967. A tam, w podziemiu, a właściwie w dżungli, czekali z otwartymi ramionami Czerwoni Khmerzy. Stał się jednym z “trzech widm", obok dwóch innych znanych socjalistów, Hou Youna i Hu Nima - jego dawnych kolegów ze studiów, rzekomo wykończonych przez bezpiekę. Trzy dylematy dla Sihanouka, który wiedział, że wszyscy trzej żyją, ale w jego dementi i tak nikt nie wierzył. Po rewolucji wrócił do Phnom Penh. W 1976 wybrano go na głowę państwa. W swojej książce “Cambodia's recent history and the reasons behind the decisions I made” utrzymuje, że był jedynie figurantem. Twierdzi, że Pol Pot wykorzystał jego dobre imię, żeby poprawić reputację swego rządu. Nie znaleziono żadnych dokumentów wiążących bezpośrednio Khieu Samphana ze zbrodniami Czerwonych Khmerów. On sam pisze, że o terrorze nie miał pojęcia. To prawda, że Czerwoni Khmerzy pilnowali, by nikt nie wiedział więcej ponad to, co absolutnie nieodzowne dla powierzonych jemu czy jej zadań. Ale Khieu Samphan nie mógł nie wiedzieć o S-21 w Phnom Penh. Był świadkiem, jak znikają ludzie, między innymi jego przyjaciele Hou Youn i Hu Nim, oskarżeni o zdradę. Czytał później “wyznanie winy" Hu Nima. Poza tym przez co najmniej piętnaście lat znajdował się w kręgu najbliższych ludzi Pol Pota. Może sam wierzy w to, że nic nie wiedział. Tylko że jemu nikt nie wierzy. Już samo to, że inni lewicowi intelektualiści padli ofiarą czystek, a on nie, stanowi okoliczność obciążającą. Jako prezydent był odpowiedzialny za przyjmowanie oficjalnych wizyt zagranicznych. Szwedzka delegacja nie zaliczała się do nich, ponieważ reprezentowała tylko stowarzyszenie przyjaźni. Ale Khieu Samphan bez wątpienia brał udział w dyskusjach o tym, jak przyjmować gości z zagranicy. Co wolno, a czego nie wolno pokazywać.

211.

BADŹ GOTÓW ODDAĆ ŻYCIE, BY WYPEŁNIĆ ZADANIE WYZNACZONE PRZEZ ORGANIZACJE!

212.

[Z książki Malcolma Caldwella “*Kampuchea: Rationale for a Rural Policy” (1979)*, wydanej pośmiertnie]:

“Należy zaznaczyć, że radykałowie, tacy jak Khieu Samphan i inni, nie byli »teoretykami rewolucji«. Wręcz przeciwnie, nie tylko zawsze podkreślali, jak istotne jest, aby członkowie partii pracowali fizycz-

nie, ramię w ramię z chłopami, ale też sami świecili przykładem. Wyrzekli się wygód i korzyści materialnych, dzieląc pod każdym względem warunki życia biedoty. Phnom Penh nie miało im nic do zaoferowania, więc po wyzwoleniu zachowali swoje biura na prowincji, gdzie czasami pracują na polach. Dlatego właśnie rozumieli i w dalszym ciągu rozumieją problemy chłopów nieskończenie lepiej niż zachodni inteligenci, którzy z dystansu, nieproszeni, chcą teraz o nich wyrokować".

213.
[Widziałem to, co widziałem II]

Dwudziestoparoletni Leng Bith był mnichem, kiedy Czerwoni Khmerzy objęli władzę. Podobnie jak w przypadku wielu młodych mnichów, jego decyzja o wstąpieniu do pagody nie wzięła się wyłącznie z przyczyn religijnych. Rodzice Leng Bitha byli wieśniakami. Nie mieli za co sfinansować dalszej nauki najmłodszego syna. Spotykam go w domu naszego wspólnego znajomego w Phnom Penh. Pracuje dziś w archiwum Zgromadzenia Narodowego. Chudzielec, ojciec dwojga dzieci i wdowiec, koło pięćdziesiątki. Zwykle bez przerwy dowcipkuje. Co i rusz wybucha śmiechem i klepie dłonią w udo albo w ramię najbliższego słuchacza.

Opowiada: "Zacząłem studia w 1973, moi rodzice znaleźli się wtedy koło Pursat, na terenach kontrolowanych przez Czerwonych Khmerów. Przedtem mieszkali w okolicy kontrolowanej przez Lon Nola, ale wojska rządowe konfiskowały żywność i przenosiły ludność z miejsca na miejsce, więc rodzice woleli przejść na drugą stronę. A potem już nie mogli wrócić, ja pojechałem na studia do Battambang. Wieś, w której mieszkali, leżała na terenach Czerwonych Khmerów. To dlatego żołnierze Lon Nola tam nie przychodzili, chociaż walczyli o to, żeby ściągnąć chłopów z powrotem.

Ludzie pytali mnie, po co mi to studiowanie. Mówili, że kiedy Pol Pot zwycięży, to Czerwoni Khmerzy nie będą potrzebować ludzi z wykształceniem, wystarczą im tacy, którzy są lojalni wobec Pol Pota. Ja jednak lubiłem się uczyć i nie chciałem zaliczać się do tej grupy. Wcześniej większość lubiła Czerwonych Khmerów. Bo oni potrafili ludzi uszanować. Nie ukradli nawet jednej papryczki. Jak był czas zbiorów, to przychodzili pomagać. Mówili, że w przyszłości nie będzie ucisku, nie będzie bogatych i biednych, i ludzie im wierzyli. A żołnierze

Lon Nola to byli bandyci. Jak przychodzili do wsi, to zarzynali i zjadali bydło i gwałcili kobiety. To dlatego ludzie się z nimi rozprawiali i szli na ochotnika do Czerwonych Khmerów. Amerykańskie naloty bombowe były straszne. Pod naszym domem zbudowaliśmy własny schron przeciwbombowy. Coś w rodzaju okopu, w którym mogliśmy się schować. Sihanouk robił, co mógł, żeby wzmocnić Czerwonych Khmerów. Przed nimi, za rządów Sihanouka, ludziom się bardzo dobrze powodziło. Więc chcieli, żeby Sihanouk wrócił. Nie widzieliśmy żadnej różnicy. W 1973 pojechałem do Battambang na studia. Miasto pozostawało pod kontrolą Lon Nola. Tego dnia, kiedy Czerwoni Khmerzy zwyciężyli, poszedłem ze szkoły do domu i słuchałem radia. Grali ciągle tę samą pieśń. Ale o jedenastej ogłosili, że odnieśli zwycięstwo, i to nie za pomocą pertraktacji, tylko z bronią w ręku. Powiedzieli, że mamy się nie bać, bo to armia wyzwoleńcza oswobodziła kraj. Wszyscy się z tego bardzo ucieszyli.

Trzy godziny później Czerwoni Khmerzy weszli do miasta i ogłosili apel, żeby wszyscy dali wojsku ryż. Właściciele sklepów z radością zebrali, co mieli, i wystawili żywność przed domy, na powitanie żołnierzy. Miałem wrażenie, że ci nowi żołnierze są całkiem inni od tamtych, których widywałem w mojej wiosce. Ci, którzy zajęli Battambang, byli zdziczali i pozbawieni dyscypliny. Za bardzo się cieszyli i okazywali to w zły sposób. Jak rozumiałem, świętowali swoje zbrojne zwycięstwo, a wszyscy byli bardzo młodzi - szesnaście, siedemnaście lat. Na oko prości, bez żadnego wykształcenia. Paru żołnierzy zarekwirowało jakieś motorowery i rozbijali się nimi o słupy i parkany. Wyrośli w lesie i nie znali miasta. Większość pochodziła z najbiedniejszych stron kraju i miała wpojoną nienawiść do ludzi z jakimś wykształceniem. Okropnie zazdrościli bogatym i kapitalistom. Mimo że Organizacja uczyła ich miłości do bliźniego i że mają być solidarni, nie umieli opanować swojej złości. Chętnie bym został po zwycięstwie nauczycielem, ale Czerwoni Khmerzy jeździli z megafonami i wzywali ludzi, żeby wracali na wieś, każdy do swojej prowincji.

Poszedłem z Battambang, na piechotę, z powrotem do mojej wsi. Na drodze krajowej numer pięć było sporo ludzi z Kompong Chhnang, szli na północ. Spaliśmy na gołej jezdni, krążyły różne pogłoski. Niektórzy mówili, że lepiej iść do dżungli. Tam miała nam pomóc Organizacja. Na drodze leżało dużo trupów żołnierzy. Przy ewakuacji zatrzy-

mywano tych, którzy chcieli wziąć ze sobą dużo rzeczy. Czerwoni Khmerzy kazali im to zostawiać. Używali określenia »suultuk«, co znaczy czyjaś własność. Za Czerwonych Khmerów nie było żadnej własności, nic do nikogo nie należało. Jeśli się chce powiedzieć, że się coś posiada, mówi się »suultuk knyom«. Na przykład te okulary należą do mnie, one są »suultuk«. Ale wtedy nic nie należało do nikogo. Ze zwycięstwa Czerwonych Khmerów nie bardzo się cieszyłem, ale ludzie przekonywali mnie, że wreszcie nastał pokój i że wszyscy będziemy równi, i tak dalej. Ale ja pamiętałem, co wcześniej mówili mi koledzy, że już nie będzie więcej żadnych szkół. Nie słyszałem tej proklamacji, że wszyscy muszą pracować, więc myślałem, że moje studia będą przeszkodą przy szukaniu pracy. Tak czy inaczej cieszyłem się, że znów spotkam rodziców. Kiedy przyszedłem do wsi, wciąż miałem na sobie strój mnicha. Tam powiedzieli mi, że buddyzm został zniesiony. Dla mnie nie było to specjalne zaskoczenie. Czytałem książkę o Mao Tse-tungu i wiedziałem, że w kraju komunistycznym religie nie są dozwolone. Ludzie na wsi nie mieli pojęcia o konsekwencjach tej zmiany. Mnisi mieszkający po wsiach byli zadowoleni, bo teraz mogli spotykać mnichów, którzy studiowali w Battambang. Ale to trwało tylko tydzień.

Później ogłoszono zniesienie religii. Słuchałem też radia, miałem małe radyjko, i tam słyszałem, jak Czerwoni Khmerzy wciąż powtarzali, że mnisi to pijawki, włóczą się tylko i żebrzą o jedzenie, i nie robią nic pożytecznego. Pol Pot próbował zlikwidować buddyzm. Ponieważ moi rodzice mieszkali na terenach Czerwonych Khmerów, a ja w mieście, nie mogłem się z nimi spotykać. Byliśmy podzieleni na różne kategorie. »Ludzie 17 kwietnia« to byli »nowi ludzie«, a »ludzie 18 marca« to byli »dawni ludzie«.

Mieszkałem najpierw z bratem i siostrą, zanim zostałem wysłany do mobilnej brygady pracy. Ponieważ studiowałem i mieszkałem w mieście, nie uważano mnie już za chłopa, choć przecież jestem chłopem z pochodzenia.

Do końca 1975 nic się zasadniczo nie zmieniło. Mogliśmy tylko stwierdzić, że komuniści nie tolerują nepotyzmu. Mieszkałem w Pursat, razem z mobilną brygadą. W 1976 Organizacja zaczęła wypytywać ludzi, co wcześniej robili, czy byli żołnierzami, studentami czy cywilami. Nie wiedzieliśmy, czemu pytają. Mieli mnie za uczciwego, ponieważ byłem mnichem, więc zrobili mnie szefem ośmioosobowej grupy. Ale

szybko mnie zdegradowali, bo szefami robiono tylko »dawnych ludzi«. Co do mobilnej brygady pracy, była to jednostka w bezustannym ruchu, rzucana na trudne odcinki. Wciąż jeszcze mieliśmy ryż i trochę konserw zabranych amerykańskiej armii. Pustych puszek używaliśmy do odmierzania jedzenia i ryżu.

Rok 1976 był bardzo ciężki. Racje żywnościowe się zmniejszyły i jedzenia nie wystarczało. Mobilna brygada dostawała jeszcze mniej od innych, za to musiała pracować więcej. Budowaliśmy jakąś tamę, ale nie było co jeść, więc uciekłem z powrotem do mojej wsi. Próbowałem tam zostać, symulując chorobę i oferując usługi kantynie, w której pracował mój brat. Musiałem nosić jedzenie i nawóz - odchody, które braliśmy z latryn, suszyliśmy i rozrzucaliśmy na polach ryżowych. W 1977 zmarł mój ojciec. Był stary. Traktowali go przyzwoicie, ze względu na wiek. Matce wcześniej proponowano, żeby została szefową kantyny, ale odmówiła. Potem rozmawiała z Czerwonymi Khmerami i wyjaśniła im, że nie przywykła jeść w grupie, z innymi. Przywykła jeść w domu, i oni się na to zgodzili. Dostawała dwie miarki ryżu dziennie [500 gramów], dla niej i dla ojca, więc jedzenia mieli pod dostatkiem. Dostawali też rybę i mięso, czyli żyło się im dobrze. Sami jedli tylko jedną miarkę ryżu, a drugą oddawali mnie. Właśnie dlatego próbowałem uciec z brygady pracy.

Matka zmarła w 1976. Była stara i chora. Kiedy rodzice umarli, wróciłem do mobilnej brygady. Strasznie schudłem, jedno kolano miałem wielkie, opuchnięte, całkiem opadłem z sił. Ale i tak byłem przystojnym mężczyzną, nawet w tym marnym stanie!". Leng Bith wybucha śmiechem i klepie mnie w udo. Upija łyk wody ze szklanki i szybko znów poważnieje. “Jedyni obcokrajowcy, jakich widziałem, to delegacja z Korei Północnej. Byliśmy uprzedzeni tydzień naprzód. Trzy dni przed ich przyjazdem dali nam dobrze zjeść. Trzy razy dziennie, nawet deser.

Potem wybrali robotników w najlepszej kondycji, do tego najtłustsze krowy, i ci musieli orać i sadzić ryż, kiedy Koreańczycy przyjechali. To był bardzo udany pokaz dla zagranicznych gości. W 1978 odszedłem z brygady i zamieszkałem u brata i siostry w naszej wsi. Odpowiadałem za obrządek bydła i miałem pod opieką sześćdziesiąt krów. Raz, kiedy szukałem żab, ślimaków albo czegoś innego do jedzenia, krowy weszły w szkodę, na pole ryżowe. Widziało to parę osób, które doniosły o wszystkim Organizacji. Organizacja postanowiła pod-

dać mnie miesięcznej obserwacji, zobaczyć, czy mam zamiar uciec albo znowu paść krowy ryżem. Po miesiącu zabrało mnie czterech żołnierzy. Poprowadzili mnie w kierunku lasu i byłem pewien, że to już koniec. Ale zabrali mnie do więzienia. Mieściło się w dawnej pagodzie. Siedziało w nim około trzydziestu więźniów. Dwudziestu uchodziło za ciężkich przestępców - to byli żołnierze, którzy służyli pod So Phimem [w sektorze wschodnim]. Na nogach mieli kajdany. Inni dopuścili się drobniejszych przestępstw, ukradli ziemniaki albo coś takiego. Ci w ciągu dnia mogli pracować pod nadzorem, poza więzieniem. Na początku 1979 tych żołnierzy pozabijali. Zaczęli ich wyprowadzać po północy, po dwóch naraz. To zabijanie trwało do godziny piątej. Myślałem, że teraz kolej na mnie, że zetną mi głowę jak tamtym. Modliłem się do Buddy i ślubowałem mu, że jak przeżyję, to będę się modlić codziennie, aż do śmierci. O szóstej drzwi się znowu otworzyły. Wyprowadzili nas i klawisze powiedzieli, że jak będziemy się pilnować, to przeżyjemy. Kazali nam usiąść przed więzieniem i czekać. Powiedzieli, że jak któryś spróbuje uciekać, to zabiją nas wszystkich. Więc jak ktoś potrzebował się wysikać, to reszta szła razem z nim, żeby przypadkiem nie dał nogi. Potem poprowadzili nas do lasu. Wszyscy się bali wietnamskich żołnierzy. Zabrali nas do Koh Kong, gdzie zostałem przez sześć miesięcy.

Pod koniec 1979 wielu udało się uciec. Ja przedostałem się do Pursat i chciałem tam zostać nauczycielem. Jednak władze odrzuciły moje podanie. W tej sytuacji utrzymywałem się z przemytu różnych towarów między Tajlandią a Phnom Penh. Bratu i siostrze też się udało przeżyć. Ale na przykład jednego z moich kuzynów uznano za leniwego i wysłano na reedukację. Już stamtąd nie wrócił. Zabili też mojego wuja, który pracował jako nauczyciel za Lon Nola.

Za Czerwonych Khmerów dobre było to, że nikt za nic nie odpowiadał. Nie było też żadnych awantur, żadnej przestępczości. Jak by jeszcze umieli zapewnić nam żarcie, opiekę lekarską i szkoły, to byliby całkiem w porządku. Gdyby tak wielu nie pozabijali. Parę lat temu znów spotkałem tych, którzy na mnie donieśli. Zjawiłem się w swojej rodzinnej wsi i organizowałem kwestę na nową pagodę. Dałem im znać, że nie mam zamiaru mścić się na nich, więc przyszli na zebranie. Ale się bali i trzymali z daleka".

214.

Cztery dni po wkroczeniu Czerwonych Khmerów do Phnom Penh “Dagens Nyheter" zamieszcza relację z pierwszej konferencji prasowej nowego rządu. Nagłówek brzmi “Zmartwychwstały zwycięzca":
“Podczas gdy Sihanouk wznosił toasty winem i z ochotą opowiadał niektóre z legend krążących o Khieu Samphanie, bohater opowieści księcia siedział w milczeniu na kanapie, ubrany w dyskretny, schludny, zapięty pod szyję garnitur, ze szklaneczką wody mineralnej w ręce. »Kiedy Khieu Samphan był moim ministrem finansów, jako jedyny w rządzie nie przyjmował łapówek. Jeździł do pracy na rowerze i jadał tylko ryż i warzywa, jak prosty człowiek«. Ci ludzie (komuniści) stworzą pierwszy kambodżański rząd wolny od korupcji".

215.

[Z “*Klagernas bok*” (*Księgi brzmień*) Gorana Sonneviego]:

Wyobrażam sobie ucieczkę Pol Pota przez dżunglę. Po ostatniej zdradzie kazał zlikwidować swojego szefa bezpieki, Son Sena, jego żonę i dziewięcioro dzieci. Leży na noszach, pod kroplówką. Ucieka z nim dwustu żołnierzy z rodzinami. Jest przy nim Khieu Samphan, tym razem jako zakładnik, ponieważ on także pertraktował z rządową armią. Ściga ich Ta Mok, kat Pol Pota, który teraz przeszedł na drugą stronę. Uciekają w końcu cienie ludobójstwa. Chciałbym, żeby Pol Pot, schwytany, stanął przed sądem. Ale podejrzewam że tak się nie stanie.

Wewnętrzne ludobójstwo w Kambodży należy do większych w historii. Musnęło mnie swoim oślepiającym skrzydłem.

216.

Sam środek pory suchej, pejzaż spalony w barwach brązu. Droga jest taka, jak pamiętam. Uszkodzone mosty i pełno wielkich wyrw. Tu i ówdzie trafia się kilka nieprzerwanych metrów asfaltu z lat sześćdziesiątych. Reszta to czerwony laterytowy żwir i piach, w którym się grzęźnie. Czasami jakieś auto tłucze się po wybojach, wlokąc za sobą chmurę kurzu; wtedy musimy przymknąć oczy i oddychać przez chłopską chustę w drobną kratę, jaką nosi każdy Khmer w podróży. Przydrożna roślinność wygląda jak sztuczna, bo jest cała pokryta czerwonym kurzem. Pole za polem ryżowego rżyska. Potem góry, ogołocone z lasu deszczowego, który wycięto i sprzedano, aby sfinansować wojnę

domową.

Za kierownicą mego motoroweru siedzi Sokha. Jest mały, chudy, blisko pięćdziesiątki. Spojrzenie... chytre? Francuszczyzna nienaganna. Pochodzi z Phnom Penh, gdzie jego ojciec wykładał na uniwersytecie. Kiedy stolicę ewakuowano, trafił do Kompong Cham, prawie prosto na wschód. To trochę jakby ironia losu - jego ojciec był poza tym sławnym pisarzem i autorem romansu "Róża z Pailin", przed rewolucją wielkiego bestselleru. Teraz, czterdzieści lat później, jego syn kursuje taksówką-motorowerem między Battambang a właśnie Pailin. Sokha opowiada beznamiętnie o swoim jedenaściorgu rodzeństwa. Wszyscy wymarli w latach 1975-1979.

Mijamy teren porośnięty niskim lasem. Międzynarodowa organizacja pomocy humanitarnej oczyszcza okolicę z min. Niektórzy pracują z wykrywaczami metalu, inni pełzną powoli na kolanach, nakłuwając ziemię długimi drutami. Wszyscy są w kamizelkach i maskach ochronnych. Kilka min jest oznaczonych. Wzdłuż drogi stoją tablice ze znajomą białą czaszką na krwistoczerwonym tle. Sokha zna tę wyboistą drogę. Przejeżdżał nią wiele razy. Lecz to nie znaczy, że może jechać szybciej. Osiemdziesiąt pięć kilometrów zabiera ponad cztery godziny.

Pailin był jedną z ostatnich placówek Czerwonych Khmerów. Miasto leży wśród szczytów Gór Kardamonowych. Kiedyś było ośrodkiem handlu kamieniami szlachetnymi, które wydobywano w okolicy. Dziś większość już sprzedano do Tajlandii i Pailin sprawia wrażenie opuszczonego miasta poszukiwaczy złota. Całe miasteczko jakby przerdzewiało. Opuszczone jednak nie jest. Są tu dawni żołnierze, ci, którzy do końca zostali z Pol Potem. Ci, którzy wojowali przez dwadzieścia lat po to, by on mógł odzyskać Phnom Penh. Dzisiaj przypada chiński Nowy Rok. Na zewnątrz szop i domków wiszą długie serie petard. Poza tym taśmy mają do dwóch metrów długości, a na końcu kulę ze szczególnie mocnym ładunkiem. Rozrzucają czerwone confetti, a z pewnej odległości brzmią jak ogień maszynowy.

Sokha i ja siedzimy w szopie skromnej restauracji przy małym bazarze. Ze wszystkich stron słychać ogłuszający huk, a między stolikami snuje się dym z prochu. Czekamy, aż dojdzie czternasta. Na umówione spotkanie z Khieu Samphanem. Poprzedzająca je rozmowa telefoniczna była bardzo uprzejma. Khieu Samphan pytał, co słychać u Jana

Myrdala. Wydawał się zadowolony, kiedy go zapewniłem, że jego stary druh nadal bardzo aktywnie uczestniczy w debacie społecznej. Obiecałem przekazać mu pozdrowienia. Trzaskają petardy, dochodzi czternasta. Ruszamy dalej. Odnaleźć dom Khieu Samphana nie jest zbyt trudno. Kłopot tylko w tym, że ma ich kilka. Ludzie przy bazarze wahają się, zanim powiedzą, jak dojechać. Spojrzenia mają podejrzliwe. Mijamy hotel Pailin. Należy do byłego szefa dyplomacji Czerwonych Khmerów, Ieng Saryego, i jest zamknięty. Z szyldu łuszczy się farba, ramy okienne zieją pustką i niedawno wycięto w ogrodzie wszystkie drzewa. Symbolika aż zbyt natrętna. Pierwszy dom okazuje się niewłaściwy. Bugenwilla, gęsta i wściekle różowa, zwisa nad otaczającym go murem. Przy bramie stoi pusta budka strażnika. Naciskamy dzwonek, ale nie, Khieu Samphan już tam nie mieszka. Nie mieszka także w drugim domu, do którego nas skierowano. Trzeci jest prostym budynkiem, dwupiętrowym, z jasnoniebieskiego betonu. Otacza go wysoki parkan z rzadkich drewnianych sztachet. Brama jest półotwarta. Wchodzę na dziedziniec. Za ciemnym szkłem drzwi wejściowych majaczy jakaś postać, z ręką na klamce. Potem siedzimy tam, każdy w swoim skajowym, ciemnoszarym fotelu, i popijamy wodę ze szklanek.

Khieu Samphan ma na sobie prostą, białą koszulę. Na nogach japonki. Popijamy tę wodę, a on mnie przeprasza. Nie może odpowiadać na żadne osobiste pytania. To zalecenie jego francuskiego adwokata. Mówię mu, że rozumiem. Mówię, że nie chcę pytać o Demokratyczną Kampuczę. Mówię, że chciałbym porozmawiać o Kambodży lat sześćdziesiątych, gdy jeździł motorowerem i nazywano go Monsieur Propre. O Phnom Penh, Paryżu Azji Południowo-Wschodniej, z szerokimi bulwarami i cienistymi alejami. Mieście, do którego przybyła kiedyś delegacja z Singapuru, żeby zobaczyć kambodżański cud i czegoś może się nauczyć. Przeprasza mnie i mówi, że nie może niczego powiedzieć. Popijamy wodę i zamieniamy parę słów o Myrdalu. Ostatnim razem spotkali się w Bangkoku w latach osiemdziesiątych, mówi. Co wie o podróży Myrdala z Towarzystwem Przyjaźni? Nie, tego nie może komentować. Niechętnie spotyka mój wzrok. Te nieliczne spojrzenia są krótkie. Woli patrzeć przez duże, przyciemniane okna w drzwiach. Wydaje się zmęczony. Włosy ma siwe i porusza się z pewną trudnością. Niespodziewanie bardzo przypomina mi Pol Pota, takiego, jak wyglądał, gdy się znów pojawił, w 1997, na kilka miesięcy przed śmiercią. Mówię, że miał takie bogate życie, że o tylu sprawach można by porozma-

wiać.

Przeprasza. Żadnych osobistych pytań. Popijamy wodę. Spojrzenie przez okno, na góry w oddali. Pytam, czy jego książka dobrze się sprzedała, i owszem, sprzedała się dobrze. Wersja kambodżańska, dodaje jeszcze ze znaczącym skinieniem głowy w moją stronę. Mówimy o fatalnej drodze między Pailin a Battambang. O palącym słońcu i że droga powrotna zajmie mi ze cztery godziny. Cztery godziny, kiwa głową. Tak. Jeszcze raz mnie przeprasza, że mi nie może nic powiedzieć. Rozumiem, że czas już się zbierać. Mówię, że wiem, że nie może odpowiedzieć, ale mimo to chciałbym mu zadać osobiste pytanie. Jedno jedyne. Macha odmownie ręką. Że to nie ma sensu. Nie daję za wygraną. Tyle pan w swoim życiu przeżył, ciągnę, Paryż lat pięćdziesiątych, polityczne intrygi w Zgromadzeniu Narodowym w latach sześćdziesiątych, wojnę partyzancką, a później rewolucję. Był pan głową państwa, a potem znów podjął pan walkę i spędził jeszcze dwadzieścia lat w dżungli. Chciałbym po prostu spytać, mówię dalej, który czas uważa pan za najszczęśliwszy?

Nieruchomieje. Jego spojrzenie mnie omija i jeszcze raz znika w oddali. Mijają sekundy i przez jego twarz przebiega szybki uśmiech. Upływa jeszcze parę sekund, i już powraca tamten zwiotczały, niewzruszony wyraz twarzy. "Nie, bardzo przepraszam, monsieur, ale nie mogę odpowiadać na żadne takie pytania". Wstajemy, podajemy sobie ręce i on zamyka za mną drzwi.

217.

NIE MA NIEDZIEL, SĄ SAME PONIEDZIAŁKI!

218.

Francois Bizot pisze o nich w swojej książce "Le Portail". O tych uśmiechach. Francois Bizot to francuski antropolog, do dziś pracujący w Kambodży. Dostał się do niewoli Czerwonych Khmerów w 1971. Kilka miesięcy spędził skuty łańcuchami w ich obozie, potem go nieoczekiwanie wypuszczono. Szefem obozu partyzantów był dwudziestodziewięcioletni wówczas Duch, który później został komendantem S-21. Ci dwaj prowadzili ze sobą długie rozmowy i Francois Bizot, jak twierdzi, po dziś dzień czuje dla swego dawnego dozorcy rodzaj chorej sympatii.

Opowiada, jak go wystawiono na ostatnią próbę, nim go wypuszczono. Wzięto go do jakiegoś domu, gdzie grupa wysokich funkcjonariuszy partyjnych podjęła go obiadem. Jednym z nich był Ta Mok, dowódca sektora południowo-zachodniego. Tuż przedtem argumentował z pasją, że Bizota należy rozstrzelać. Był to chwilami bardzo nerwowy posiłek. Duch, który poręczył za swojego francuskiego więźnia, nie umiał ukryć napięcia.

Po tym, jak jego życie jeszcze raz zdawało się ważyć na szali, Bizot otrzymał materiał propagandowy, który miał dostarczyć do francuskiej ambasady. Ludzie, którzy dopiero co wahali się, czy mu pozwolić żyć, czy nie, stali przed domem i machali na pożegnanie, gdy odjeżdżał samochodem. Bizot pisze, że wszyscy uśmiechali się tak samo. Jakimś zmanierowanym uśmiechem, jakby kopiowali kogoś innego. Kogoś ważniejszego, w kraju, gdzie wszyscy mieli być jednakowo ważni. Opuszczali troszeczkę głowę i jakby obnażali w tym uśmiechu tylko górne zęby. Bezradosny grymas. Przeglądam fotografie. Głupia sprawa, ale wygląda na to, że ta obserwacja Bizota się potwierdza. Uśmiechnięty Pol Pot. Uśmiechnięty Ieng Sary. Uśmiechnięty Khieu Samphan. Ten sam dziwny uśmiech. Czy to Pol Pot zaczął? Czy to przyszło z Chin? Więc właśnie to łączyło wspólnotę wybrańców. Próbuję przed lustrem. Wyglądam jak kretyn.

219.

Słońce zachodzi, ale handel przy promie ciągle wre. Motorowery i pojedyncze samochody przejeżdżają przed miejscem przy burcie, gdzie siedzę, i wjeżdżają na prom. Resztę pokładu wypełniają ludzie, wózki, skrzynie i worki. Ten zardzewiały statek ruszy za chwilę jeszcze raz jak wahadło przez rzekę. Sprzedawcy z plecionymi koszami pełnymi smażonych insektów, frytowanych pierożków z małymi rzecznymi krewetkami i torebek z brudnożółtym sokiem z trzciny cukrowej, tłoczą się z pasażerami. Przechodzi kobieta niosąca w jednej ręce dziesięć kur o powiązanych łapach. W drugiej ma pięć białych kaczek. Pokwakują niegłośno, niemal od niechcenia. W tle tej zgiełkliwej sceny toczy swoje wody rzeka Mekong, wciąż olbrzymia po porze deszczowej.

Myślę o Kochanku Marguerite Duras. Ta historia mogła się zacząć dokładnie w tym miejscu. Piętnastoletnia Marguerite w swoim męskim kapeluszu spotyka dwa razy starszego od siebie chińskiego biznesmena.

A może była to przystań promowa leżąca dalej, w dole rzeki. Neak Loeung wygląda jak większość kambodżańskich prowincjonalnych miasteczek. Biedne i zakurzone. Nie widzę żadnych śladów po tych bombach, które superforteca B-52 zrzuciła tutaj 6 sierpnia 1973. Przez pomyłkę, jak utrzymywano, gdy cały międzynarodowy korpus dziennikarski zleciał się tu z Phnom Penh, do dymiących jeszcze ruin. Powstała z tego potem klasyczna scena w filmie Rolanda Joffe "*Pola śmierci*". Siedzę i patrzę, jak zachodzi słońce i handel toczy się dalej, a w słuchawkach mam audycję dokumentalną, którą Szwedzkie Radio nadało 25 września 1999. Nazywa się to "*Cisza w Phnom Penh*". Słucham wywiadu, jaki autor programu, Bossę Lindquist, przeprowadza z Janem Myrdalem. Rozmawiają o medialnym obrazie Demokratycznej Kampuczy. O międzynarodowej kampanii prasowej, w której na przykład Towarzystwo Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej upatrywało wielkiego zagrożenia dla rewolucji Czerwonych Khmerów. Jan Myrdal stracił głos i mówi z trudem, zachrypnięty. Lecz rozpoznaję jego intonację i nieco staroświecki dobór słów. Są takie same jak w tym filmie dokumentalnym nakręconym przez szwedzką delegację w 1978.

BOSSE LINDQUIST [...]: Przejrzałem nasze radiowe archiwum i kilka archiwów wycinków prasowych za okres od 75 do 78, 79, aż do 80, i jakoś nie znajduję tej propagandowej ofensywy, o której pan i inni piszą.

JAN MYRDAL: No cóż, ja nie mam przed sobą tego materiału - tak pan powiada? Jeżeli pan twierdzi, że nie było żadnej propagandowej ofensywy, to mogę tylko powiedzieć, że ja odczuwałem bardzo silnie, że taka ofensywa wtedy trwała. Ostrzegałem, pamiętam, kiedy byliśmy w Kampuczy, siedziałem tam i słuchałem amerykańskiego radia, które akurat wtedy forsowało różne rzeczy, ostrzegałem Kampuczan, że powinni traktować to dużo bardziej serio, te medialne nagonki, że to się skończy militarną interwencją.

BOSSE LINDQUIST: A jeśli chodzi o te oskarżenia o ludobójstwo i tym podobne, które w tamtym okresie wysuwano, to pisze pan w jednym ze swoich artykułów, że Noam Chomsky i Torben Retboll skrupulatnie je opisali i zbadali, i wykazali, powiedzmy sobie, bezzasadność, czy też niedostateczność podstaw dla tych oskarżeń. I tu chciałbym pana zapytać, jak to jest, bo przecież te ówczesne oskarżenia opierały się na książce "*Readers Digest"* i książce Ponchauda, które, jak się je dzi-

siaj czyta, to mimo wszystko, w dużym stopniu, przedstawiają autentyczne wydarzenia.

JAN MYRDAL: No, w tym momencie, gdy ja to pisałem, to miałem dostęp do Chomsky ego i Retbolla, i tamtych, a więc to nie jest pisane dzisiaj, tylko jest pisane wtedy. Z mojej perspektywy to oni... Nie, no co pan mi właściwie tu insynuuje, że ja siedzę i świadomie łżę!

BOSSE LINDQUIST: Nie, ja po prostu chcę...

JAN MYRDAL: (przerywa gwałtownie) Niech pan nie pieprzy bzdur, bo właśnie to pan cały czas insynuuje! Przecież to brednie są!

BOSSE LINDQUIST: Chodzi mi o to, że pan tu w swoich książkach pisze, że trwa propagandowa kampania przeciwko Kambodży Czerwonych Khmerów. A ja nie widzę tej kampanii, kiedy szukam w różnych archiwach prasowych, więc chciałbym wiedzieć, na czym pan opiera te twierdzenia?
[Cisza]

JAN MYRDAL: Okej, powiedzmy tak, pan jej nie widzi, a ja ją widzę. Gdyby pan chciał ode mnie odpowiedzi, to mógł pan mnie zapytać wcześniej i gdybym miał czas, to mógłbym to wszystko wyłożyć na stół. A tak to jest tylko bezsensowna dyskusja.

BOSSE LINDQUIST: No nie, jak o to chodzi, to czas mamy, znaczy, jeżeli jest pan gotów, to będę bardzo wdzięczny, gdyby pan to zechciał posprawdzać.
[Cisza]

JAN MYRDAL; Nie. Trzeba było uprzedzić, a tak proszę, typowe Szwedzkie Radio, taka manipulacja. Jeżeli chciał pan mi zadać te pytania, to trzeba było mnie uprzedzić. Pańskim zdaniem nie było żadnej kampanii, a moim wręcz przeciwnie. Pan twierdzi, że nic pan nie mógł znaleźć. No cóż, nic na to nie poradzę.

220.
[Jak migotanie białe]

Pol Pot siedzi z bambusową laską, wachlarzem dla ochłody i z czerwono-białą chustą przez ramię. Spojrzenie wbite w drewnianą podłogę. Sala obrad jest pozbawiona ścian, a dookoła niej stoją ludzie, któ-

rzy dotychczas szli za nim. Kończy się lipiec, a siedemdziesięciodwuletni przywódca jest postawiony przed ludowym trybunałem. Oskarżony o zdradę.

Minął miesiąc, odkąd rozkazał zamordować Son Sena, swojego niedoszłego następcę. Oprócz Son Sena zamordowano jego żonę Yun Yat, która była między innymi ministrem kultury Czerwonych Khmerów, oraz ich dzieci i wnuki. Stosunek Pol Pota do Son Sena zawsze był ambiwalentny. Ten wyrok śmierci to zwycięstwo paranoi nad rozsądkiem. Chyba powinien był zrozumieć, że nie można zwracać się przeciwko swoim ostatnim zaufanym. Że ci ostatni mu tego nie darują. Jak mogliby mu po czymś takim wierzyć? Może to tylko maszyneria zaczęła w końcu konsumować tych, którzy pozostali spośród jej stworzycieli. Nadeszła kolej na ostatnich z Braci Numer Jeden, Dwa, Trzy i tak dalej. Zdrajca. Przecież ta myśl musiała mu kiedyś zaświtać? Ci wszyscy bojownicy rewolucji, nie przyznający się do winy, ale straceni jako kontrrewolucjoniści. Wszak kiedyś musiał pomyśleć, że być może zdrada jest poza zasięgiem subiektywnego pojmowania? Że może czai się ukryta także w nim? Czy było to nie do pomyślenia? Wyrok: dożywotnie więzienie. Piszę list do Pałacu Królewskiego w Phnom Penh. Jest rok 2005 i sześćdziesiąt cztery lata po swojej koronacji Sihanouk wciąż mieszka w swoich złotych salach, choć abdykował na rzecz syna Sihamoniego. Piszę do Sihanouka i pytam, jak to było. Wtedy, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy sprawował w kraju niemal niczym nieograniczoną władzę. Kiedy Kambodża była jeszcze “wyspą pokoju", a nie symbolem śmierci, głodu i ubóstwa. Parę tygodni później dostaję w odpowiedzi brązową kopertę. Zawiera gruby album ze zdjęciami w wyblakłych kolorach i kilka kaset wideo. Żadnego listu, żadnych komentarzy. Na kasetach nagrane są trzy spośród filmów Sihanouka z lat sześćdziesiątych. Album nazywa się “*Photos - souvenirs du Cambodge*”, z podtytułem “*Sangkum Reastr Niyum 1955-1969*”. Pełen entuzjastycznych wycinków z prasy światowej, w których wylicza się osiągnięcia “Socjalistycznej Wspólnoty Ludu".

Przeglądam zdjęcia. Najpierw miasta, jedno po drugim, po kolei. Uporządkowane, pełne zieleni, modernistycznie prostolinijne. Phnompeński teatr Bassac, dzisiaj spalony, w całym swoim przepychu. “Szary budynek" - wtedy podłużny, modernistyczny dom urzędników państwowych, dziś obdrapany slums przeznaczony do rozbiórki. Wytworny

kurort Kep, ośrodek sportu w Battambang i miasto widmo przy kasynie na górze Bokor, opuszczone dawno temu. Oglądam nowo otwierane linie kolejowe, futurystyczne budynki lotniskowe i wylewanie asfaltu. Fabryki i szkoły. I jeszcze: wesoły Sihanouk, z łopatą na placu budowy. I jeszcze: wesoły Sihanouk wśród klęczących przed nim poddanych. I jeszcze: wesoły Sihanouk z Jackie Kennedy / Haile Selassie / Charlesem de Gaulleem / Brozem Tito / i tak dalej. Tak jak było. Jak Sihanouk chce, żeby było. Podróżuję z nimi. Idę, gdzie oni szli, widzę to, co oni. Tamta pochyła palma w tle, na zbiorowej fotografii przed Angkor Wat, wciąż jeszcze stoi. Żadnej różnicy. Ta dawna stacja autobusowa w Kompong Cham, gdzie kobiety suszyły kukurydzę, kiedy Szwedzi tam byli - dziś jest prawie ukryta między straganami. Nie mogę odnaleźć nadbrzeżnego pałacu Sihanouka. Podobno zburzył go jakiś generał, lecz turkusowe morze ciągle bije o piaszczystą plażę.

Ulice Kampot są ciągle dosyć pustawe, choć nie tak wyludnione jak na terkoczącym filmie Jana Myrdala. Wiele z tych miejsc wygląda dziś całkiem tak samo. Budowle się nie pozmieniały, tylko trochę bardziej nadżarł je tropikalny klimat. Gdy mrużę oczy w blasku bezlitosnego słońca, w polu widzenia miga mi długa spódnica Heddy Ekerwald, Gunnar Bergström w maoistowskiej czapce z daszkiem. Mam dziś, z grubsza biorąc, tyle samo lat co oni wtedy. Są tam, w kąciku oka, oddaleni, zdawałoby się, o szybkie odwrócenie głowy. Ich ponad tysiącki-lometrowa podróż przez Kambodżę, przygoda i spełniona obietnica. Ich inspekcja zrębów, mozolnie budowanych według rysunków marzenia. A potem dziś. Wszystko tak rozpaczliwie rozpuszczone w morzu minionego.

223.
[W lustrze]

Interpretator, prestidigitator. Jasna karnacja, mężczyzna. Spotykam spojrzenie z niebosiężnego szczytu piramidy. Z pozycji nazywającego. Podróżnik w czasie istniejącym tylko w tych, którzy nim żyli. Jakim prawem, pytam ciebie tam, w lustrze, włóczysz się, nieproszony, wśród ich wspomnień? Jakim prawem zawłaszczasz je, wciągasz do własnych snów? Czarodziej? Złodziej? Ej, ty! Prestidigitator, dyktator?

224.
[Wywiad w “Time", 10 marca 1980]:

REPORTER: “Ile ofiar pochłonęła wasza rewolucja?".

KHIEU SAMPHAN: “Mogę tylko powiedzieć, że ich liczba nie przekracza 10 tysięcy".

225.
[Widziałem to, co widziałem]

Chantou Ocur wcześnie został sierotą. Jego ojciec był lokalnym przywódcą antyfrancuskiego ruchu oporu Khmer Issarak. Poległ w walce, kiedy Chantou Ocur miał rok. Dwanaście miesięcy później Francuzi wycofali się z Kambodży. “Moja matka umarła z żalu, zaraz po ojcu. On był bardzo lubiany, ludzie ciągle o nim opowiadali, kiedy dorastałem. Razem z dwojgiem mojego starszego rodzeństwa musieliśmy mieszkać u krewnych i u mnichów, w różnych pagodach w prowincji Kandal, niedaleko Phnom Penh. W 1975 mieszkałem w Phnom Penh. Studiowałem na uniwersytecie filozofię i matematykę. Byłem prezesem pewnej studenckiej organizacji. Chciałem zostać nauczycielem. Czerwoni Khmerzy w tych czasach mieli dobrą opinię. Komunizm wydawał się właściwą drogą dla społeczeństwa. Opowiadał się przeciw korupcji i po stronie prostych ludzi. Idea, żeby zmniejszyć dystans między bogatymi a biednymi, była dobra. Ale potem przyszedł Pol Pot i wszystko zniszczył.

Kiedy zaczęła się ewakuacja, kazano mi iść do mojej wsi w Kandal. Ponieważ drogi były zapchane ludźmi, przejście trzydziestu pięciu kilometrów zajęło mi dwadzieścia dni. Po miesiącu w rodzinnej wsi wysłali mnie do Battambang, do mobilnej brygady pracy. Starałem się być ciągle brudny, żeby nie było widać, że jestem z miasta. Zawsze trzymałem język za zębami i robiłem wszystko, co mi kazali. Właściwie to podobnie jak u mnichów. Kiedy powiedzieli, że Phnom Penh ma zostać wyludnione, to mnie szczególnie nie zdziwiło. Myślałem, że to konieczne, żeby zrobić w mieście porządek. Spodziewałem się, że później wszystko wróci, będzie po staremu. Cieszyłem się, że wojna się skończyła, i większość myślała podobnie; złożyliśmy broń i machaliśmy białą flagą.

Przez cały czas miałem ze sobą mały notes, gdzie zapisywałem albo rysowałem to, czego byłem świadkiem. To było bardzo ryzykowne, ale coś mnie do tego przymuszało. Miałem wrażenie, że zawsze wyprzedzam Czerwonych Khmerów o krok. Chowałem notes i ogryzek

ołówka za paskiem spodni. Gdy wszystkie strony już były zapisane, zakopałem go. W sumie zakopałem notesy i szkice w pięciu miejscach. Kiedy wróciłem do Kambodży w 1989, to pojechałem znów do Battambang, żeby je odszukać. Znalazłem jeden. Nigdy nie zapisywałem żadnych ponurych myśli, tylko to, co widziałem. Pierwszy rok był najgorszy. Cierpiałem głód i trudno mi było wytrzymać to wszystko psychicznie. Nie miałem pojęcia, gdzie się podział mój brat. Widziałem, jak umiera jeden z moich przyjaciół, i musiałem bardzo ciężko pracować. Nadal bytem potulny i posłuszny.

Po jakimś czasie nabrali już do mnie zaufania. Zostałem przeniesiony do innej grupy, gdzie było lepiej. Dostawaliśmy więcej jedzenia od innych. Potem życie zrobiło się już prawie normalne i zrobiono mnie kimś w rodzaju szefa tej grupy. Ten pierwszy, straszny rok nauczył mnie wartości życia, zresztą wszystkiego, co wiem o społeczeństwie i o ludziach. Nauczyłem się cierpliwości i tego, że buddyzm faktycznie sprawdza się w praktyce. Zawsze powtarzam, że ten rok to był mój najlepszy uniwersytet i najważniejsza szkoła. Spałem pod jednym z domów stojących na palach. W tym domu mieszkali żołnierze. Przez podłogę słyszałem, jak rozmawiają ze sobą przed zaśnięciem o tym, jak zabijali ludzi. To było bardzo techniczne - jakby rozmawiali o kurczakach. Co robili i jak ci ludzie umierali.

Widziałem też, jak obmywali nogi z krwi, kiedy wracali wieczorami. Koło domu stała duża balia z wodą i tam myli sobie te nogi. Widziałem nawet, jak mordują ludzi, ale z daleka. Prowadzili ich rzędem z rękami związanymi z tyłu, obok miejsca, gdzie siedziałem. Potem słyszałem krzyki i płacz, nim się zrobiło całkiem cicho. Grupa żołnierzy, która zabijała, składała się z trzynastu ludzi. Po 1979 żadnego z nich nie spotkałem. Paru z nich to były dobre chłopaki, szokowało ich to, co robią. Czasami podrzucali mi coś ekstra do jedzenia. A pozostali chełpili się tym zabijaniem. Wszyscy pochodzili z ubogich rodzin. Ci dumni z zabijania nosili w sobie wielki gniew. Pragnęli zemsty. Zdaje mi się, że wiele tego mordowania brało się z gniewu.

W 1978 przyszedł nowy oddział żołnierzy. Ci byli bardzo brutalni i pozabijali prawie wszystkich z tej pierwszej grupy. Dzięki jedzeniu odzyskałem siły. Mogłem nosić worki z ryżem i mleć ryż. Żarna były bardzo ciężkie, ale ja jestem dosyć duży jak na Khmera, dlatego uznali, że dam radę je obracać. Przy zbiorach ludzie się cieszyli. Bo wtedy

mieli dużo jedzenia, jednak po dwóch miesiącach racje żywnościowe znowu zaczęły się zmniejszać. Po jakimś czasie w zupie pływało tylko po parę ziaren ryżu. W tamtym czasie nigdy się nie myślało o przyszłości. Próbowało się tylko przeżyć z dnia na dzień, zdobyć tyle jedzenia, żeby starczyło, i nie dać się zabić. Myślę, że ludzie by nie narzekali, gdyby było jedzenie i gdyby ich nie mordowano.

Kambodżanie nie boją się pracy. Dokoła nas jest mnóstwo jedzenia - owoce, ryby i warzywa. Ale nie pozwalano nam go zbierać na własną rękę. Rozmawiałem z wieloma uchodźcami w USA i oni się ze mną zgadzają. To, że znikły różnice społeczne, było dobre. Kiedy nadeszli Wietnamczycy, uciekłem do lasu. Chodziłem po wsiach i próbowałem organizować ruch oporu. Wietnamczycy zaczęli deptać mi po piętach i musiałem uciekać za tajską granicę. Tam trafiłem do obozu uchodźców. Potem wysłano mnie do USA. Kiedy wróciłem w 1989, odnalazłem w Phnom Penh mojego brata. Strasznie się ucieszyłem. Moja siostra też przeżyła. Pracuje na poczcie, tak samo jak przed wojną".

226.

KŁANIANIE SIE TO PRZEŻYTEK!

227.

Dostaję mejl od Marity Wikander. Pisze, że nie chce udzielić mi wywiadu. Ton nie jest nieżyczliwy. Ale nie zachęca do kontynuacji dialogu.

Pisze, że przez lata próbowała zrozumieć tę podróż do Demokratycznej Kampuczy w 1978. To, co się wtedy działo w Kambodży, to, co się dzieje teraz. Ale że to są jej prywatne rozważania, z których nic dla nikogo nie wynika. Ważniejsza jest sama tragedia Kambodży, pisze dalej. Amerykańskie naloty bombowe, później rewolucja, która zniszczyła strukturę społeczną i pociągnęła za sobą śmierć milionów. Następująca po tym nędza. To jest, pisze dalej, tak przerażające, że trudno objąć to rozumem. I “pozdrawiam uprzejmie".

228.

[Jak migotanie białe]

To pierwszy od osiemnastu lat wywiad udzielony zachodniemu dziennikarzowi. Skromna chata, mały, drewniany stolik. Pol Pot mówi

słabym głosem. Udar mózgu częściowo sparaliżował lewą stronę ciała. Na lewe oko prawie nic nie widzi. Raz wygląda, jakby był smutny, raz - jakby szukał otuchy. Mówi: "Moim zadaniem była walka, nie zabijanie ludzi. Teraz też, kiedy pan mnie widzi, miałbym być potworem? Sumienie mam czyste". I dalej: "Nie uchylam się od odpowiedzialności - nasz ruch popełniał błędy, jak każdy polityczny ruch na świecie. Ale istniała okoliczność, na którą nie mieliśmy wpływu - wróg rzucał nam kłody pod nogi. I powiem panu, jedną rzeczą się mogę poszczycić: gdybyśmy nie walczyli, to w 1975 Kambodża stałaby się prowincją Wietnamu".

Po zakończeniu wywiadu, kiedy Pol Pot przeprosił, mówiąc, że jest bardzo zmęczony, i ktoś pomógł mu wstać od stolika, on znów uśmiecha się tym uśmiechem. "*Engaging smile*", pisze dziennikarz. A gdy już się uśmiechnął tym swoim uśmiechem i wsparty na ramieniu młodego żołnierza dokuśtykał do samochodu, mówi do tego żołnierza, swojego więziennego strażnika: "Chcę, żebyś wiedział, że wszystko, co robiłem, robiłem dla mojego kraju".

229.

[Jak migotanie białe]

DZIENNIKARZ: Chce pan przeprosić za cierpienia, jakie pan spowodował?

POL POT: [zbity z tropu, do tłumacza] Mógłbyś, proszę, powtórzyć pytanie?

TŁUMACZ: On pyta, czy pan chce przeprosić za cierpienia, jakie pan spowodował?

POL POT: [wciąż jakby zdezorientowany) Nie.

230.

Droga. Skute mrozem meandry wśród krajobrazu. Kiedy byłem mały, zdawało mi się, że prowadzi z jednego miejsca do drugiego. Że się zaczyna i kończy w określonych miejscach. Później zrozumiałem, że to nie tak. Droga prowadzi do nowych dróg. Wszystkie drogi są z sobą powiązane. Tworzą wielkie kręgi. Obiegi. Jeśli się podróżuje dostatecznie daleko, staje się jasne, że droga prowadzi do siebie samej.

231.

JEDNA RĘKA ŚCISKA MOTYKĘ, A DRUGA KARABIN!

Z balkonu widzę Stadion Olimpijski w Phnom Penh. Projekt ulubionego architekta księcia Sihanouka, Vann Molyvanna, jedna z najważniejszych modernistycznych budowli w tym kraju. Linie, rytm, wszystko tchnie duchem lat sześćdziesiątych i otwarciem w przyszłość. Oczywiście, nigdy nie było mowy o tym, by Kambodża miała urządzać olimpiadę. Ale stadion wybudowano całkowicie za własne środki, bez zagranicznej pomocy. Prestiżowy projekt. Sihanouk chciał pokazać światu, na co stać jego kraj. Jeśli więc zręby są ufundowane na hybris, to chyba obojętne, jak się nazwie resztę? “Ufać we własne siły", jak później wyraził to Pol Pot.

Nad balkonem przeciąga gnuśny podmuch wiatru. Upał na moment staje się znośniejszy. Na ulicy paru mechaników z hałasem wyklepuje wgniecioną karoserię. Stadion Olimpijski to podobno miejsce, dokąd parę dni po rewolucji zabrano na stracenie urzędników rządu Lon Nola.

W pewnej książce znajduję zdjęcie Pol Pota na podium przy krótszym boku stadionu. To jakieś masowe zgromadzenie, nie wiadomo jakie. Nie urządzano prawie żadnych takich spędów. Niczego, co by dało się porównać z szumną inauguracją Sihanouka, z defiladami i szkolną dziatwą machającą chorągiewkami. Teraz stadion niszczeje. Ożywa między piątą a siódmą rano i o zachodzie słońca. Wtedy ściągają tam ludzie, żeby się gimnastykować i uprawiać jogging na bieżniach. Pobłyskują złocone ornamenty stadionu, najwyraźniej dałem się im uwieść.

Obraz Demokratycznej Kampuczy był tak dramatyczny, tak przerażający i spektakularny. Przez jego pryzmat próbowałem zrozumieć tok zdarzeń. Dlatego wiele rzeczy stało się niepojęte. Ten obraz: skolektywizowane społeczeństwo, przymusowa praca i doraźne egzekucje. Kraj budowany według komunistycznej sztancy. Ludzie-roboty, bezkompromisowi i bezlitośni. Wszędzie te same czarne uniformy, te same drakońskie prawa i te same nieludzkie warunki. Jeżeli wszystko jest jednym wielkim racjonalnym aparatem, to głód i zabijanie są w to wkalkulowane. Obojętność na ludzkie cierpienie totalna. Co każe pewnej liczbie mężczyzn uprawiać taką politykę? I jak można nakłonić

podwładnych, żeby ją realizowali? Opowieści, na które natrafiam, nie pasują do tego szablonu. Są niezborne i przeczą sobie nawzajem. Muszę przenieść spojrzenie gdzie indziej. Odpowiedzi nie znajdę w tym obrazie, bo nie da się go zrozumieć. Przedstawia oczekiwanie, a nie rzeczywistość.

233.

Demokratyczna Kampucza dzieliła się na siedem sektorów. Na czele każdego z nich stał człowiek, który przynajmniej początkowo cieszył się zaufaniem Pol Pota - Ta Mok, So Phim, Ke Pauk, Koy Thuon, Ruos Nhim, Son Sen i Vorn Vet. Szefowie sektorów pod wieloma względami byli samodzielni. Podczas wojny domowej i przed nią kontakt między nimi prawie nie istniał. Sektory miały więc dosyć szeroką autonomię. W paternalistycznym społeczeństwie, takim jak Kambodża, gdzie osobista lojalność liczy się bardziej niż prawa i dyrektywy, miało to łatwe do przewidzenia konsekwencje. Można w ich osobach widzieć regionalnych “bogów wojny". Czasem nawet przywódców klanu, bo na przykład Ta Mok postarał się, by najważniejsze stanowiska wokół siebie rozdać członkom rodziny. Wprawdzie łączyły ich wspólne doświadczenia, ale nie byli ulepieni z tej samej gliny. Jeden studiował w Paryżu, lecz większość to ludzie z dawnego Khmer Issarak, weterani walk niepodległościowych przeciwko Francuzom w latach pięćdziesiątych. Już wtedy znani ze swojej brutalności.

Kraj też nie wszędzie wygląda podobnie. Życie na polach ryżowych w środkowej Kambodży znacznie się różni od życia w porośniętych dżunglą górach na wschodzie i zachodzie. Centralnie podejmowane decyzje w praktyce wyglądały różnie w poszczególnych częściach kraju. Poza tym informacja ulegała po drodze wypaczeniu. Na skutek ambicji, aby przywódcze funkcje sprawowali ludzie bez wykształcenia.

Wielu z nich było analfabetami. Dyrektywy musiały więc wędrować przez stopnie hierarchii podawane z ust do ust. Coś w rodzaju zabawy w głuchy telefon, gdzie pewne rzeczy nabierały mocy, a inne po drodze się gubiły. Nadrzędna rewolucyjna zasada głosiła, że zawsze lepiej zrobić za dużo niż za mało. Rozkaz, aby “unieszkodliwić bogaczy", mógł być rozumiany tym dosłowniej, im więcej razy został po drodze powtórzony. Informacja wędrująca z poziomu lokalnego do góry także nie była szczególnie godna zaufania. Istniały plany, które należało re-

alizować. W przeciwnym razie lokalni przywódcy mogli ponieść karę. Dlatego sprawozdania fałszowano na każdym poziomie. Potem na ich podstawie zapadały decyzje kierownictwa regionu lub kraju. Coś w rodzaju rujnującego sprzężenia zwrotnego.

Przykład: Pewien kolektyw powinien zgodnie z planem wyprodukować 300 ton ryżu. Plon jest zebrany, ale wyniósł tylko 200 ton. Oznacza to zawalenie planu. Nikt się nie waży przyznać do tego przełożonym i plon zostaje zawyżony do oczekiwanego poziomu 300 ton. Według regionalnych obliczeń tenże kolektyw potrzebuje rocznie 150 ton ryżu, aby wyżywić swoich członków. Ponieważ zadeklarowany plon dwukrotnie przewyższa własne zapotrzebowanie, kolektyw 264 otrzymuje polecenie przekazania nadwyżki 150 ton na inne tereny. Polecenie musi być wykonane. W praktyce zostaje im zatem tylko 50 ton ryżu na cały przyszły rok, czyli jedna trzecia ilości faktycznie potrzebnej. Decydenci na szczeblu regionu stwierdzają następnie, że kolektyw z łatwością uzyskał wyznaczony w pierwszym roku cel produkcyjny - 300 ton. Istnieje więc margines do wykorzystania. W przyszłym roku dostają rozkaz wyprodukowania 400 ton. Członkowie kolektywu, coraz bardziej niedożywieni, muszą teraz pracować jeszcze ciężej niż przedtem. Współmierność jest tu fałszywym tropem. Przeciwnie, regionalne i lokalne różnice były bardzo duże. Północno-zachodnia Kambodża, wokół Battambang, uchodzi powszechnie za najgorszą strefę, gdzie setki tysięcy deportowanych musiały karczować dżunglę.

Wschodnia Kambodża, w okolicach Kratie, uważana jest za jedną z najlżejszych. Ale w pobliżu Kratie mogły znajdować się kolektywy, w których warunki życia były równie straszne, jak w Battambang. I vice versa. Większość ludzi, z którymi rozmawiam, opowiada o głodzie, ale są też nieliczni, którzy mówią, że mieli raczej za dużo jedzenia. Czasami nawet sąsiadujące kolektywy mogły egzystować w zupełnie różnych warunkach - jeden głodował, a drugi nie. Przeżycia miały też charakter osobniczy.

Chłopom skonfiskowano ich rodzinne gospodarstwa i tradycyjne struktury społeczne zostały zdemontowane. Codzienna praca była cięższa, ale w zasadzie ta sama. Dużo dotkliwiej wstrząs tych zmian odczuła ludność miejska. Jej nowoczesne, zurbanizowane życie z dnia na dzień zamieniono w niewolniczą pracę na roli, w warunkach z epoki kamiennej. Ten obraz przy bliższym oglądzie wydaje się nieregularnie

kalejdoskopowy, złożony z różnych fragmentów. Co pozostaje ze współmierności? Rewolucja, w której centralnym teoriom dano pierwszeństwo względem lokalnych 265 warunków. Bezkompromisowość. Tradycyjna przemoc, spotęgowana jeszcze okrucieństwem wojny domowej. Ale niewiele więcej. Współmierne, bezmierne, niewymierne. Co jest przyczyną, a co skutkiem?

Jakkolwiek by z tym było, nie mogę stwierdzić nic innego, jak to, że Demokratyczna Kampucza to jeden z najgorszych, może nawet najgorszy reżim naszych czasów. Mieszanka niebywałej brutalności z często zdumiewającym brakiem kompetencji.

234.

GDY NASZE SERCA WYZBĘDĄ SIE UCZUĆ I LITOŚCI, NASZA WALKA STANIE SIE NIEZŁOMNA!

235.

Dom Numer Jeden. Dawny pałac francuskiego gubernatora, nad rzeką. Siedzą wokół ciężkiego stołu z ciemnego drewna. Przystrojonego kwiatami i nakrytego do obiadu. Premier Pol Pot, szef dyplomacji Ieng Sary i delegacja Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej.

Dwunasty dzień podróży. To przyjęcie zapowiedziano ledwie parę godzin temu. Ponieważ wcześniej ich nie uprzedzono, Marita Wikander i Hedda Ekerwald były na swoim zwykłym spacerze po mieście. Jednak przewodnicy umieli je zlokalizować bez problemu. Ale teraz siedzą przy stole. Gospodarze powitali ich uściskami dłoni. Żadnego obcałowywania po policzkach, jak z duńską delegacją kilka tygodni wcześniej. Może to kwestia etykiety, aby zaznaczyć różnicę między delegacjami czysto komunistycznymi a tymi z towarzystw przyjaźni? Rozmowa toczy się po khmersku, tłumaczona na szwedzki. Teraz już mniej formalna, po udzieleniu wywiadów swobodniejsza. Pol Pot uprościł nieco procedurę. Zarówno on jak i minister spraw zagranicznych Ieng Sary świetnie znają francuski i nie czekają już na tłumaczenie pytań zadawanych po francusku. Sami mówią dalej po khmersku, tłumaczy ich tłumacz o wysokim czole.

Personel usługujący przy stole jest cichy i sprawny. Podaje parujący ryż, przynosi sos rybny i małe, płytkie miseczki. Ćwiartki limonek, papryczki. Trey domrey - “ryba słoń", dla Szwedów niełatwa. Mnóstwo

drobnych, kłujących ości w mięsie. Pol Pot i Ieng Sary są przyzwyczajeni. Wyciągają ości z kącika ust, nie przerywając rozmowy. I świeże ostrygi. Importowane. Ale skąd? Z Chin? Świeże małże w gorącym i wilgotnym kraju. Gunnar Bergstrón się waha, lecz jako przewodniczącemu nie wypada mu odmówić. Kątem oka widzi, jak Jan Myrdal dyskretnie wrzuca swe ostrygi do kieszeni marynarki.

236.

[Czwartek, 24 sierpnia 1978]

Hedda Ekerwald zapisuje w dzienniku podróży: "Wizyta w kooperatywie Ang Trasom, a potem powrót do Phnom Penh. Wieczorem byliśmy na obiedzie u premiera Pol Pota, razem z ministrem spraw zagranicznych Ieng Sarym. [...] To było dziwne uczucie, spotkać Pol Pota i Ieng Saryego. Zrobiliśmy wywiad z Pol Potem. [...] Używa w nim długich, trzysylabowych słów w rodzaju »aneksjoniści i pożeracze terytoriów«. Może to prościej brzmi po khmersku gdy tak mówi. Ale potem, gdy rozmawialiśmy już bez magnetofonu, mówił zwyczajnie i po prostu. Szkoda, że nie mogliście słyszeć go wtedy!"

237.

NIECH ŻYJE SPRAWIEDLIWA I NA WSKROŚ ROZUMNA ORGANIZACJA!

238.

Huoy? Nazwisko brzmi znajomo. Sprawdzam. Zgadza się, to człowiek, który przesłuchiwał Isoup Ganthy'ego w S-21, a potem złożył swój podpis na protokole. Spotykam go, nie w fizycznej rzeczywistości, tylko w filmie dokumentalnym. Zdaje się, że ma gospodarstwo rolne gdzieś koło Phnom Penh. Na filmie wygląda jak zwykły mężczyzna, choć trochę milczący. Poważny, powściągliwy. Wydaje mi się, że czuję w nim pewne napięcie. Jakby udało mu się zamknąć drzwi za czymś, co mogłoby go zniszczyć, a co cały czas szarpie za klamkę. Na czole ma trzy ciemne, okrągłe plamy. Ślady szczepienia ospy sposobem stosowanym w tutejszej ludowej medycynie. Opowiada o swoim czasie w S-21:

"Byłem wtedy młody. Nie wybiegałem myślą zbyt daleko. Byłem krewki, robiłem to, co mi kazali. Nie musieli mi dwa razy powtarzać.

Jak chcieli, żeby kogoś wywieźć i wykończyć, to to robiłem, skoro Organizacja tak chciała. Kiedy dziś o tym myślę, to rozumiem, że robiłem źle. Wstydzę się tego. Ale nie myślę o tym. Kiedy o tym myślę, to mnie boli głowa".

Do jakiego stopnia walka stawała się prywatną tożsamością tych, co kręcili wałkiem powielacza i wystawali przed lokalnym spożywczakiem? Tych, którzy w wieku nastu lat uczyli się świata za pośrednictwem FNL? A ta wspólnota między aktywistami, zarówno ideologiczna, jak i towarzyska, jak zabarwiała ich obraz świata? Albo raczej jakich niuansów ten obraz pozbawiała? Czy dostatecznie wielu, aby podróż do społeczeństwa przyszłości pozbawić ważnych wymiarów? Chcieli widzieć, ale nie byli w stanie? Bo zaślepiało ich to wszystko, o co latami walczyli? Bo musieliby podać w wątpliwość nie tylko to, co widzieli, lecz także własną tożsamość? To, czym byli?

240.
Kissinger!
Kissinger!
Mor!
Der!
Ca

241.

Tego dnia w bibliotece w Phnom Penh znajduję nie tylko posklejaną skoczem “Kampuczę między dwiema wojnami”. Przeglądam też jakiś podręcznik do gimnazjum z początku lat pięćdziesiątych. W tej dosyć cienkiej książce jest przedstawiona cała historia świata. Ostatnie pożółkłe strony omawiają drugą wojnę światową. Mężowie stanu podejmują wielkie decyzje, armie druzgoczą i są druzgotane. Z roztargnieniem kartkuję ten opis nudny jak flaki z olejem. Dopiero gdy już odstawiłem książkę i przejechałem na rowerze kilka przecznic, uderza mnie, że ani słowem nie wspomniano tam o Holokauście.

242.

KTO PROTESTUJE, JEST WROGIEM! KTO STAWIA OPÓR, JEST TRUPEM!

243.

Kiedy już zbieram się do wyjścia, Suong Sikoeun mnie zatrzymuje. Zdaje się ożywiony tą wizytą i z mozołem podnosi się z półleżącej pozycji.

Mówi, że marzy mu się pewna rzecz. W ciągu ostatnich lat, przed operacją serca, uczył okoliczną młodzież między innymi angielskiego i geografii. Nieodpłatnie, bien sur. To ważna misja. Tylko że, mówi, brak im książek. Może bym zechciał spytać jego dawnych przyjaciół, tych z Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej, czyby nie mogli wystarać się o pieniądze na jakąś małą bibliotekę? Miałoby to wielkie znaczenie dla nowych pokoleń. Młodzi mogliby tam poznawać klasykę światowej literatury. To by im poszerzyło horyzonty. Za pośrednictwem mejla przekazuję tę prośbę Heddzie Ekerwald. Wchodzi ona w skład grupy powołanej po to, by ostatecznie zlikwidować uśpione Towarzystwo. Niebawem grupa ma zadecydować, na co przeznaczyć dawną kasę stowarzyszenia. Tę wyżebraną potrząsaniem skarbonkami parędziesiąt lat temu.

Odpowiedź przychodzi nieprędko. W końcu Hedda pisze, że postanowili wspomóc organizację pracującą z bezdomnymi dziećmi przy morskim kąpielisku Sihanoukville. Dziećmi z plaży, sprzedającymi owoce i siebie.

244.

Steve Heder zjawia się lekko spóźniony. Jest zestresowany i pozbawiony, jak się zdaje, wszelkich cech, jakie sztampowo przypisuje się Amerykanom. Nie powitał mnie hałaśliwym “jak się masz", nie poczęstował szerokim uśmiechem zaraz po pytaniu, co może dla mnie zrobić, ponieważ w ogóle o to nie zapytał. Usta zasłania mu obfity wąs, lecz jestem przekonany, że w trakcie naszej rozmowy nie uśmiecha się ani razu.

Steve Heder był zaproszony do Demokratycznej Kampuczy w styczniu 1979. Przed rewolucją pracował w Phnom Penh jako korespondent. Już sam gest zaproszenia doświadczonego dziennikarza, znającego dobrze Kambodżę, miał poprawić wizerunek Pol Pota. Także sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim, otrzymał zaproszenie. Steve Heder siedział już na walizkach w Pekinie, gdy Wietnamczycy zaatakowali cel jego podróży. Z wizyty w Demokratycznej Kampuczy nic nie wyszło. Wybrał się za to nad granicę Kambodży z Tajlandią. Tam zaczął przeprowadzać systematyczne wywiady - półtora tysiąca rozmów

z uchodźcami o ich przeżyciach pod władzą Czerwonych Khmerów.

Odtąd zajął się studiowaniem rewolucji, którą sam początkowo wspierał. Przez wielu jest dziś uważany za człowieka, który poza dawną partyjną wierchuszką wie najwięcej o rządach Czerwonych Khmerów. Mam do niego właściwie tylko jedno pytanie. W jaki sposób Suong Sikoeun i jego podwładni mogli przez dwa tygodnie mydlić oczy szwedzkiej delegacji? Jak można było zainscenizować tak perfekcyjne oszustwo w kraju, gdzie tak niewiele działało? Gdzie mieli tak znikome doświadczenie z delegacjami z zagranicy? Kiwa głową w skupieniu, a potem mówi, że się mylę. Wcale nie byli nowicjuszami w zakresie przyjmowania ważnych wizyt i budowania wsi potiomkinowskich. Ale przecież, wtrącam nieco speszony, oni nie przyjmowali prawie żadnych zagranicznych wizyt.

Nie przyjmowali, mówi, to prawda. Tyle że to było dokładnie to samo, co przy wizytach partyjnej wierchuszki, przy tych nielicznych okazjach, kiedy opuszczała Phnom Penh. Można im było pokazywać tylko to, czego oczekiwali. Gdyby dostrzegli jakieś konsekwencje swojej chybionej polityki, ich frustracja skrupiłaby się na lokalnych przywódcach. Więc w interesie tych ostatnich leżało absolutnie przedstawianie uładzonej wersji rzeczywistości. A czy w tych czarnych mercedesach siedzieli politrucy z Phnom Penh, czy bladzi obcokrajowcy, nie miało większego znaczenia dla ludzi stojących przy drogach lub przyjmujących gości w kooperatywach. Oni zdawali sobie sprawę, co ich czeka, jeżeli przedstawienie nie wypadnie przekonująco. Powodowało to także, uważa Steve Heder, że Pol Pot i inni prawdopodobnie wiedzieli dość mało o prawdziwej sytuacji na prowincji. Te wyniki i cyfry, które im raportowano, odzwierciedlały raczej ich oczekiwania niż faktyczny stan rzeczy. To z kolei sprawiało, że próby reform zainicjowane w 1978 były zasadniczo skazane na klęskę. Opierały się przecież na wnioskach wyciągniętych z fałszywych przesłanek. Ale to nie oznacza zwolnienia od odpowiedzialności. Steve Heder przesuwa tylko nieco punkt ciężkości. Wina wciąż leży tam, gdzie leży.

245.
KAŻDY DZIEŃ JEST ŚWIĘTEM!

246.

Co nam będą mogły wyrzucać przyszłe pokolenia? Że nie dość głośno protestowaliśmy przeciwko okupacji Tybetu? Że Rosja mogła bezkarnie pustoszyć Czeczenię? Że codziennie na świecie umierało z głodu 30 tysięcy ludzi? Że miliony dzieci i kobiet sprzedawano jako niewolników seksualnych?

247.

[Wtorek, 15 sierpnia 1978]

Hedda Ekerwald pisze w swoim dzienniku podróży: "Dziwne wrażenie na budowie Tamy imienia Szóstego Stycznia [...]. Cztery tysiące młodych ludzi pracowało tu przy wykańczaniu jazu, który zapewni dopływ wody do wszystkich kanałów. W Szwecji rzadko zdarza się widzieć tylu ludzi pracujących razem. Na przykład w Szpitalu Akademickim w Uppsali jest zatrudnionych pięć i pół tysiąca ludzi. Ale wszyscy są w środku, w różnych salach i korytarzach, a tu, przy Zaporze Szóstego Stycznia, są oni wszyscy razem. I dzięki temu widać wyraźnie, jak wielkiego dzieła wspólnie dokonują! To właśnie te systemy nawadniające rewolucjonizują kampuczańskie rolnictwo. Pracująca tu młodzież pochodzi z rejonów otaczających tamę i podczas budowy mieszka tam w barakach. Ciekawe, jak to jest mieszkać i pracować w ten sposób. Można się tego dowiedzieć dopiero, kiedy się ich pozna. Czy tęsknią za rodzinną wioską, czy wdają się w polityczne kłótnie i dzielą się na różne grupy, czy wieczorami tańczą przy ludowej muzyce z radia? Ilu spotyka tu swoich przyszłych małżonków? Czuję nagle, że chciałabym tu zostać i pracować razem z nimi".

248.

[Jak migotanie białe]

Jest 15 kwietnia 1998 i Pol Pot leży w prostej chacie. Serce nie bije, nierównomierny oddech ustał. W dziurki od nosa ktoś mu powtykał watę. Włosy są ufarbowane na brązowo - ostatnie przebranie, na wypadek ucieczki do Tajlandii. Przyczyna śmierci jest nieznana. Jego nadworny medyk twierdzi, że to atak serca. Pogłoski o tym, że został otruty, już krążą. Jest bardzo gorąco. Parne powietrze w chacie śmierdzi formaliną użytą do konserwacji ciała. Trzy dni później Pol Pot zostanie skremowany, na stosie z opon i śmieci. Dym przez gęste listowie.

249.

Napięty program i przyśpieszone tempo. Ta formuła to norma przy oficjalnych wizytach w krajach komunistycznych, pisze amerykański profesor Paul Hollander w książce *"Political Pilgrims - Travels of Western Intellectuals to the Soviet Union, China, and Cuba"*. Chodzi o to, by w delikatny sposób zmęczyć gości, przytłoczyć ich pozytywnymi wrażeniami. Czerwoni Khmerzy przyswoili sobie tę zasadę, ale jej nie opanowali. Wynika to z wewnętrznych dokumentów, w których przewodnicy składają raporty swoim przełożonym. Przyjeżdżające delegacje nie dostawały wcześniej programu wizyty, tak jak w innych krajach. Program był improwizowany z parodniowym wyprzedzeniem, co umożliwiało zaspokajanie przynajmniej części życzeń gości. Dziennikarz Richard Dudman, który razem z Elizabeth Becker i Malcolmem Caldwellem wchodził w skład przedostatniej delegacji, która odwiedziła Demokratyczną Kampuczę, pisze w "*Dagens Nyheter*" 4 stycznia 1979:

"Ale ich pomysł na pokazywanie gościom kraju sprowadza się do długich, szybkich rajdów samochodowych, od jednej dokładnie zaplanowanej wizyty do drugiej. Czasami zatrzymują się, na naszą prośbę, i możemy sfotografować jakiś plac budowy albo grupę wieśniaków przy pracy. Bliższe kontakty ze zwykłymi Kampuczanami nie były mile widziane, o ile tych ostatnich przedtem nie wybrano. Czasami sami próbowaliśmy wybierać ludzi do rozmowy, na chybił trafił, ale okazywało się, że oni stoją tam właśnie po to, żebyśmy ich wybrali, i że już wielokrotnie udzielali wywiadów komunistycznym delegacjom. Członkowie lokalnych zarządów kooperatyw albo rad fabrycznych podawali przygotowane z góry informacje, ograniczając się do danych produkcyjnych, albo też wysławiali »słuszną linię komunistycznej partii Kampuczy« w kwestii odbudowy kraju i obrony przed Wietnamczykami.

Gdy zadawaliśmy niemiłe pytania typu »Czy jest pan członkiem partii komunistycznej?«, członkowie lokalnych władz patrzyli zwykle na obecnych przedstawicieli rządu, oczekując znaku, czy mają odpowiedzieć tak, czy nie. Czasem rządowy tłumacz, wysłuchawszy długiej i najwyraźniej szczegółowej odpowiedzi na nasze pytanie, mówił nam tylko »On nie wie«. Kampucza musi jeszcze wiele się nauczyć, jeśli chodzi o przedstawianie się światu na zewnątrz".

250.
[Widziałam to, co widziałam]

Hak Heng nie zna swojego roku urodzenia. Sądzi jednak, że ma siedemdziesiąt osiem lat. Mieszka w małej izdebce w pagodzie Wat Sunsome Koseul, w południowo-zachodnim Phnom Penh. Ubiera się jak wszystkie stare wdowy albo zakonnice - w białą bluzkę, czarną, sztywną spódnicę i przewieszoną przez ramię chłopską kraciastą chustę. Nieliczne zęby ma poczerwieniałe od betelu, włosy siwe, nie dłuższe niż na centymetr. Chodzi zgarbiona i utyka po dawnym złamaniu biodra. Izdebkę dzieli z inną kobietą. Stoją tam tylko ich prycze i w kącie trochę sprzętów kuchennych.

Biedna to egzystencja, choć towarzysko urozmaicona, bo w murach pagody mieszka sporo wdów, wdowców i mnichów. Matka Hak Heng była Sino-Khmerką, jej ojciec Chińczykiem. Dorastała w Kandal, na południe od Phnom Penh. Rodzice parali się handlem, zwłaszcza o matce mówi się, że była rzutką, obrotną kobietą. "Gdy miałam siedemnaście lat, rodzice wydali mnie za znajomego mego ojca. Mój przyszły mąż miał dwadzieścia lat i nigdy wcześniej nie widzieliśmy się na oczy. On miał już jedno dziecko. Kiedy przyszło do małżeństwa, nie ważyłam się zaprotestować. To nie tak jak teraz, kiedy wystarczy, że młodzi się kochają. Mój mąż był rybakiem, ale handlował też innymi towarami.
Kiedyś, jeszcze przed niepodległością, porwali mnie partyzanci z Khmer Issarak. Dowódca był przyjacielem mego męża, więc obiecał, że mi nie zrobią krzywdy. Ale zażądali wysokiego okupu, który moi rodzice musieli zapłacić. Po tym zdarzeniu przenieśliśmy się do Phnom Penh, bo baliśmy się tych z Khmer Issarak. W mieście łatwiej było zarabiać niż na wsi. Kupowaliśmy rzeczy na jednym bazarze, a sprzedawaliśmy na innym.

W 1970 obalono Sihanouka. Żal nam go było i brakowało nam go. Bez króla kraj nie mógł sobie poradzić. Ale byliśmy bezsilni. Od tamtej pory nie mogłam już jeździć do krewnych w Kandal, bo tam rządzili Czerwoni Khmerzy, a ja mieszkałam w mieście należącym do Lon Nola. Mój mąż zniknął w 1974. Zamordowali go żołnierze Lon Nola, którzy go oskarżali o współpracę z Czerwonymi Khmerami. Ukradli jego motorower. On nie był Czerwonym Khmerem, on tylko chciał, żeby król wrócił na tron.

17 kwietnia 1975 wypędzili nas z miasta. Powiedzieli, że mamy

wziąć ubrania na trzy dni, ale to było kłamstwo, bo nie dali nam już wrócić. Przez tydzień szłam razem z trzynaściorgiem z moich piętnaściorga dzieci. Nie pozwolili, żebyśmy wrócili do mojej rodzinnej wsi. Po pięciu czy sześciu miesiącach wysłali nas do Sisophon. Tam musieliśmy karczować teren, a potem sadzić ryż i warzywa. Nie dawali nam prawie nic do jedzenia. Rozchorowałam się i całe ciało mi opuchło. Później tak schudłam, że mało nie umarłam. Dostawaliśmy po dwie chochle wodnistej zupy ryżowej dwa razy dziennie. Dwieście pięćdziesiąt gramów ryżu na dzień do podziału na pięć osób. Próbowaliśmy dodawać do tej zupy liście i co tam jeszcze mogliśmy znaleźć. A jednocześnie musieliśmy harować, obalać wielkie drzewa i orać ziemię pod uprawę. Po nocach ciągle płakałam. Nie wolno było samemu robić sobie jedzenia. Tych, którzy rozpalali ogień, żeby sobie coś przyrządzić, zabijano. W 1978, kiedy mieliśmy karczować nowy teren, musieliśmy chodzić po trupach. Te ciała były pogrzebane, ale dosyć płytko, więc deszcz spłukał ziemię. Leżeli ciasno obok siebie, niektóre ciała były opuchnięte i miękkie, gdy się na nie nadepnęło. Moje dzieci porozsyłano do pracy w różne miejsca. Mogłam zatrzymać tylko dwójkę najmniejszych. Nie wiedziałam, gdzie są pozostałe. Prawie żadne z nich nie przeżyło. Ten potwór Pol Pot zabił dziesięcioro moich dzieci. Jak przyszli Wietnamczycy, tośmy się bardzo ucieszyli. Dali nam ryż i lekarstwa i nie musieliśmy nic specjalnego robić. Poszłam z powrotem do Phnom Penh. Zajęło to kilka tygodni. Gdyby Czerwoni Khmerzy nie zabijali ludzi i zapewnili nam jedzenie, toby się łatwiej pracowało. Bylibyśmy zadowoleni".

251.
[Środa, 16 sierpnia 1978]

Hedda Ekerwald zapisuje w dzienniku podróży: "Pojechaliśmy do Siem Reap, gdzie obejrzeliśmy farmę krokodyli, lej po bombie z 1976, tamę z czasów Angkoru i linię frontu między armią Lon Nola a armią wyzwoleńczą, w pobliżu świątyń Angkor. Mieszkaliśmy w samym mieście, w jednej z rezydencji księcia Sihanouka".

252.

Krokodyle wylegują się na słońcu nieruchomo, a zza drogi dobiega powolna muzyka żałobna. Zwierzęta skórę mają matowo-szarą, rozwarte paszcze - cytrynowożółte. Niesie się słaby zapach zgniłej ryby. Jestem jedynym zwiedzającym na farmie krokodyli w Siem Reap.

Trudno się dziwić, że turyści wolą Angkor Wat. Kilka obmurowanych, zakurzonych wybiegów i tysiąc krokodyli. Każda zagroda ma sadzawkę z zieloną od glonów wodą. Beton murów zwietrzał. Ma się wrażenie, jakby cały obiekt uległ zapomnieniu.

Przechodzę od zagrody do zagrody, przeciągam w palcach bilet wstępu. Dziękują mi na nim za pomoc w ratowaniu dzikich zwierząt w Kambodży. 16 sierpnia 1978 w tym samym miejscu stała szwedzka delegacja, patrząc, jak krokodyle pełzają "po sobie i pod sobą, niczym żmije w kłębowisku żmij". Gazetka "*Kampucza*" poświęca potem krokodylom osobną szpaltę. Prawdopodobnie zamierzoną jako kawałek lżejszej lektury. Przy kasie biletowej można sobie kupić pokryte werniksem małe krokodylki, wszystkie zastygłe w groźnych pozach. Na sprzedaż są też krokodyle zęby, torebki, paski i, nie wiedzieć czemu, laleczka o blond włosach i niebieskich oczach. Pytam kobietę w kasie, ile lat mają najstarsze zwierzęta. Mówi, że nie wie, ale sądzi, że mogą mieć koło osiemdziesiątki. Wracam tam znowu i spoglądam w dół, na stosy gadów. Jeden podpełza w moją stronę i podnosi łeb, wlepia we mnie ślepia bez wyrazu. Obok trzepoczą białe i żółte motyle. Myślę, że to niewykluczone, że parę z was wylegiwało się tu także dwadzieścia pięć lat temu. Że wszystko się zdarzyło, podczas kiedy wy leżałyście, patrząc, jak słońce wschodzi i zachodzi za te betonowe mury. I na sylwetki wszystkich tych, co stali tu, gdzie teraz stoję, i spoglądali na was.

Wyjątkowo wielki okaz idzie powoli do sadzawki. Ten musi być prastary. Przez łeb gada przebiega szpetna blizna, brakuje mu jednego oka. Co mam począć z tym doświadczeniem? Stwierdzić, że rewolucje wybuchają, potem gasną, i tylko Krokodyl jest wieczny? Siem Reap to nowa Kambodża. Miasto stanowi centrum rosnącego szybko przemysłu turystycznego. O kilka kilometrów dalej leży kompleks Angkor Wat, przyciągający turystów olbrzymimi świątyniami. Wiele z nich wciąż jeszcze skrywa dzika dżungla. W czasie kilku zaledwie lat pootwierano tu mnóstwo ładnie urządzonych restauracji, barów i hoteli. Ostatnio byłem tu przed czterema laty i ledwie rozpoznaję miasto. Rezydencja króla Sihanouka jest jednak nadal tam, gdzie była. Niska, piękna budowla, z parą antycznych armat po obu stronach schodów wejściowych.

Pytam kilku taksówkarzy, siedzących w kucki w cieniu drzewa: Czy król tu często przyjeżdża? Nie. Są co do tego zgodni. Ostatnio był tu dawno temu. Przysiadam w jednej z eleganckich restauracji. Jest po-

południe i z miasta prawie wymiotło turystów. Wszyscy są przy świątyniach. Za parę godzin ogródki się zaludnią, a ulice zarojà się od taksówek-motorowerów i tuk-tuków. Na ścianie wisi osobliwa jak na wystrój restauracji ozdoba: oprawiona w ramę deska klozetowa. Obok karteczka z wyjaśnieniem. Jest to trofeum z ostatniego mieszkania Pol Pota - innymi słowy jego sedes. Właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Kambodża próbuje zarabiać na tym, co fascynuje turystów, S-21 jest dzisiaj muzeum, a masowe groby w Choeung Ek to cel pielgrzymki dla wszystkich odwiedzających Phnom Penh. O rzut kamieniem od S-21 otworzono knajpkę, gdzie można zjeść wodnistą zupę ryżową, podaną przez kelnera w mundurze Czerwonego Khmera. Przed domem Ta Moka siedzą jego dawni ochroniarze i pobierają po parę dolarów za wstęp.

Dopijam sok z limonki i idę przecznicę dalej, do jednej z wielu kafejek internetowych. Połączenie jest świetne. Piszę do Jana Myrdala. Piszę, że ciągle mam pytania, mimo że przeczytałem wszystko, co znalazłem z tego, co napisał. Że chciałbym się z nim spotkać i porozmawiać o jego podróżach po Demokratycznej Kampuczy. Nie otrzymuję odpowiedzi.

254.

W piątek 15 września 1978 popołudniówka "*Aftonbladet"* publikuje reportaż Marity Wikander. Tytuł brzmi: "Raport z zamkniętego kraju". Marita pisze: "Któregoś wieczoru siedzimy na werandzie schroniska w Kompong Thom. Słuchamy radia. Wieśniacy poszli właśnie do domu ze swoimi bawołami, po całodziennej pracy w polu. Dzieci pluskają się w stawie, kilka starych kobiet siedzi, gawędząc sobie przed domami. Panuje niezmącony spokój, ale świat dociera do nas przez fale eteru. W *Voice of America* [senator] McGovern żąda międzynarodowej akcji militarnej, która ma uwolnić cierpiący naród Kampuczy spod władzy reżimu ludobójców. Na innych falach angielskojęzyczne audycje Radia Moskwa donoszą o rewolcie na dużych obszarach Kampuczy. Zdumiona rozglądam się dokoła. Czy rzeczywiście mówią o tym kraju?".

255.

Israel Young, którego wszyscy nazywają Izzy, właśnie zszedł na dół, do piwnicy. Ja siedzę dalej w jego małym biurze na Södermalmie w Sztokholmie. Narożny lokal z dużymi oknami na obie strony. Widać

przechodniów idących chodnikiem. Izzy Young słynie najbardziej z tego, że w 1961 zorganizował pierwszy prawdziwy koncert Boba Dylana. To on zapoczątkował jego karierę. Już od ponad trzydziestu lat Izzy Young mieszka w Szwecji, jest centralną postacią szwedzkiej sceny folkowej. Drzwi tego skromnego biura nigdy się nie zamykają, ludzie często wpadają tu, żeby pogadać. To wszystko jest bardzo nie-szwedzkie. Raczej jak w Nowym Jorku. Przynajmniej tym widzianym okiem Woody'ego Allena. Izzy Young wraca po stromych schodach z piwnicy, taszcząc pokryte kurzem torby i skoroszyty. To część tego, co pozostało z archiwum, którym zajmował się z ramienia Towarzystwa Przyjaźni Szwedzko-Kampuczańskiej. Resztę przekazał w darze Uniwersytetowi w Lund. Przez szereg lat zasiadał też w zarządzie Towarzystwa.

Kambodżańską rewolucją zainteresował się w USA, po amerykańskich nalotach bombowych na Kambodżę. Nawiązał wtedy kontakt z Huot Sambathem i Hing Sokhomem, reprezentantami wychodźczego rządu księcia Sihanouka. Grzebie w torbach i mamrocze coś, mieszając angielski ze szwedzkim. Przerzuca protokoły, dzienniki i zdjęcia. Nie śmiem zapytać, czego szuka. Jeśli w ogóle czegoś szuka. Ze starego pudła wyciąga plik kserokopii, spiętych w cienką książeczkę. Rozpoznaję okładkę. To kopia “wyznania" z S-21. Z tej książeczki wypada jakieś zdjęcie, ono także pochodzi stamtąd. Jest na nim mężczyzna z tabliczką z numerem na piersi. Jego twarz wyraża tę mieszankę rozpaczy i rezygnacji, jaką widziałem u tylu skazanych na śmierć na fotografiach z S-21.

“To był mój najlepszy przyjaciel", mówi Izzy Young, podając mi książkę.

Czytam na okładce. “Hing Sokhom - FUNC USA 1970-1976". Data egzekucji ta sama co jego kolegi ze Szwecji, Isoup Ganthy'ego. “To był mój najlepszy przyjaciel, a ja go namówiłem, żeby po rewolucji wrócił do Kampuczy". Patrzy mi w oczy, smutno. “Ja go namówiłem". Później, już w innym dokumencie, natrafiam na prośbę Izzy'ego Younga skierowaną do szwedzkiej delegacji tuż przed jej odjazdem. Prosi ich, żeby zapytali o Hing Sokhoma, który nie daje znaku życia, odkąd powrócił do Kampuczy w 1976.

256.
[Sobota, 26 sierpnia 1978]

Hedda Ekerwald zapisuje w swoim dzienniku podróży: "Pożegnaliśmy się na płycie lotniska Pochentong. Wsiedliśmy do samolotu. Na zewnątrz stali Ok Sakun, Sok Rim, Hoeung i inni, spoglądali za nami i machali rękami. Machali jeszcze, kiedy samolot startował, pół godziny później".

257.

Przyjeżdżam na lotnisko sporo przed planowanym czasem odlotu. Budynek terminalu jest ciemnożółty, nowo zbudowany, ale są jeszcze części starego. Stoi nawet ta wielka, pofałdowana betonowa wiata, którą widziałem na zdjęciach z czasów księcia Sihanouka. Widać ją także w tle na pewnym zdjęciu, na którym Pol Pot i spora część Komitetu Centralnego czekają na jakąś państwową wizytę. Teraz znalazła się nieco na uboczu względem nowego budynku. To tutaj wylądował chiński samolot ze Szwedami. Może Ok Sakun i ci inni czekali na nich w cieniu tej pofałdowanej wiaty? Wylądowali i zeszli po trapie, prosto w ten obcy klimat i obcą kulturę. W ten upał i te zapachy. Krajobraz z jaskrawą zielenią ryżowych pól. Strzeliste pnie palm cukrowych, ich pierzaste korony na tle horyzontu. Prosto w to wszystko, co do tej pory widzieli tylko na czarno-białych fotografiach. A tam, pod wiatą - ich starzy znajomi z Paryża. Ci, którzy parę lat wcześniej projektowali niemożliwą, jak się zdawało, przyszłość.

Teraz ta przyszłość była tutaj, a oni - w gościnie u przyjaciół. U byłych emigrantów zajmujących teraz ważne pozycje w społeczeństwie, o jakim kiedyś, w głębi duszy, może nie śmieli marzyć. Próbuję sobie wyobrazić, jakie to musiało być niesłychane. W jakim oszołomieniu musieli się rozglądać i chłonąć te wszystkie wrażenia. Wszędzie dokoła ta Kampucza. Uściski rąk przyjaciół i powitalne uśmiechy. Ten kraj, o którym się śpiewało, pisało, czytało. O którym się śniło.

Zaproszenie Pol Pota dotarło do Sztokholmu wiosną 1978. Potem nastąpiły miesiące niepewnego, niecierpliwego czekania. Wiosna, która rozkwitła w pełnię lata, kartki zrywane z kalendarza. Kwiecień i maj. Czerwiec i lipiec. I wreszcie: sierpień. Lot do Pekinu, gdzie czekał Jan Myrdal. Także Chiny musiały być fascynujące. Wizyta w innym świecie, w możliwej alternatywie bipolarnego porządku świata. Takie wielkie, bogate i nieogarnione. Największy pod względem liczby ludności komunistyczny kraj na świecie, z rewolucją o tyle żywszą od tej starej,

zeskorupiałej, sowieckiej. To przecież nie Chiny wkroczyły do Czechosłowacji w 1968, sprzeciwiły się rozwojowi. Zamiast zbrojnie pacyfikować przyjaciół, Mao Tse-tung ogłosił rewolucję kulturalną, po to by rozbić biurokrację, przełamać skostniałe struktury. To tutaj walka trwała dalej. I wreszcie: 12 sierpnia. Ten obcy kraj ze swoją wielką, brązową rzeką Mekong. Wysiedli z samolotu, jako jedni z pierwszych przybyszów z zewnątrz, których tu wpuszczono. Czworo powołanych, czworo wybranych. Rezultat osobistych starań, studiów i niestrudzonej pracy na rzecz ciemiężonych. Na rzecz “underdoga". Z radością powitali oszołamiające zwycięstwo ludowej rewolucji nad amerykańską machiną wojenną. Kibicowali krajowi, który zaczynał od zera, który miał zbudować całkiem nowy porządek społeczny. Nie wedle kolonialnych i zwietrzałych wzorów odległego Zachodu, tylko w oparciu o własne doświadczenia, przy uwzględnieniu własnych potrzeb. Nowego typu demokrację i nowy ład ekonomiczny.

Jak mają oceniać te radykalne projekty? Czy istnieją jakieś obiektywne kryteria, czy powinni raczej cofnąć się o krok i spokojnie czekać? Zaczekać na rezultaty? Albo, inaczej mówiąc: czy zawsze trzeba pytać czemu? Czy nie można zapytać czemu nie?

Wyobrażam sobie, jak tu lądują, na tym lotnisku przede mną, po latach pozytywnego myślenia. Niekoniecznie w różowych kolorach, ale z rodzajem dobrej woli. Uważnie śledzili doniesienia w mediach, szukali pozytywnych oznak, nie odwrotnie. Walczyli z maszynerią newsów, która zdawała się zafiksowana na negatywnym pisaniu o Kampuczy. Która prawie wyłącznie donosiła o rzekomych okrucieństwach i niewolniczej pracy, mimo że dochodziły stamtąd inne głosy, inne informacje.

Jak było na przykład z tą produkcją ryżu? Czy rząd w Phnom Penh nie ogłosił, że kraj stał się właśnie samowystarczalny? Dlaczego z tego nie zrobiono wielkiego newsa? Podróż do tego, co w teorii tak dobrze znane, a w praktyce tak obce. Członkowie małej grupy specjalnie zaproszonych. Podróżują z krytycznym spojrzeniem, ale jednocześnie są otwarci na próby, aby w tym kraju, zrujnowanym wojną, zrobić coś radykalnie nowego. Prawie trzydzieści lat później stoję przy tym samym lotnisku. Już znam rezultaty. Mogę spoglądać wstecz i rozpoznawać wzory. Zapisuję w swoim notatniku: “Czy od Gunnara i Marity, i Jana, i Heddy można by wymagać, aby przejrzeli wtedy tę fasadę? Czy powinni byli rozszyfrować znaki?". Jestem skłonny powiedzieć, że tak. Ale.

Czy sam potrafiłbym je dostrzec, gdybym tam był, na ich miejscu, w 1978? Wybrany, aby pojechać do kraju, który we własnym przekonaniu znam tak dobrze.

Muszę powiedzieć, że nie wiem. I rozglądam się dookoła i dopisuję w notesie: “Jakie fasady wzniosłem sam dla siebie?".

258.

[Jak migotanie białe]

Suong Sikoeun był obecny przy paleniu trupa Pol Pota. “Widzieć, jak palą ciało Pol Pota wśród opon samochodowych, bez mnichów, bez jego żony albo córki, to było... Powiedziałem potem jego żonie, że na ten widok łzy napłynęły mi do oczu. Można było przynajmniej urządzić jakiś pogrzeb, choćby i skromny, ale godny".

259.

Musnęło mnie swoim oślepiającym skrzydłem

260.

Agencja informacyjna AFP 12 lipca 1979 opublikowała listę kambodżańskich dyplomatów, którzy po rewolucji powrócili do Demokratycznej Kampuczy. Tych, którzy od tej pory zniknęli bez śladu i których uznawano za zamordowanych. Jedno z nazwisk jest bardzo podobne do nazwiska męża Marity Wikander. Czerwoni Khmerzy przekazali jednak wiadomość, że wielu świadków widziało osoby z tej listy podczas chaotycznej ewakuacji Phnom Penh tuż przed wkroczeniem armii wietnamskiej. Ich dalsze losy, wedle tej informacji, pozostają jednak nieznane.

261.

[Jak migotanie białe]

Lato 1998 i pozostaje jedynie Ta Mok. Wszyscy inni rewolucyjni przywódcy nie żyją albo zdezerterowali. Niebawem i on wpadnie w ręce wojsk rządowych i zostanie osadzony w więzieniu. To koniec Czerwonych Khmerów. O śmierci Pol Pota mówi pewnemu kambodżańskiemu dziennikarzowi: “Pol Pot umarł jak dojrzała, spadająca z drzewa papaja. Nikt go nie zabił, nikt nie otruł. I już po nim. Nie ma żadnej władzy, żadnych uprawnień, jest teraz tylko kupą gnoju. Gnój jest od niego więcej wart. Możemy go używać jako nawozu".

262.
[Z gazety “*Iskra*", 29 października 1978; pisze Gunnar Bergström]

“Na piasku, pod chatą na palach, gdzie zebrały się dzieci w wieku dziesięciu, dwunastu lat, usiłowałem narysować mapę i opowiedzieć, że jestem ze Szwecji. Nie bardzo mi wyszło, ale dzieciaki zrozumiały, że musiałem długo lecieć, zanim dotarłem do ich kraju".

Posłowie

Rok 2007 był rokiem, kiedy sprawiedliwość dosięgła wreszcie przywódców Czerwonych Khmerów. Jednego po drugim osadzono ich w specjalnie wybudowanym areszcie pod Phnom Penh. Był to początek końca procesu prawnego, którego wynegocjowanie trwało dziesięć lat. Ci postarzali już przywódcy staną przed wspólnym trybunałem ONZ i Kambodży. Porozumienie w sprawie procedury zajęło tyle czasu, ponieważ wielkie mocarstwa, jak USA i Chiny, nie chciały, aby ich udział w tragicznej historii Kambodży był rozpatrywany przez sąd. W Kambodży zaś dzisiejsi liderzy polityczni, z których wielu wywodzi się z Czerwonych Khmerów zbiegłych do Wietnamu w 1978 przed czystkami w sektorze wschodnim, nie chcieli ryzykować, aby rozgrzebywano ich przeszłość.

Wszyscy zamieszani mają na swoich rękach kambodżańską krew. W rezultacie stanęło na kompromisie: garstkę prominentnych Czerwonych Khmerów oskarża się o zbrodnie przeciwko ludzkości, w paru przypadkach - o ludobójstwo. Postępowaniu sądowemu towarzyszą, niestety, pogłoski o politycznych naciskach i korupcji. To ostatnie nie budzi zdziwienia. Kambodża jest w pierwszej piątce rankingu najbardziej skorumpowanych krajów świata. Ten najważniejszy chyba z podejrzanych nie stanie jednak przed sądem - minęło ponad dziesięć lat, odkąd wiatr rozwiał dym ze stosu pogrzebnego Pol Pota.

Naczelny wódz jego wojsk, “Rzeźnik" Ta Mok, też nie odpowie za swoje czyny. Zmarł w areszcie w roku 2006, schwytany w 1999. Ta Mok reprezentował ten odłam Czerwonych Khmerów, który nie kształcił się za granicą. Tym samym stracono bardzo istotne świadectwo. On miał dogłębną wiedzę o korzeniach Czerwonych Khmerów w Khmer Issarak, ruchu oporu przeciw francuskiej władzy kolonialnej. Można też przypuszczać, że czuł się mniej lojalny wobec tej grupy intelektualistów, na przykład szefa dyplomacji Ieng Sary'ego i prezydenta Khieu

Samphana, która po rewolucji stopniowo przejęła władzę i rozkazała zamordować So Phima, Ruos Nhima i innych jego dawnych towarzyszy broni z Khmer Issarak.

Niezależnie od tego, za co przywódcy Czerwonych Khmerów są sądzeni, ten proces odegra ważną rolę. Nie tylko i nie przede wszystkim dlatego, że ustali się zbrodnie winnych. To, co stanowi o wadze tego oskarżenia, to okoliczność, że duża część tragicznie doświadczonej ludności Kambodży wciąż dysponuje bardzo małą wiedzą o tym, co się zdarzyło w latach 1975-1979. Przeżyli niewytłumaczalną katastrofę, z której konsekwencjami próbują teraz żyć. Ten proces mógłby zatem spełnić funkcję narodowej kampanii oświatowej i potraumatycznej terapii. I może wreszcie ludzie otrzymają odpowiedź na pytanie, które przez lata spędzone w Kambodży słyszałem tak wiele razy: “Dlaczego nas zabijali?".

Peter Fröberg Idling Hogerstensosen, kwiecień 2010